









JAN AUGUSTYNOWICZ.

---

# KSIĄDZ PROT.

HISTORYA LUDZKA.

---

POWIEŚĆ,

nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie  
literackim „Głosu.”

---

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni

A. G. DUBOWSKIEGO.

1900.



KSIĄDZ PROT.

DRUK P. LASKAUER I W. BABICKI. WARSZAWA,

<http://rcin.org.pl>



Jan Augustynowicz.



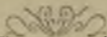
# KSIĄDZ PROT.

HISTORIA LUDZKA.



POWIEŚĆ,

nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie  
literackim „Głosu.“



WARSZAWA.

Nakładem Księgarni

A. G. Dubowskiego.

30 Chmielna 30.

1900.

INSTITUT  
BADAŃ I PRACY PAN  
Biblioteka

<http://rcin.org.pl>

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 1 Апрѣля 1899 года.



*Jannie*

*Maryli Wiskowskiej*

*książkę tę*

*poświęcam.*



**S**a powieści, po powstaniu których autor mimowoli czuje potrzebę wytłómaczenia się przed czytającym ogółem z grzesznego postanowienia ich napisania. Zdaje mi się, że coś podobnego zdarza się i mnie teraz przy puszczaniu w świat mojego „Księdza Prota.“ Historya ta—prosta i bolesna—zawarła w sobie kartę, wydartą z życia. W niedołężnem mojem przedstawieniu nie nabrała takiego oświetlenia i wszechstronności, jakie w myśl wymagań sztuki posiadać powinna koniecznie. Łudzę się jednak przypuszczeniem, że może zdoła ona, pomimo niezliczonych wad swych i niedomagań, uzyskać pe-

wną aprobatę ze względu właśnie na siebie samą. Żaden bowiem człowiek myślący nie przejdzie pewnie nad „Księdzem Protym“ do porządku dziennego obojętnie. Owszem, zamykając tę książkę, rzeknie może w smutnej zadumie: i oto jeszcze jedna codzienna, pospolita, dla niektórych czystych serc ludzkich rozdzierająca jednak tragedia — taka, o której milczymy zawsze zawzięcie.

I to właśnie skłoniło mnie do napisania „Księdza Prota.“

---

— Dlaczego waćpan jesteś szczerym?  
— Mój mospanie, i tak o nieprawdę  
mnie posądzą...

*(Fraszki i żarty).*

## I.

Šzeroka, bujna droga prowadziła do górskiej wsi, leżącej na stoku dużej wyniosłości, obramowanej, acz zdała, nieskończonem pasmem siniejących w przezroczu gór...

Była to droga uczęszczana, gwarna zazwyczaj i pełna ożywienia... Wieczorami snuły się po niej całe roje wracających z pól kmieci i wyrobników, odzywały się doniośle wesole głosy dziewcząt, rozlegały się nieskończonym gwarem nawoływania parobczaków i piskliwa mowa kobiet, wybuchały całą gamą krzykliwce przekomarzania młodzieży, odbijały się o las echem pomrukiwania bydła i rzenie koni...

Lecz teraz było tu cicho i spokojnie, jakby bezwładnie. Droga cała, jak okiem sięgnął, pusta była i wymarła, w powietrzu leżała omdlała niemoc jakaś i ten cichy urok, który zdaje się wtedy przychodzić i zlewać wszystko w doskonałą, niezmaconą harmonię...

W pierś lało się powietrze błogosławione, zdrowe, wonne, orzeźwiające, przesycone niezliczoną mocą pachnących wyziewów roślinnych; trawy i zboża, falowane lekko podmuchami wiatru, szumiały cicho i łagodnie, jakby bojąc się zbudzić zadumę czyjąkolwiek; słońce, wyzbyte już swego żaru południowego, świeciło ciepłym złotawem, przysiąglbyś — pieszczącem, lekkim...

A w trawach rozgrywał się cały ogromny koncert świerszczów, koników, much, bąków i niezliczonej masy innych pól mieszkańców... Gwaro tam było i tak ruchliwie, że zdawać się mogło, iż to koncert na tysiące muzyków obliczony... Wolne, leniwe tony mieszały się ze skorymi i skocznyymi, poważne świergotanie konika zlewało się z syczącą ćwierkaniem świerszcza, przelatujący bąk bzykał całą gamą cienkich, lecz silnych i przejmujących dźwięków... Ówdzie ptak, wystraszony nie wiedzieć czem, zrywał się nagle z swego łożyska ukrytego, i zataczając z wrzaskiem ogro-



mnę koło nad ziemią, zniknął gdzieś za rubieżą lasu bez śladu...

A trawy, zda się, że to wszystko wchłaniały, i powiewając kiściastymi lebkami swymi, szumiały w takt i podchwytywały melodyę, którą wiatr dalej po szerokich polach roznosił...

I cała przyroda rozigrała się i była tak swobodną, że w wesołości tej tonąć trzeba było zupełnie...

Kula słoneczna, która zachodziła powoli i chowała się chwilami, za przyczyną chmurek, za kraj lasu, przeblyskując poprzez drzewa snopami iskier złotych, to znów promieni, przychodziła wnet cała żółta, opromieniona z boków czerwonymi blaskami nieba, i oświecając wszystko, wnikała światłem swym w każdą ziemi szczelinę, każdą łodyżkę trawki i każdy drzewa picieć... Od lasu zaś leciały całe fale przesiąkniętego żywicą powietrza, i rozlewając się po okolicy, zawiśały nad polami, ujęte w ciepły uścisk przez gorące słońca promienie... Kiedy niekiedy wiatr wionął silniej, gdzieś zakolysała smukłą głową wierzba, ówdzie wstrząsnął kiścieniem gwałtownie trzciniak, tam drapieżny jastrząb, zaczajony od dawna na swą ofiarę, rzucił się na nią zdradliwie, i dusząc w szponach, unosił do siebie czemprędzej...

A nad tem wszystkim był uroczysty nastrój przyrody, we wszystkim zaś świeżość niepokalana i urok jakiś nieuchwytny... I było doskonałe zobrazowanie natury, szarmonizowanie, zlanie w jedną całość jej cudów i dziwowisk, zjednoczenie w obszar jeden — słońca, blasku, powietrza zdrowego, kwiatów polnych, drzew, zbóż, świerszczów ćwierkających i bąków bzykających, swawolnie skaczących po trawach koników i powoli gramolących się po listkach robaczeków...

Było pysznie.

Szeroką, pełną drogą do Zalomuńców szedł ksiądz Prot. Twarz jego młoda, dziwnie piękna, delikatna, wytworna i skończona, pochylona była nad książką... Oczy wielkie, z jakąś ukrytą w nich mocą i palące, utkwiał w czarnych literach modlitewnika i tak lekko nachylony, w czarnej sukni swojej, poważny, surowy, lecz łagodny, szedł cicho, modląc się, na tej drodze uroczej... Jego wazkie wargi poruszały się lekko, jakby bezdźwięcznie, — oczy od czasu do czasu odrywały się od czarnych liter książki i spoglądały w dal na krótko... Ksiądz Prot kończył szeptem:

— O Deus meus, dulcedo ineffabilis, verte mihi in amaritudinem omnem consolationem carnalem, ab aeternorum amore me abstrahen-

tem, et ad se intuitu eujusdam boni delectabilis praesentis male allicientem...

Wtedy ksiądz Prot miał w tych oczach coś z tego, co jest w wzroku mistyków, którzy po wielu przebytych burzach i cierpieniach znaleźli swoje ukojenie w wierze w stworzony ideal lub ukochaną ideę...

Ksiądz Prot szedł wolno. Jemu w ten dzień upalny a niepiekący, w tę nadechodzącą porę lipcowego zachodu słońca, na tej drodze poważnej i cichej, ożywionej tylko miliardami ćwierkań świerszczowych, było lekko jakoś na sereu i kojąco... W uszach odbijały mu się tysięcznym echem i spływały gdzieś w dal bez końca słyszane ciągle dźwięki, nad głową trzepotały się ptaki, a blade skronie owiewał wiatr łagodny, nie nagły, lekki, delikatny...

Gdy zaś ksiądz Prot przeszedł już większą część drogi do Załomuńców, poczęło się zdawać, że w przezroczu błękitnym, które leżało omdlałe nad światem, unosić się poczyna rodząca się powoli wilgoć i wraz z znikającymi coraz więcej blaskami spływa ocieźale na ziemię... Potem stopniowo promienie słońca, a raczej jego ostatnie już odbłaski, stawały się jeszcze czerwiejszymi, ale zdawały się pomalu zamierać, i w kilkanaście minut ziemia była już bez złotego światła, a mgła

coraz wyraźniejsza i silniejsza poczęła spływać rosą na ziemię i osadzać się na polach wilgocią obfitą...

Mrok jednak nie zapadał. Był to bowiem letni, pełny jeszcze, wolno nadchodzący wieczór, a te wieczory lipcowe jasne są długo—i leniwo, z niechęcią powijają się w ciemności nocne...

Ksiądz Prot zaczął wchodzić w pasmo pola, gdzie coraz częściej poorane widniały grzedy z jarzynami... Wieś była niedaleko i po chwili niedługiej pokazała się tuż, jakby dziwem jakim wyrosła w dole pod nogami... Ściągały ku niej trzy drogi, które wychodziły z jednej dużej i obszernej, — na płaszczyźnie w wgłębieniu rozłożyły się Załomuńce, — duże, szerokie i zamaszyste, tkwiły chaty jedna przy drugiej, małe ogródki je dzieliły, poprzez szarą masę domów widać było dróg kilka, ulic, — na tle całej wioski białął wysmukłymi wieżycami i gładkim murem kościół...

Ksiądz Prot począł schodzić wolno w wgłębienie, które tu natura dla Załomuńców utworzyła, potem wszedł na jedną z ścieżek, prowadzących ubocznie do plebanii, i po chwili był już na jej ganku, wysokim, poważnym, trochę pochylonym, ocienionym gęstą masą spadającego w festonach wina, oplecionym w jego rozpełzające się ramiona...

Nie dzisiejszy to był ganek... Pamiętał on świetne jeszcze dla Załomuńców i kościoła czasy ś. p. księdza proboszcza Zebrzydowskiego, którego pamięć żyła dotąd wśród mieszkańców Załomuńców i okolicy, i o którym wreszcie zapomnieć nie tak łatwo komukolwiek przychodziło...

Ksiądz Zebrzydowski, ha, ha! ksiądz Zebrzydowski! Niezliczona moc rzeczy była o nim do powiedzenia, a jeszczeby się i setnej części tego wszystkiego nie wyczerpało. Ten proboszcz załomuńiecki, pomimo, iż siła lat minęło już od przykładnej jego śmierci, żył żywy i niezapomniany w sercach swych parafian, a pamięć jego została, jak coś kochanego, czego się nie usuwa z zobojętnieniem, lecz chowa, jak drogą po drogiej osobie pamiątkę... «Setny» to był ksiądz, a jak mawiali prostaczkowie: «kochanieńki, nikiem miód słodziuśki i nikiem lubczyk lubnieńki.»

Ksiądz Zebrzydowski, dawny proboszcz załomuńiecki, śpiący już dawno cichym snem na zielonym tutejszym cmentarzu, nie tak prędko miał szczeznąć ze wspomnień i serc swych parafian... W kronikach miejscowych, nie piśmiennych, lecz w tradycyi ustnej chowanych, pamięć jego trwale się zapisała—i oto już trzecie pokolenie wspominało z lubością i szacunkiem imię jego. O tem, czem był Zebrzydowski dla Załomuńczan, tych

którzy żyli za jego czasów, ojcowie opowiadali, co od swych ojców wzajem słyszeli... Hej! czy pociechy udzielić, czy nauki dobrej a skutecznej, czy dopomódz bądź groszem, bądź darami, czy odleczyć od zacieklej słabości, albo ślicznem słowem na kazalnicy oświecić — jedyny był do tego «on.» On, ten poważny a pełen pogody, surowy a łagodny, dobry a sprawiedliwy, wszystko «on.» Miłowano go też, jak może żadnego przed nim i po nim nie miłowano, a nawet małe dzieciaki wiejskie, co zamorusane i z roztrzepaniem koszulinami po Załomuńcach latały, gdybyś je spytał: «a księżulo... jacy tu?»

— Księżulo? A księżulo byli tu jacy mili, hu, ksiądz Zebrzydowski, wej, ten, co ten kościół postawił... tata mówił!

Tak. Ten kościół, co tu stał, co swemi wysmukłemi wieżycami nad Załomuńcami królował, Zebrzydowski postawił. I to był widomy pomnik jego sławy niezagasłej, owoc jego tutejszego pobytu, widzialny dowód tego, co dla Załomuńców uczynił... Gdyś wszedł poza ogrodzenie cmentarza co się koło kościoła rozłożył, na jednej z dwóch tablic, wrytych w mury kościoła, mogłeś czytać:

*Na chwałę Bogu Wszchemogącemu  
i  
ku czci Najświętszej Panienki  
ten kościół pod Jej wezwaniem  
z szczerých datków parafian  
i wspomżenia okolicznych obywateli  
miejscowy proboszcz, ks. Michał Zebrzydowski,  
r. 18\*\* postawił.*

To była jego nagroda, słodka дума, owocny rezultat tyloletnich zabiegów, uwieńczenie gorących zamiarów, to był ten jego kościół!

Gdy ksiądz Zebrzydowski umarł, jego oczko w głowie, murowany kościół, zbudowany miast drewnianego dawnego, choć zawsze był dumą parafian, przestał natomiast być celem starań i zabiegów następnych proboszczów. Z początku był krzepkim sam przez się, następnie jednak tu i ówdzie pierwsze uszkodzenia się pokazały, potem tu i ówdzie dziury. Z zewnątrz było jeszcze jako tako, choć dach wymagał zamiany na nowy, ale wewnątrz, mój Boże! nie było to już to, co Zebrzydowski zmajstrował! I ściany brudne i popękane, i z dachu przeciekało, i ołtarze poniszczzone, i podłoga zgniła, i ławki pomarnowane i obrazy wyśniedziane—słowem wszystko niby to, a jednak już nie to... Gruntownego odnowienia potrzeba było... Niejeden wzdychał i nawet łzę

z oka uronił na widok tego zaniedbania «ich» i «jego» kościoła... Ale księży Załomuńczanie, z ręką na sercu wyznawszy, mieli odtąd nie bardzo dbałych o ten przybytek, a i tak popasali wszyscy niedługo... Jeden był, staruszek biały, lat piętnaście temu, o parafię starowny, ale umarł prędko i nie zdążył wykonać tego, co zamierzał.

Teraz... Teraz zaś byli: proboszcz załomuniecki Chwalkiewicz i ksiądz Prot, wikary. Ksiądz Chwalkiewicz—nie chciano często po cichu nawet przyznać się do tego — ksiądz Chwalkiewicz, no, nie myślał o załomunieckim kościele i... dziwny był; a ksiądz Prot?...

Księdza Prota uwielbiała cała parafia. Ha, Zebrzydowski — to był ksiądz, ale młody wikary — złoto też, nie ksiądz!

Taką cieszył się opinią.

---



## II.

Zamknął książkę i wolnym krokiem udał się do swych dwóch pokoików, które miał po lewej stronie dworku. Prawą zajmował proboszcz: trzy pokoje i schowanko, z tyłu była kuchnia, parę pokojów dla służby i dwie spiżarnie. To był cały dworek.

W pierwszym pokoiku księdza Prota, widnym i jasnym, choć bardzo skromnie umeblowanym, znać było, iż, jeżeli można go tak nazwać, był pewnym rodzajem bawialnego, gabinetu, miejsca, gdzie się czyta, odpoczywa, pisze. Skromne biurko i dwie szafy oszklone z książkami — oto bogatsze w nim sprzęty. Drugi, mniejszy i ciemny, był sypialnym. Umeblowanie jak u mnicha: łóżko żelazne, dwa stolki drewniane, jeden stolik z kilkoma na nim księgami i ogromny hebanowy Chrystus na krzyżu nad łóżkiem — nic więcej.

W obu nadzwyczajna czystość i porządek. Czyniły jednak wrażenie klasztorne, takie tu było wszystko surowe i poważne.

Wszedłszy, złożył ksiądz Prot książkę na stole pierwszego pokoju, i zlekka westchnawszy, usiadł, wsparłszy na dłoniach głowę. Zdawało się, że utonął cały w posepnem jakimś dumaniu, obudzonem zniecka, z przyczyny niewiadomej, gdyż spokój i urok natury nie zdały się zdolnymi do tego usposobić.

Na drodze, którą niedawno ksiądz Prot wracał, zaroilo się tymczasem, jak zwykle. Niedługo dały na siebie czekać gwarne głosy wracających z pola ludzi. Ściągali tłumnie, i śpiewając, lub rozmawiając, rozchodzili się po domach. Przez okno, umajone z zewnątrz zwieszającemi się gałęziami kasztanów i owocowych drzew sadu plebańskiego, dojrzał ich ksiądz Prot. Przodem szły dziewczyny, pośpiewując wesoło i wymachując grabiami i motykami, które niosły. To jedna, to druga zaciągała zwrotkę, którą inne wnet podchwytowały, chóralnie jej wtórując; ówdzie młody parobczak przekomarzał się z którąkolwiek, tam inny, wymachując łopata, rozpoczynał pieśń nową, dziewczyny zaś wnet mu ją przerywały, przymawiając:

— A cichożże, utrapiony! bez co nam tu psocisz?

I śmiali się.

Za nimi, jak zwykle, w tyle, ciągnęły baby i gospodarze, ten gestykulując zawzięcie, owa trzepocząc rękoma i opowiadając coś hałaśliwie... Dzieci, przeróżnego wieku, płątały się im pod nogami i swywołyły.

Ksiądz Prot się uśmiechnął. To były jego i Chwalkiewicza owieczki, lud dobry i łagodny, ale serca i umiejętnego postępowania potrzebujący.

Losy, które go tu zagnały, wskazały mu tych ludzi jako niwę, na której miał pracować. Dwa lata już był załomunieckim wikarym i czasami przychodziło mu na myśl pytanie: czy praca jego, współdzielcza, dodatkowa, owocną była? Pragnął być użytecznym, on, o którym przecież tak wielu mówiło z uśmiechem lekceważenia lub dziwnego jakiegoś grymasu, że został księdzem z powołania. Gdy z cichych, choć dziwnych murów uczelni wychodził, by jako kapłan nieść to słowo boże, którego głoszenie wziął sobie za obowiązek życia, wtedy dopiero poczuł, jak świat i ludzi mało zna, jak ich wcale prawie nie zna. Odosobniony, zagłębiany w swych studiach dogmatycznych, do których jednak rwała mu się

dusza, nie pomyślał nigdy o tem, co czeka go u tych podwoi życia, których miał uchylić, by pójść w świat... Ludzi widywał, stykał się z nimi, wreszcie miał ich żywo w pamięci jeszcze z tych czasów gimnazyalnych, gdy koledzy żartowali z niego: «mnichu!» lub: «księżę urodzony!» ale dopiero tu, w Załomuńcach, przy zetknięciu się z temi naturami prostemi i niezłożonemi, a może dlatego właśnie mniej uchwytnemi, często przystawał przed niejedną zagadką i pytał siebie: jak teraz? Widział wprawdzie i zresztą nie ukrywano tego przed nim, że odklepanie mszy, kazania, kilku modlitw, odprawienie spowiedzi, namaszczenie olejami umierającego i wyekspedycowanie go na lepszy, bo pewniejszy świat, nie sprawia tak wielkiej trudności bardzo wielu, ale on, Prot, marzył, że wziął posłannictwo na siebie, cel tak piękny i wzniosły, iż mógł i powinien był wypełnić mu życie całe i teorię w czyn zamienić. W pierwszej chwili, gdy naznaczony został na wikarego do Załomuńców, ogarnęła go radość wielka. Acz z ogromnym niepokojem i ściśnieniem serca opuszczał ciche mury, gdzie spokojnie zagłębiony w księgach, tonął w ich treści, jednak czuł, że otwiera mu się pole działalności — szerokiej, jeżeli tylko zechce objąć wzrokiem jej roz-

ległość — i dlatego, choć go to przestraszało, jechał rozradowany i wesoły.

Pierwsze wrażenie było ochładzającym. Potem były chwile, że niejedno zdało mu się dziwnem, niezrozumiałem, zadziwiającem, a potem i obrzydliwym. Jednak kwestycę w duszy rozwiązał: tu moje miejsce—i tylko od tej pory często pytał siebie: azali nie czynię źle, niedobrze, niedbale, azali idę po dobrej drodze?... Męczyło go samopoznanie własnej, ludzkiej niemoocy...

### III.

Wszedł sługa kościelny i przerwał mu zadumę.  
— Ksiądz proboszcz prosi! — krótko rzucił,  
i nie czekając odpowiedzi, odszedł.

Prot niechętnie wstał i powoli, cichym krokiem, udał się do pokojów, zamieszkanym przez Chwalkiewicza. Już idąc na plebanie, zauważył coś niezwykłego koło dworku. Zwykle było tu spokojnie, ile że Chwalkiewicz, gdy nie był gdzie w sąsiedztwie lub w miasteczku na wincie, spał najchętniej, albo siedział i wystrugiwał fujarki, na których grywał. Letnią porą dużo zajmował się również w ogrodzie, do plebanii należącym, gospodarzył, chodził po stajni i oborze, fukał na parobków i dziewczkom psocił — jak był dobry, a jak zły — wymyślał im od pokraki «takich zatraconych córek...» Chętnie też palił swoją ogromną fajkę, lub cygara, szwarcowane przez żyda z nad gra-

nicy, — w białym kitlu, z ogromną dębową łaską, wszędy go było pełno wtedy, gdyż mawiał, że najprzyjemniej «ćni» mu się na dworzu...

Lecz teraz Chwalkiewicza nie było w obejściu plebańskim. Siedział widocznie u siebie, zajęty czemś, rozkrzyczany, bo tubalny głos jego dochodził do uszu Prota, pełen modulacyi, tęgi, jędrny, donośny, czasami krzykliwy i gniewny. Przy wejściu do mieszkania proboszcza, właśnie gdy brał za klamkę, uchylając drzwi, wypadł z nich dragal jakiś i w pośpiechu o mało że nie uderzył wikarego. Dopiero spostrzegłszy go, usunął się szybko na stronę i zakłopotany przypadł do ręki Prota, mamrocząc:

— Z przeproszeniem też wielmożnego jegomości, o mało żem jegomościunia nie roztrącił...

I uśmiechnął się głupowato.

Był to Bartek, fernal od księżyeh koni i w potrzebie parobek. Za nim wyleciał drugi, Józiek, i spostrzegłszy w czas wchodzącego wikarego, odskoczył na bok i wpadł na Bartka.

— O wa!—zawołał Józiek—ksiądz jegomość rychtyk w porę do dobrodzieja idą, bo dobrodzieja znowu cholera wzdęna i pomstuje, na czem świat stoi! Już też dobrodziej bez umiarkowania na nas napadają, a wszyćkiemu bestya Kaśka winna, co inaksy wyśpekulowała i pedala nam inaksy...

Za nimi rozgrzmiewał donośny głos Chwałkiewicza:

— A, hultaje, urwigrosze, skurezybyki! A, takie syny i córki zatracone, szelmy, co mnie do grobu wpędzacie! poczekajcie, nauczę ja was rozumu, wisielezyki! Bartee..ee..k!

Lecz Bartek już nie chciał słuchać. Udając, że nie słyszy proboszczowego wołania, zebrał co miał sił w nogach i umknął copędzej. Za nim pogonił Józiek. Ksiądz Prot wykrzywił usta i wszedł do pokoju. Była to jedna ze scen, jakie ksiądz Chwałkiewicz lubił czasami wyprawiać.

— Wyobraź sobie, carissime — zaczął wołać proboszcz, ujrawszy księdza Prota, zrywając się jednocześnie z fotela, na którym siedział, — wyobraź sobie, toż to skaranie boskie z tymi łotrami! Mówiłem temu durniowi, żeby mi żyto dziś jeszcze do stodoły zwiózł, bo na jutro nie spodziewam się pogody, i temu hyclowi Józkwowi zapowiadałem, i nie wierząc jeszcze, organistę im posłałem, a te szelmy zostawili żyto w kopach i najspokojniej do innej roboty poszli, a tu mnie jutro deszcz wywali i całe zboże pognije, jak amen w pacierzu!

Twarz miał czerwoną, oczy rozognione, brzuch trząśł mu się jak w febrze, ręką z cybuchem wymachiwał i cały spocony, zziązany, wyglądał komicznie i zabawnie...



Na twarzy Prota odbiły się nuda i zniechęcenie. Cóż mogły go obchodzić te sprawy księdza Chwalkiewicza, po większej części powstałe zwykle z jego własnej winy, lub wyssane z palca? Wiedział już zbyt dokładnie, że częściej są one wytworem jego wyobraźni, lub zwałaniem winy na innych, maskowaniem swego roztargnienia...

— Widziałem Józka — odrzekł, — przebąkiwał, że to dziewczyna źle zrozumiała polecenie księdza proboszcza...

Tego było Chwalkiewiczowi zanadto. Zerwał się znowu z fotela, na którym był już usiadł, i trzepocząc rozpaczliwie rękoma, wołał:

— I ty mu wierzysz, carissime? Toż to obwieść skończony, nie wart, że go święta ziemia nosi! — Poczem przysuwając się szybko ku wikaremu, wzięwszy się pod boki i trzęsąc głową z rzadkimi na niej włosami, jał pytać zapalczywie: — A kto lońskiego roku ukradł korzec żyta?... Kto wyniósł dwa worki kartotli do Łopuchów?... Kto ściągnął naszelniki od Iysey i kto świsnął trzy kopciuchy smarowidła? A, pytam: kto? Kto wreszcie udawał, że nie widzi, jak Herszek i Szloma chcieli nocą wprowadzić kasztana?...

Zaperzył się i, jakby mając przed sobą winowajcę, zaczął przed Protym wygłaszać całą litanię

zbrodni Józka — parobka. Zapomniał, że bredzi niestosownie, i począł pytać natarczywie:

— Kto to uczynił, carissime, jeżeli nie ten... ten... skureczybyk, ten gibraltarski foretus, ten dardanelski koń chrystusowy, ten... Co, może nie Józick, niee?...

I patrząc roziskrzonym wzrokiem na wikarego, czekał z jego ust zaprzeczenia, by zgnieść śmiałka w proch i rozsypać na cztery wiatry...

Prot, który z natury był bardzo poważnym i którego zawsze razily głośne awantury proboszcza, wraz z całym arsenalem jego «siarczy-stych,» zdumiał z początku na takie dictum acerbum. Wzburzenie Chwalkiewicza było jednak tak zabawnem i komicznem, iż cała ta awantura poczęła się przobrażać dla Prota w farsę i, choć niesmaczna, wywołała nawet na jego surowe zwykle oblicze uśmiech ironiczny, wesoły...

Nie uszło to uwagi Chwalkiewicza. Spostrzegł w kątach ust Prota drganie i oburzyło go to. Jednak, jak w każdym człowieku popędliwym i skorym, poczęło i w jego umyśle świtać nagle coś nowego i nowa myśl zdała się zagłuszać przejęcie się przestępstwami Józka. Patrzył jeszcze chwilę na Prota, z którego ust nie schodził drwiący uśmiech, i wreszcie sam się roześmiał:

— A co, a co? a tom się rozbebeszył! A co, a co? i to, mopanku, mosterdzieju, o takiego powsinogę!... Cha, cha! niech ich też wszyscy dyabli! Ale mnie kolka sparła i to dzięki tobie, carissime, boś, uważałem, tego sobie w duchu zakpił... Śmiejesz się! Ha, i ja, przejrzawszy, śmiać się muszę!..

Lecz wielceszanowny ksiądz proboszcz w przystępie niewytłómaczonego humoru pozwolił sobie na spełnienie niebywalej dotąd niestosowności, do czego normalnie nie śmiałyby się nigdy posunąć... Śmiejąc się, trzepnął konfidencyonalnie wikarego w nadkolanie, tak, że aż ten zgiął się, poczem bez najmniejszego skrupułu śmiał się dalej.

Zdumiony Prot nie mógł w pierwszej chwili słowa wymówić. Rubaszny, bezceremonialny, ordynaryjny sposób objawiania swego ukontentowania oburzył go. Zmarszczył swe wielkie brwi, i postąpiwszy krok naprzód, przemówił:

— Księżu proboszczu... co to?...

Lecz Chwalkiewiczowi ani w głowie były refleksye. Wykrzyczał chłopów i naurągał im, co wlaźło, żółć uspokoił... Więcej mu nie trzeba było.

— O, księżu wikary, przecieżem nie nieprzy stojnego nie uczyni!... Taki jesteś, jak z drzewa wyrabany... No, nie marszcz się, carissime, bo ci z tem nie do twarzy! Gdybyś był świeckim

człowiekiem, tobym ci rzekł, iż zgoi się do wesela...

Ach, jakim się to wszystko pospolitem, płaskim, trywialnem Protowi wydało! I losy ślepe go tu zagnały, wepchnęły w środowisko Chwalkiewicza i jemu podobnych... Prostacza natura proboszcza razila go—jego, wyrafinowanego i przerafinowanego subtelnika! Płaskie koncepty i ordynaryjny dowcip księdza Chwalkiewicza nie mogły, niestety, go zadowolić, a cała ta postać więcej gospodarza, niż duchownego, rubasznego szlachcica, niż sługi Kościoła, lekkiego karyerowicza, zjadacza chleba, niżeli kapłana—budzić w nim musiała poważne refleksye...

Tak, Chwalkiewicza natura prosta była i niezłożona. Nie było w nim tych delikatnych dźwięków duszy, tego odczucia sercowego i wrażliwości, któreby czyniły z niego człowieka o wielkiem samopoczuciu wewnętrznem i wogóle moralnem. Chwalkiewicz należał do tych niezliczonych porządnych ludzi, którzy nie jaskrawie nieporządnego nie robią i dlatego są naszymi niezliczonymi... Chwalkiewicz był synem szlachcica wiejskiego, t. zw. obywatela, nieźle się mającego, i jeżeli został księdzem, to dlatego, że równie dobrze zostałby gospodarzem, technikiem, kupcem, urzędnikiem i t. d... Wogóle nie namyślał się

bardzo nad wyborem zawodu. Wiedział tylko zmysłem swoim praktycznym, że powinien i jest poniekąd obowiązany zostać czemś, coby nie przyniosło wielkiej ujmy rodzinie, a zarazem dało jemu podstawę do jakiego takiego bytu materialnego i zabezpieczenia przyszłości... Z natury jednak był ociężałym i leniwym: każdy większy wysiłek był mu wielce niemiłym, i często dla świętego spokoju, dla wygodnego status-quo, rad był pozbyć się i sposobności do działania i nie zużywać sił na cokolwiek, czynić wogóle jak najmniej poruszeń woli... To też, gdy po ukończeniu kilku klas gimnazyum na dalsze ojciec nie uważał za potrzebne łożyć, żądając od syna, by się wziął do roli pod osobistym jego kierunkiem, synek, wyrwany z kolei, w którą go jak maszynę wtłoczono, oderwany od lekeyi, które również machinalnie odrabiał, pierwszy raz poczuł, że coś radykalnego i stanowczego ma zająć—i niechętnie o tem rozmyślać począł... Do ojca go nie ciągnęło: ojciec był mantyka, tetryk i człek surowy, obowiązkowy. Obawiał się, że jego miłującą far-niente naturę z nadto ostro i szybko wepchną tam w obrót życia zmudny i uciążliwy... Widział w perspektywie czujne oko dozorey i ostrogi ciągle do działalności prędkiej i skutecznej. To go nie wabiło. Projektował sobie spokój, wygodę i pewność niezachwia-

na bytu. Heroicznie zbuntował się w duszy przeciw ojcu i począł się namyślać. Przyszli mu na myśl księża. Widział ich los zabezpieczony i zatrudnienie bez wielkich wstrząśnień. Odważył się zaprotestować i zakomunikować zdumionej rodzinie, że postanowił sobie zostać księdzem. Ojciec się rozsierdził i nie chciał słyszeć o jedy-naku, lecz matka, kobieta bardzo nabożna, która w tem wszystkim widziała palec boży i świętą iskrę natchnienia, zdołała go przebłagać i do ze-zwolenia na tę karierę synowi nakłonić. Stało się więc, że młody Chwalkiewicz w lat kilka zjechał w roli świeżo wyświęconego kapłana, a w niedługim czasie osiadł opodal na urządzie wikarego.

Odtąd pchał ksiądz Chwalkiewicz swoją tacz-kę przed siebie spokojnie i rad był najwięcej, gdy jak najmniej po drodze spotykał kamieni, o które-by się potknąć mógł. «Dolce far niente» do pe-wnego stopnia, do możliwej ludzkiej granicy, ja-ko tako urzeczywistnionem zostało. Wszelkie zbyteczne i nadprogramowe troski, jako zawa-dzające i niepotrzebne, odsuwane były na stronę mileżącą...

I oto ten ksiądz Chwalkiewicz, z kolei losu, doczekał się nominacyi na proboszcza dużej, bogatej i zasobnej, choć zaniedbanej parafii zamo-unicieckiej. Nie było mu tam źle. Wieś duża,

prócz tego trzy inne jeszcze do kościoła należały, lud cichy, spokojny, dobry, położenie doskonale, miejscowość górzysta, malownicza i zdrowa, uposażenie dobre i dochody niezłe. Plebania porządna: sad, ogród, trochę pola, sąsiedztwo, preferans i wint zapewniony. Uciulał też w przeciągu służby trochę grosza «na czarną godzinę.» Polubił nawet gospodarstwo i chętnie podawał się za niezgorszego w tym względzie praktyka. Konie na przykład wcale miał niezłe; młodziaki jego, znane z dobroci, kupowano chętnie. Przytem nie czuł nad sobą kontrolera, w rodzaju choćby takiego, jakiego los chciał mu swojego czasu w osobie ś. p. ojca jego narzucić...

Tu wzdychał często Chwalkiewicz. Westchnienie to było podwójnem: jedno na intencję duszy ojca, drugie właśnie na karb księdza Prota...

Tak, nie miał kontrolera nad gospodarstwem swoim, ale go miał w rzeczach parafii w osobie tego oto młodego księdza, który najpewniej nie był czem innem, jak rozascetowanym mistykiem (lub rozmistykowanym ascetą) i człowiekiem przenerwowanym, przeczulonym, przebujalym, przerafinowanym i przeholowanym w każdym względzie...

To było niezachwiane przekonanie księdza proboszcza Chwalkiewicza.



Dwa lata temu, z rozporządzenia «sił wyższych,» opatrzone go tym pomocnikiem, który zmienił poprzedniego, dobrego chłopca i prostodusznego, Prostkowskiego. Ksiądz proboszcz z pewnem wzruszeniem żegnał się z dotychczasowym swoim zastępcą, nie wiedząc, co mu los nowego w świeżym wikarym przyniesie. Ten, co odchodził, nie zawadzał mu nigdy zbyt. Dopasowali się nawet do siebie: byli obaj weseli, obaj lubili wypić i zagrać, żaden z nich nie był od tego, by czasami i nie poswawolić, a co do praktycznego zmysłu, zajęć gospodarskich i trzeźwej logiki życiowej, obaj się dobrali doskonale. On znał się najlepiej na koniach i lubił je, przytem i pokrewne dziedziny nie były mu obce, tańtem był majstrem od gospodarstwa ogrodowego i... nalewek.

Świetne robił! Chwalkiewicz do tej pory skrzętnie chował w piwniczce wyroby kompanawikarego i miał się nawet czem pochwalić. Ostrością, delikatnością smaku, aromatem i pewną finezyą «odrobienia» przewyższały one grubo podobne specyfiki, wyrabiane przez innych, a nawet sławne likiery i nalewki Kobuzy, proboszcza z sąsiedniej Woli Czerwonej.

Takie zalety nie były do pogardzenia. Nadewszystko jednak cenił w nim tę umiejętność



niebrózdzenia i niewtrącania się w cudze sprawy... Przez «cudze» rozumiał swoje własne. Każdy z nich szedł własną dróżką, dając poniekąd drugiemu na tę drogę *carte-blanche*. Z obojawnym takim zabezpieczeniem było im i dobrze i spokojnie.

Lecz Prostkowski powędrować musiał, bo tak w diecezyi zdecydowano, i na jego miejsce zjawił się Prot. Z początku przypatrywał mu się Chwałkiewicz z daleka, z ciekawością szczupaka, który nie przypuszcza, by mu płotka figła jakiego splotać mogła. Czuł się w obowiązku z należytą godnością postawić na stopie łaskawego zwierzchnika w stosunku do swego podwładnego, od którego pewnej attencyi się wymaga. Ksiądz proboszcz badał grunt: świeże wspomnienia o wesołym Prostkowskim nasuwały mimowoli życzenie, aby mile *status-quo* było i nadal utrzymanem. Lecz już pierwsze nieprzyjemne wrażenie odebrał Chwałkiewicz wtedy, gdy nowy wikary zaczął delikatnie go wypytywać, jak zaawansował z parafią, kościołem, ludźmi, jakie stosunki panują między plebanią a wsią, jaka oświata między ludem w okolicy, jaka pobożność i t. d. i t. d.

O, to mu się bardzo nie podobało! Przedewszystkiem nie nawykł nigdy do takich badań

a powtóre przypomniał mu się Prostkowski, który, obejmując wikaryat, ani w głowie miał podobne indagacye... Przytem zraziła go mocno wiecznie sztywna, poważna i surowa figura Protta, co stanowczo w tak młodym księdzu uderzało i stosowniejszem było dla mnicha, niż dla kapłana świeckiego...

W tydzień po przybyciu, zaproponował mu, na próbę, partycję winta, którego lubił niezmiernie, a trójka akurat się złożyła, czwartego im tylko brakowało... I dowiedział się wtedy ze zdumieniem, że ksiądz Prot w karty wcale nie gra. Wcale... Grali ostatecznie z dziadkiem, ale przez cały wieczór nie mogło mu to wyjść z głowy i na pożegnanie powiedział do Kobuzy z Czerwonej Woli:

— Dziw mi, zrozumieć nie mogę, że ten wikary w karty wcale nie grywa... No, no!

Kobuza zaś, już odjeżdżający z powrotem, zapiął szczelniej płaszcz swój, podał mu rękę na pożegnanie, i wydawszy lekceważąco swoje grube, zmysłowe wargi, odrzekł:

— Statujka z drewna, statujka z drewna, panie bracie... Mnicha zacietrzewionego ci tu dano; nie tylko w karty on nie grywa, zobaczysz!

I rzeczywiście. Prędko się Chwalkiewicz przekonał, że nie prawie z tego, co dla niego było

tak nieodzownem, księdza Prota nie zajmuje. Siedział w swym pokoju przeważnie i czytał, albo pisał coś, lub chodził zamyślony po ogrodzie. Pilny był o kościół, o parafię, co Chwalkiewicz z jakimś nieprzyjemnem uczuciem w duszy konstatować musiał. Lecz najprzykrzejszem poczęło być to, że owo dotąd dość lekceważone przez niego «bydelko,» o którego sąd i opinię nie mógł przecie dbać, poczęło się jakoś dziwnie ochoczo do młodego wikarego garnać i ku niemu afektami pałać. Byłby ślepym, gdyby nie spostrzegł, że kazania jego jakoś przestały ich «frapować,» że ten i ów ziewa, gębę rozdziawia i nie myśli o tem, co do nich mówi,—gdy przeciwnie na kazaniach Prota i tłumno bywa ogromnie i słuchacze, cali w słuch zamienieni, zdawało się, iż chcieliby słowa jego wprost połykać i najmniejszego z nich wątku nie utracić... Z początku kładł to na karb nowości, ale potem jał się zastanawiać nad ciągłością tej nowości. W końcu doszedł do przekonania, że Prot jest pozownik, udawacz, sensat, że pragnie być oryginalnym i odmiennym od innych i dlatego tak dobrze «robi» z siebie coś zupełnie nowego,—nie spostrzegł tylko, że Prot czyni to serdecznie, poważnie i spokojnie, że Prot biegunowo, krańcowo jest różnym od niego i jemu podobnych, i że

między takimi Prostkowskimi, Kobuzami i nim samym jest całe niezgłębione morze, które ich od takich Protów oddziela. Ksiądz Chwałkiewicz jednak nie chciał lub nie mógł zrozumieć tego i począł Prota bardzo nie lubić.

Że dotąd nie było między nimi wielkich starć i zatargów, to dlatego, iż nieugięty charakter Prota był nakształt pancerza, o który pociski Chwałkiewicza odbijały się jak marne ziarnka piasku lub dziecinne strzałki... Nielada trzeba było gracza, by pokonać, albo zetrzeć choć w części tego cichego, spokojnego wikarego,—takim zaś dzielnym szermierzem nie mógł być Chwałkiewicz, o którym Kobuza, lis szczwany, mawiał, że jest nicokreślonym, a raczej określonym, jak galareta.

Siedzieli naprzeciw siebie milezący. Prot, zachmurzony, ostrym wzrokiem wpatrywał się w proboszcza. W oczach jego wyczytać można było, jak mało cenił swego zwierzchnika. Zimne spojrzenie, które w niego utkwił, zdawało się mówić:

— Znam cię. Jesteś płytkim, pospolitym, trywialnym... Masz więcej uzdolnienia na ekonomę, niżeli na kapłana. Twoim celem życia jest przejść przez nie spokojnie, bezpiecznie i bez wzruszeń. W umyśle twoim nie powstała nigdy

żadna wyższa lub głębsza idea, bo jest on do tego niezdolnym. W błocie życia grzęzniesz po uszy dobrowolnie, z zadowoleniem. Jesteś lekko-myślnym: nie miałeś i nie masz pojęcia, jak wielki ciężar i wielką odpowiedzialność przed Bogiem i przed ludźmi dźwigasz. Czujesz się szczęśliwym, gdy syty usiądziesz do zielonego stolika i w gronie podobnych sobie zapijesz urojone troski... Nie dbasz o parafię, nie dbasz o kościół, nie starałeś się i nie starasz uczcić w chłopie człowieka i jak do człowieka się zbliżyć... Jesteś parweniuszem myśli i parweniuszem uczuć... Brak ci idei przewodniej i nie wyobrażasz sobie, że stworzyć ją sobie można i należy. Jesteś typowym karyerowiczem w duchownej sukience, bez wiary głębokiej, bez miłości bliźniego, bez pokory chrześcijańskiej, bez tego wszystkiego, co ci Pan twój, Chrystus, mieć nakazał... Widzisz się otoczonym tysiącami sobie podobnych i nie uczuwasz wyrzutów sumienia, nie uznajesz karygodności swego ja, czujesz się bezpiecznym i spokojnym, bo imię wasze — legion!

Chwalkiewicz zaś, który pod wpływem tego wzroku uporeczywego tracić zaczął rezon, wykrzywił twarz jakimś grymasem wymuszonym, i zdawało się, że się domyśla, co mu te czarne

oczy mówiły, i, podrażniony tem, wzajem wzrokiem odpowiada:

— Nie cierpię cię. Z początku chciałem cię wciągnąć w mój tryb, aleś się nie dał. Muszę się krępować przy tobie. Jestem twoim zwierzchnikiem, a teroryzujesz mnie więcej, jak jabym ciębie pragnał... Swojami zimnemi oczyma krytykujesz mnie ciągle, bez wytchnienia... Jesteś innym ode mnie i to mnie drażni. Widzę, iż cię miłują, a powinni są to mnie. Masz wolę, siłę charakteru, zaciętość, upór, wytrwałość, ja zaś nie czuję się gorszym od ciebie, choć odmiennym, a widzę, iż ty góram jesteś... Dlaczego wszedłeś mi w drogę i nie jesteś jak inni?...

Wreszcie Prot, który rad był wyrwać się stąd jak najprędzej, a mający coś na myśli widocznie, przemówił sucho:

— Dzisiaj przy odprawianiu mszy zauważyłem, że główny ołtarz w drewnianych swoich częściach ledwie się trzyma... Przytem wszystkie ornamentacye i gipsatury, obrazy, freski mocno są nadwerężone i zniszczone. To wszystko domaga się rychłej reparacyi i odnowienia, jak zresztą cały kościół zewnątrz i wewnątrz, o czem już nieraz księdzu proboszczowi donosiłem...

Chwalkiewicz, który kontenans stracił całym i był zły i zachmurzony, odrzekł z przyciskiem:

— A ja już nieraz komunikowałem księdzu wikaremu, że kościół nie należy jeszcze do najgorszych i że to są wszystko urojenia. Ołtarz główny trzy lata temu przez cieślę Kumiela był naprawianym. Do gipsatur i ornamentacyi nie będę z miasta sprowadzał specjalistów, ani obrazów odnawiał, bo i za co?... a co do kościoła, cóż mu brakuje? Czy się wali?...

— Jeszcze się nie wali, ale może się zawalić — odpowiedział Prot.—Od czasów Zebrzydowskiego tak dobrze jak nie był ruszanym...

Chwalkiewicz się zerwał z fotela i począł wykrzykiwać:

— O, co to, to proszę bardzo... co to, to bardzo proszę!... Jakto, od czasów Zebrzydowskiego? A czy Zebrzydowski na moc stawiał, na zawsze, na wieki? Czy Zebrzydowski dał fundamenty z żelaza, a mury z cegły jakiej nadzwyczajnej? Ludzka robota, mosterdzieju, a Zebrzydowski także Bogiem nie był! Zresztą zreflektuj się, księżę wikary, że to wszystko nawet licho było odrobione, przeto nie dziw, że teraz to i owo nie tego...

Poczem, rozkrzyżowawszy ramiona, dodał patetycznie:

— Ja zawsze łatałem, jak mogłem...

Prot zaś dokończył:

— I dlatego nie winna księdza proboszcza, że się całości nie trzyma...

— Jakbyś wiedział, carissime! Łatwo to powiedzieć: zrób, daj, zreparuj... Ale skąd, jak i co? Czy to parafia załomuniecka takie złote jabłko? Czy ofiarność albo dbałość o tę świątynię (tu przewrócił oczyma i westchnął pobożnie) taka ogromna? Czy ja sam leżę na pieniądzach? (wspomniał o uciulanem «ciężko» grosiwie). Cóż wreszcie ja sam, pan proboszcz Chwalkiewicz, uczynić mogę? Nic!

Prot zamilkł. Chwalkiewicz nie próbował nawet nigdy wziąć się do tego, wiedział o tem wikary. Zwyczajną było u niego rzeczą własno niedołęstwo lub niedbalstwo maskować przeszkodami wszelakimi. Co do tego Prot się nie ludził, i jeżeli słuchał tych wykrętów z przymusem, ale dość cierpliwie, to dlatego, by znaleźć jakąś okazję do natchnienia, lub wreszcie delikatnego zmuszenia proboszcza do pomyślenia na seryo o ważnej sprawie parafialnej.

Chwalkiewiczowi — gospodarzowi i hodowcy koni—zanadto siedziały dotąd w głowie interesa



czysto praktycznej, osobistej natury, a za mało lub zgoła nie nie myślał on o tem wszystkim, co do jego stanowiska duchownego przywiązaniem było...

On, dobry kompan, dobry szlacheciura, pan-brat, tylko że w sutannie, skory do wypitki i wybitki, facecyonista, nie świętoszek żaden, dobry znawca preferka, wista, winta i innych, używanych u nas gier, nie był zdolnym do tych wszystkich «finezyi,» jak zwykł określać różne, nieprzypadające mu do gustu rzeczy.

Czasami, bardzo rzadko zresztą, i na niego nadchodziły jakby chwile refleksyi: a nuż, a może... Ale cóż? W tym promieniu koło niego i gęsto indziej jacyż byli ci wszyscy inni? Ani żli, ani bardzo grzeszni, ani przestępcy... Wszak mówili: dobry człek, niczego proboszcz, wikary, Pana Boga na ustach ciągle ma... I mszę odprawi jak należy i kazanie palnie, hu, i jakie! O miłosierdziu grzmi i pokorze, zaparciu się, poświęceniu i wszystkich cnotach chrześcijańskich... Pan Bóg tam co trzecie słowo na ustach, gromy piorunów spadają na głowy nieposłusznych lub niepokornych... Chwalkiewicz wiedział o tem i doskonale zdawał sobie sprawę z całej komedyi tych podniosłych chwil duchowych... Ale widział on i lepsze «kawalki...» Pewien syty i suty proboszcz, który miał zwyczaj ciągle Bogiem

szafować i w którego kazaniach dla maluczkich mieściły się obietnice wszelakich najstraszniejszych mąk piekielnych dla zatwardziałych w lenistwie w służbie Bożej owieczek, powiedział mu kiedyś po «szóstym» węgierskiego otwarcie:

— Panie bracie, żebym ja tego bydła mocno za łby nie trzymał, a pofolgował im choć trochę... rozstap się ziemio, nieby nie było! Kaśka, ja i Antoś zeszlibyśmy całkiem na psy... Bo i cóż? Czy to ja się z tego marnego uposażenia utrzymam? Ani to geby czem jak należy obetrzeć, ani jako tako wyżyć...—Tu poklepał Chwalkiewicza po ramieniu w zaufaniu: — Tak, tak, dobrodzieju, kto Bogu służy, z Boga musi żyć!... — Nachylił mu się do ucha i dokończył swobodnie:—Ja też ich duszę, i w ryzie trzymam, i nabożnie skakać każe... no i czy mi z tem źle? he, he, he! czy mi źle? he, he!

Brzuch mu się trząsał, a czerwone policzki jeszcze bardziej poczerwieniały...

Chwalkiewicz wiedział doskonale, iż się tak czyni, gdyż sam poniekąd robił podobnie, ale swoją drogą dziwił się grubemu księdzu, że otwarcie się do tego przyznaje...

Niezręcznie było proboszczowi załomunieckiemu, gdy czasem trafił na księdza zgoła do tego typu niepodobnego... Tacy bywali skromni, eisi

i bardzo obowiązkowi. Zwykle gorszyła ich działalność «trzeźwych» kolegów, zżymali się na nich, oburzali... Panowie praktycy, jak Chwalkiewiczów, Kobuzów i Prostkowskich nazywano, nie pragnęli być innymi. I dlatego Chwalkiewicz, choć tam czasami, rzadko bardzo, coś w głębi sumienia mu się poruszyło, odganiał instynktownie tę marę od siebie, bo czuł, że lepszym on nigdy już nie będzie, a odbiegać od stada i za późno, i niebezpiecznie i nie oplaci się...

To było wielkie słowo, a z tego słowa dawał się wysnuć jasny, logiczny wywód, iż praktycznym administratorem, proboszczem (bo wikarym to jeszcze nie bardzo) niczle jest być. Bo czyż inaczej warto się stroić w suknię świętego i całe życie jedną wielką komedię odgrywać? Och, chyba nie!

Niedziwnem dlatego było, że Chwalkiewicz nie zastanawiał się na przykład nigdy ucziwie nad pytaniem, czy kościół, którego jest proboszczem, nie woła głosem pomsty o odnowienie i restaurację... To wychodziło z zakresu spraw plebanii, ogrodu, pola plebańskiego, stajni, obórki, winta, pogrzebów, ślubów i chrześćin...

Milczenie przerwał Józiek, który, niepomny na niedawną swą stać ucieczkę, wleciał do pokoju jak oparzony i począł krzyżeć:

— O wa, jegomościuniu! niech-no też jegomość się przebierają co duchu, bo nikiem nie mogą w tym płócienniku ostać... Z tygo pokoju także trzeba te wióry wyrzucić... A zawsze jegomość nastruga tych fujarków! Zaraz mówilem do Bartka, co ta kobyła na przedzie to lejcowa gniada z białemi łapciuchami na brzuchu... A Bartek sprzeca się i ino ciągiem powtarza, że to je wałach kaśtanowaty, co go lońskiego w Skolomowie na jarmarku kupili... Ho, wej, ja mam dobre oczy! I breczysko dojrzałem, a kurziawę to ci taką podnieśli, że nic więcej dożyć nie mogłem, hej!

Tu począł trzepotać rękoma i raz wraz przenosił latające oczy z proboszcza na wióry i z wiórów na proboszcza... Tymczasem Chwalkiewicz, na którego to nieoczekiwane intermezzo spadło zupełnie niespodzianie, zmarszczył się gniewnie, i schwyciwszy Józka za ramię, krzyknął w złości:

— Chłopie, co bredzisz? Czy cię nieprzytomność ogarnęła? Co ty pleciesz o gniadej i kaśztanie?

— No, no, niech-no już jegomość tak nie targają! Jaka ma być gniada kobyła, jak nie ta lejcowa, co zawdy z ogierem śmigala w parze? I jaki ma być kaśtan, jak nie ten, co rychtyk w Skolomowie wtedy żyda podziundził, jak mu

paskudziarz pod ogon zaźrał?... O rety! to już jegomość nie nie pamiętają?...

Tu wziął się Józiek pod boki i żałośnie głową kiwać zaczął. Proboszcz zły, ale i zdziwiony wielce, spoglądał na parobka swego jak na waryata, któremu się we łbie pomieszało. Rzucił z ukosa spojrzenie na Prota: na twarzy jego igrał ten sam uśmiech, co przy scenie poprzedniej. Nie wiedział wreszcie, co począć, i wielce rozsierdzony i zniechęcony, siadł ciężko z rezygnacją i przemówił:

— Nie, to skaranie boskie z tymi obwiesiami! I czegoż się ten głupiec dziwi? Ja mam pamiętać jakąś gniadą i jakiegoś kasztana, którego żyd za ogon szarpał? Nie, doprawdy, życie się przykrzy... Co, carissime, na to mówisz? czego ten półgłówek chce?

Lecz nim Prot zdołał odpowiedzieć, już odpowiedź sama się zjawiała. Przed furte obejścia z szumem i trzaskiem zajechał duży, zakurzony brek, zaprzężony w cztery rosłe i silne konie, na czele których szła gniada z białymi łatanami na brzuchu i sławny kasztan, co tak nieoględnie postąpił sobie w Skolomowie z żydkiem. Osadziła ich na miejscu młoda, hoża panna, ubrana w ciemną, obcisłą suknię, z zacięciem i werwą, jakiejby mógł jej pozazdrościć niejeden zblazo-

wany synek obywatelski... Wielkie, obfite złote włosy, cokolwiek przez wiatr rozdmuchane, ciekawie i swawolnie zwisły jej na czoło i białą szyję, i przystroiwszy się tam w formę loczków, nadały jej wesołej i śmiejącej się twarzy urok czegoś bardzo powabnego i denerwującego... Oczy żywe, bystre i nad wyraz śmiałe utkwila w konie, które się zaryły w ziemię, i pokrzykując: prrr!... ściągała je drobnymi rączkami ku sobie. Za nią siedział jakiś gruby pan, cały spocony i świecący, w którego twarzy malował się heroizm poświęcającej się ofiary. Pan ten, ubrany w biały od kurzu płaszcz, rad był widocznie, że dobito wreszcie do mety. Bez pomocy forysia, który pobiegł chwycić rzucone sobie przez pannę lejce, wygramolił się z breku, i stanawszy na twardej opoce załomunieckiej, wydał z siebie krótkie:

— Chwała Bogu!

Panna tymczasem, oparłszy się lekko na podanej jej z attencją ręce forysia, zeskoczyła zwinnie na ziemię, i ogarnawszy cokolwiek rękoma swe złote włosy, rzekła do grubego pana:

— Jestem, papeczko.

Przy tym ruchu, gdy ramiona do góry podniosła, w tej wdzięcznej pozie, w której rzadko której kobiecie nie do twarzy, można było mi-

mowolnie podziwiać krągłość i składność jej dziewiczej postaci. Lekko wydatne biodra, o wdzięcznej półokrągławej linii greckiego wazonu, z zarysem łona i piersi, których jędrność i soczystość nieledwie się wyczuwało, stanowiły całość bardzo harmonijną. Na chwilę można było nawet przypuścić, że to jakaś boginka figlarna zjawiała się do Załomuńców, by kusić tu spokojne i niespokojne duchy... Panna, jak każda zresztą ładna kobieta, wiedziała pewnie dobrze, jak ujmującym jest stworzeniem. Cała jej istota drgała młodością, wdziękiem, życiem... Czuć było, że ta kobieta, będąca w zaraniu swego rozkwitu, wyciąga do świata ręce z oddaniem:

— Bierz mnie... Nie boję się ciebie, pragnę cię!...

Dźwięcznym głosem rzuciła forysiowi:

— Koni nie wyprzegać, niech stoją na pogotowiu... Obroku tylko co na przetrącenie i napoić!

Gruby pan z zadowoleniem przyglądał się swej pieszczosze. To było jego dziecko, jego, pana na Dębowie, Poradzewie i Trzecieszyskach! Miał czem się chlubić i być dumnym, święcie był o tem przekonany: panna jak cukier, a i okrasy nie zabraknie.

Tu westchnął pan Skomorowski z Dębowa, bo mu się *ex re* okrazy dla Niuty przypomniało, że jednak w całym Dębowie, Poradzewie i Trzeciyskach nie będzie miał chyba w tym roku wielkiego plonu z zbóż jarych i ozimych, gdyż podle deszcze, padające ostatnimi czasy zbyt często, wymoczyły mu je doszczętnie...

Ksiądz Chwalkiewicz, usłyszawszy turkot i hałas, wyjrzał ciekawie przez okno. W pierwszej chwili oniemiał. Teraz, za późno niestety, zrozumiał bredzenie Józka: ta jakaś gniada i nerwowy kasztan okazały się znanymi na całą okolicę końmi pana Skomorowskiego z Dębowa, a kościoła załomunieckiego kolatora łaskawego. Lecz zdumienie jego było tem większem, gdy na breku ujrzał... przetań oczy—nie, wzrok go nie mami... kobietę i to jaką jeszcze! W mig domyślił się, że to była owa sławna Niuta Skomorowska, która dotychczas siedziała w Sacré-Coeur w Paryżu, a potem w Warszawie u ciotki, i teraz dopiero po raz pierwszy do Dębowa zjechała... Uderzył się ręką po czole. Że też on się tego zaraz nie domyślił! No, ale że Niuta... Nie, doprawdy, głowę można stracić!—Biedny proboszcz kręcił się po pokoju jak lunatyk. To chwycił za to, to za owo, to już zrzucił z siebie kitel, to znów go machinalnie wkładał. Rozpacz-



liwy wzrok jego latał po pokoju: wióry leżały! Nareszcie Józiek, który ulitował się snać w duchu nad proboszczowem strapieniem, jał pośpiesznie je zbierać i wpychać gdzie się dało po kątach, bo na wynoszenie już czasu nie było. Nie darował jednak i pod nosem mamrotał:

— A rychtyk... a mówiłem... a ujadalem... Dobrodziejowi to widać tak i zaciemniło, kiej nie wiedział ci już, co gniada, a co tyn kasztan... Ojej, gdzie ja to wpakuję? A mówiłem do Bartka, co te fujarki niepotem... Dobrze, dobrze, już pochowam, niech jeno dobrodziej skiną ten kitel.. Ta nowa sutanna to w tamtej szafie! Wej, już zsiadają!

Jakoż zsiadali wtedy. Naprędce szczęśliwie wydobytą sutannę wciągnął na siebie Chwalkiewicz, kitel wpakował gdzieś pod łóżko. Rzucił wzrokiem w lustro: ujdzie. Obejrzał się po pokoju: Józiek już jako tako oprzątnął, teraz wypadł gdzieś, pewnie do koni. Ksiądz Prot siedział nieruchomie.

W pierwszej chwili nie wiedział, co się stało. Sądził, iż to ktoś ze zwykłych proboszcza gości: Kobuza, burmistrz z Skolomowa, aptekarz, doktor, lub wreszcie ktoś inny. Mało go to obchodziło. Lecz wyjrzawszy, na wykrzyknik proboszcza, przez okno, oniemiał również: do pustkowie

tęgo przyjeżdżała kobieta młoda, ładna, elegancka, z podtatusiałym mężczyzną, w którym poznał Skomorowskiego; widywał go czasami w kościele. Nie znał go jednak osobiście, bo nie zdarzyło się, by Skomorowski za niego na plebanie zajechał. Zresztą nie było go zwyczajnie na wsi — siedział w Warszawie lub za granicą. Nie wiedział jednak ksiądz wikary, że pan dziedzie córkę ma.

Co do Chwalkiewicza, to znał on Skomorowskiego dość dobrze, gdyż bywał u niego na partyjkach, o ile ten ostatni w Dębowie przebywał.

Na pozór ta rewizyta nie wydawała się zbyt dziwną: wszak Chwalkiewicz był duchownym, proboszczem miejscowym i człowiekiem lat poważniejszych,—a jednak zdumienie odmalowało się na twarzach Chwalkiewicza i Prota, gdy spostrzegli, że pan z Dębowa nie sam przybywał. Chwalkiewicz ani przypuszczał, by ta elegancka i szykowna «mała,» którą lat temu parę znalazł jako młodą dziewczynkę w krótkiej spódniczce, przyjeżdżała teraz do niego bez wielkiej ceremonii, jak każdy gość, jak zwyczajny gość!!...—Cóż to za kobieta być musi!—pomyślał i, pomimo całego zakłopotania, mlasnął smakowicie językiem.

Wyszedł na ganek, i zszedłszy po jego stopniach, ruszył witać drogiego gościa.

Goście nagabywali akurat Józka, czy proboszcz w domu.

— A ot, idą proboszcz, jasny panie—odparł zuch załomuniecki i poleciał oglądać kasztana, dla którego, od czasu wypadku z żydem, miał wielki szacunek. — Ej, kałtan, kałtan! — mawiał Józiek do Bartka — to ci śwarna bestyja! Innemu to i za podogonie innąć się pozwoli, a jak ci tylko nieszczera żydowska dusza go się dotknie, luń go w podpępek, lignie, nikiem nasza łysa!... Hu!

— Pana dobrodzieja, dziedzica i łaskawcę naszego, w niskich progach witać, witać, witać! — wołał już z daleka ksiądz Chwalkiewicz, ujrzawszy grubego jegomościa, wchodzącego do ogródka plebańskiego wraz z uroczą córką.

W duchu zaś myślał:

— Niech was też wszyscy dyabli, żeście się tak niespodzianie na kark mi zwalili! Co ja teraz z wami pocznę?

— A tak, księżo proboszczu — odpowiedział jegomość, wyciągając łaskawie swą rękę, — należało się, należało...

— Już też pana dobrodzieja z upragnieniem oczekiwalem!

Skomorowski zwrócił się ku córce i wziął ją za rączkę.

— A tę osobę poznaje ksiądz proboszcz, co?

— Jakże nie miałbym poznać?—odrzekł proboszcz, położywszy rękę na piersi i schylając z szacunkiem głowę — panna... Janina... jeżeli się nie mylę?...

— Ona, ona! — zawołał wesoło pan z Dębowa—wisienka urosła, malina!

Proboszcz niżej jeszcze skłonił głowę, co miało oznaczać, z jak głęboką attencyą jest dla tej młodej latorośli Skomorowskich...

Panna srebrzystym zaśmiała się głosem. Wyciągnęła do niego drobną swą łapkę, opiętą w elegancką rękawiczkę, którą on skwapliwie uchwycił.

— Co to za kobieta być musi! — pomyślał po raz drugi i o mało że głośno nie mlasnął językiem.

Stał jednak pochylony z szacunkiem i niczym ruchem dawał poznać po sobie, jak godnych dla siebie gości przyjmuje pod dachem swoim...

— Naparła się koniecznie jechać — mówił Skomorowski,—cóż mogłem uczynić?... I koniecznie samej powozić!...

— Papeczko, a zły ze mnie woźnica?

— Nieskończenie dziękuję za zaszczyt! — mruzczał Chwalkiewicz — taki gość... rzadki gość!

Po jej wargach przeleciał uśmiech drwiący. Bawiła ją ta wizyta, to miejsce i ten gruby proboszcz, niewiedzący, jak mu się należy do nich zabrać...

To było niezłe!

Po wyjściu Chwalkiewicza, porwał się ksiądz Prot z krzesła i zmierzył ku drzwiom. Pustelnikowi temu odwiedziny takie nie były na rękę. Uciekał do swych książek. Głos kobiecy, młody, dźwięczny i wesóły, głos kobiety eleganckiej i światowej, dziwnie odbijał o ten dworek, w którym było i jego mieszkanie... Pragnął usunąć się stąd czempredzej, uciec...

Ale już było za późno!

Z pokojów Chwalkiewicza do mieszkania Prota trzeba było przechodzić przez wspólny korytarz czyli przedpokój. Już ksiądz Prot wszedł do tego przedpokoju, by wymknąć się chyłkiem do siebie, lecz na ganku usłyszał rozmowę. Byli już więc tutaj. Przejść można było, ale koło nich, a wtedy i zostać z nimi wypadło. Z ciemnego korytarza ujrzał nadržabiającego miłą Chwalkiewicza, pełnego pewności Skomorowskiego i tę młodą kobietę, która stała różowa.

uśmiechnięta, opromieniona odbłaskami jasnego przedwieczoru... Prot spojrzal mimowolnie na tę pyszną figurę, pyszne ciało młodej, dojrzałej dziewczyny, uwydatnione obcisłą suknią, na fale złotych, płowych włosów, mieniących się w świetle, na ogromny florencki kapelusz, z miłym wdziękiem włożony na głowę—i trochę krwi napłynęło mu do głowy. Od wielu lat była to pierwsza «taka» kobieta, z którą spotykał się równie blisko.

Od wielu lat przywykł tylko do książki i do ascetyki. Dawno zapomniał, że orle loty młodości szybują ponad czem więcej jak modlitwa, cichy obowiązek i spokój sumienia...

Wrócił do pokoju Chwalkiewicza i usiadł na krześle. Głowa zwisała mu cokolwiek. Ocknął się z zamyślenia, gdy usłyszał obce głosy w pokoju. Powstał machinalnie, a Chwalkiewicz go przedstawiał:

— Ksiądz Prot, wikary załomuniecki; pan Skomorowski z Dębowa.

Poczem zwracając się do panny, powtórzył raz jeszcze:

— Ksiądz Prot, wikary załomuniecki, mój pomocnik.

Ksiądz Prot skłonił trochę głowę. Pan z Dębowa wyciągnął do niego rękę, przyglądając mu się ciekawie. Panna obojętnie i zi-

mno kiwnęła głową i podała końce palców. Prot uściskał je.

Rozmowa od razu weszła na temat przyjazdu młodej dziedziczki. Okazało się, że panna przyjechała na dłużej, z zamiarem zabawienia w Dębowie paru miesięcy, poczem wyjeżdża z ojcem do Włoch, a na karnawał wraca do Warszawy. Obiecywała sobie dobrze zużyć ten wywczas letni, tem bardziej, że lubiła wszelakie sporty, do których od dzieciństwa już się zaprawiała, co jej tem łatwiej przychodziło, iż matka dawno umarła, a najęta francuska «mamzela» nie odważyła się przeciw tym zachciankom, bo Niuta miała nad panem domu władzę nie fikcyjną... Mamzele te przez jakiś czas nie prześladowały jej swemi manekinowo-sztywnemi postaciami dla tej przyczyny, że panna dopełniała edukacyi w klasztorze, co było gorącym życzeniem jej ciotki. Ciężkie to jednak były czasy i Niuta wspominała zawsze o nich z obrzydzeniem. Sfinksowata postać matki - przelożonej, dziwaczna powaga mniszek, oschłość i suchość całego trybu życia i nauki nie były po myśli żywej jak skra i pustej dziewczyny. Ona zawsze lubiła swobodę, zawyackość i swawolę, tu zaś tymczasem kazano jej, ubranej, jak się pogardliwie wyrażała, w ogólną «liberyę» być cichą, potulną i bardzo grzeczną

panienką... Nie rozumiała reguły z góry ustanowionej: dla niej urok miał tylko indywidualizm. Wszelka formułkowatość zabijała ją wprost moralnie—jak się patetycznie wyrażała. Dużo listów i błagalnych i niezłomnych pisała w przeciągu tego czasu do ojca, by czempredzej z tej «jamy» ją wydobył; ale ojciec, zwykle uległy na krótki dystans, zabezpieczony odległością swej jedynaczki, słuchał w tym względzie rad ciotki, która stanowczo była za klasztorem i to koniecznie francuskim...

Tak więc Niuta «wiedła» w tym «grobie.» Wiednienie to jednak nie szło jej na szkodę. Ładna i tak — wyladniała ogromnie. Urosła, rozwinęła się, dojrzała i z zachwycającego pączka stała się zachwycającą panną. A że tak było, o tem wiedziała dobrze. Nieraz, gdy do «parloiru» przyszedł ktoś z braci koleżanek, często ślicznych chłopców, a Niucie udało się wymknąć z pod czujnego oka dozorczyńni i «wypadkiem» asystować przy cudzej rozmowie, widziała, jak z za kraty leciały ku niej pożerające ją spojrzenia, jak ci wszyscy mężczyźni, i mali i starsi, mówili jej oczyma wymownie:

— Jakaś ty cudna, jakaś ty zachwycająca!...

Zwykle w takich razach chlubiła się przed koleżankami, iż udało jej się wywieść w pole



czujność matki przełożonej i spostrzegawczość siostry asystującej...

Niute, która się tam nazywała popularnie «la belle polonaise,» otaczał w klasztorze nimb jakiejś aureoli... Choć panny tam były po większej części tylko bogate i dobrze a przynajmniej nieźle urodzone, to jednak piękna Polka wyróżniała się wśród nich stanowczo. Była i bogatą, i piękną, i elegancką, była zdolną i była zręczną, ach, jaką zręczną! Jeżeli która czegokolwiek nie umiała, na pewno umiała to Niuta, Niuta — ta iskra, ten ogień, to żywe srebro, z swemi olbrzymiemi czarnemi oczyma i jasnymi złotymi włosami — fenomen!

Przecież i na nią raz się oburzyły koleżanki. Pytały ją, czemu jest tak ładną i miłą? Żądały odpowiedzi szczerzej. Oczekiwano więc spuszczenia oczów i zaprzeczenia. Panna Skomorowska tymczasem najszczerzej w świecie odpowiedziała, że pewnie dlatego, iż urodziła się w Warszawie, a tam rodzą się tylko kobiety miłe i ładne. Powiedziano, że jest zbyt śmiałą w swych spostrzeżeniach i zarozumiałą.— Taką to córeczkę miał ten tłusty jegomość, o powierzchowności nadzwyczaj wytwornej i eleganckiej, spokojnych, godnych ruchach, twarzy pospolitej, ale przyzwoitej, i rękach udekorowanych na palcach

małym składzikiem jubilerskim. Mówił nie szybko i nie wolno, jak na statecznego człowieka przystało, gestykułował umiarkowanie i wogóle był z pozoru wcale dobrym, protekcyjnym dżentelmenem, łaskawym kolatorem kościoła, którego proboszczem był Chwałkiewicz.

Pan był brunetem, trochę tylko łysawym. Wzrostu mniej niż średniego, gdy mówił — zadzierał nieco głowę, jakby chcąc lepiej widzieć tego, z którym rozmawiał. Postać ani nadzwyczajna, ani bijąca w oczy czemś nienaturalnem. Był to przyzwoity *gentilhomme polonais*.

O panu z Dębowa różne chodziły wieści. Jedni mówili, że to pan z dziada pradziada, choć majątki jego w tej okolicy nie były dziedzicznymi. Inni bąkali, że to spekulant, dorobkiewicz, z nikiemnej kondycyi, z powodzeniem udający pana. Byli i tacy, co mówili ni to, ni owo—i ci chyba najwięcej mieli słuszności. Pan Skomorowski bowiem, jak niektórzy dobrze tego świadomi powiadali, pochodził z rodziny ongi bardzo bogatej, która wszystko prawie utraciła. Ojciec dziedzica mieszkał gdzieś w mieście i z ocalonych resztek jął się dorabiać majątku na nowo, jak na teraz jednak już więcej przemyślnie, to jest na różnych spekulacyach. Syn, tatuś Niuty, miał już pewne podstawy i w krótkim czasie

dzięki tym podstawom, bogatemu ożenieniu się i osobistemu niezgorszemu sprycikowi, zrobił wcale piękną fortunę. Wtenczas rzucił miasto i przeniósł się *de jure* na wieś do Dębowa, który nabył wraz z sąsiedniemi Poradzewem i Trzeciyszyskami. Stale jednak przebywał albo w Warszawie, gdzie miał jeszcze dobrą fabrykę, albo za granicą... Niutę zyskał wzamian za żonę, bo Skomorowska przy położu umarła. W pół roku po tej śmierci przewiózł córkę do nowokupionego Dębowa i chował do pewnego czasu na «świczem» powietrzu. Niuta już wtedy była rozkoszna i zapowiadała się z czasem na piękną pannę.

Jakoż sprawdziły się przypuszczenia.

#### IV.

Rozmowa nie była ożywiona. Pan z Dębowa po gawędzie o jedynacze przeszedł na pole rozpraw gospodarskich. Postętkano trochę na ciężkie dla rolników czasy, na deszcze w tym roku długotrwałe, niedawno dopiero, od dwóch tygodni niepadające, na upadek produkeyi rolnej, a raczej niżenie cen i trudność wytwórczości w obecnych warunkach ekonomicznych... Biadania to były szablonowe i jednostajne, bez głębszej myśli przewodniej przeprowadzone. Dysputę tę urzędową prowadzili tylko Skomorowski i Chwalkiewicz, który, jako uprzejmy gospodarz, rad uchwycił pierwszy wątek, by go snuć ku zadowoleniu gościa. Panna brała w tem udział niewielki. Od czasu do czasu wtrącała słów kilka, śmiałych, energicznych i stanowczych, jak wszystko, co czyniła lub mówiła. Zdawała

się jednak słuchać uważnie i na pozór zajmowała się przedmiotem. Była zdecydowaną zwolenniczką protekcyonizmu w przemyśle i cel ochronnych dla handlu, szczególnie co do niektórych działów przemysłu rolniczego. Teorye, połapane nie wiadomo skąd i gdzie, stawiała z pewnością młokosa jako postulaty niezbite i pod koniec nawet, ożywiwszy się, usiłowała przekonać zachowawcę w tym względzie—Chwalkiewicza. Paradnem było, gdy ożywiona wygłaszała rzeczy, wymagające wielkiego zastanowienia i przetrawienia wewnętrznego, ale w stosunku do swego ojca i Chwalkiewicza, kto wie, czy nie ona mówiła jeszcze najlogiczniej.

Prawdziwą ulgę odczuł Chwalkiewicz dopiero, gdy rozmowa przeszła na rzeczy popularniejsze: chów bydła rogatego i nierogatego, środki do podniesienia hodowli młodzieży w stadninach rządowych i prywatnych, najracjonalniejsze urządzenia stajen, obór i chlewów, wreszcie z trochę innej dziedziny — o stosunkach sąsiedzkich w okolicy. Lecz tu pole było jałowe. Z księży, nikogo prócz niego, no i obecnie Prota, pan Skomorowski nie znał. Kobuzę jednego chyba, a i to z daleka. Z obywatelstwa, prócz niejakiego pana Dobrozackiego z Klonowic, starego kawalera, wielkiego dziwaka i ogromnego oryginała, i przy-

kładnej pary niemieckiej z Chęciszan, takich biedaczków, co nigdy nie nauczyli się znośnie wymawiać nazwiska własnego majątku, mając pewnie przycięty teutoński język (przerobili wreszcie Chęciszany na Kentischen), nikogo w bliższej okolicy nie było.

Co prawda, w tym promieniu koło Skolomowa, miasteczka powiatowego, istniało jeszcze wsi kilka, ale te były albo włościańskimi, jak Zalomuńce, albo marnymi folwarkami, z siedzącymi na nich dzierżawcami. Dla bogatego pana z Debowa, mieszkającego w pięknym pałacu, prowadzącego nawet na wsi życie w wielkim stylu, trzymającego multum koni na stajni, etc. etc., nie były to indywidualia godne wspomnienia. Zwykle zjeżdżało się to wszystko na jarmarki do Skolomowa i wtedy posesyonaci, zamożni, średnio-zamożni, «anstaendige buergerliche Familien,» przeszczepione w Królestwie na grunt «obywatelski,» wreszcie chudeusze, — wszyscy mieli sposobność widzieć się choć z daleka i robić wzajemnie masę spostrzeżeń i uwag.

Ksiądz Chwalkiewicz począł utyskiwać na sąsiedztwo:

— Nikogo tu, panie dobrodzieju, niema, z kim możnaby jako tako czas przepędzić... Ot, jest ksiądz proboszcz Kobuza, pan Dobrozacki w Klo-

nowicach, ale to dziwak nad dziwaki, no i burmistrz, lub kto inny z Skolomowa. Tak, to do-  
prawdy pustynia! Protestanekich kwadratowych  
Muellerów z Chęciszan nie można brać w ra-  
chubę...

Panna zagięła rączki:

— Więc księdzu proboszczowi nudno? Bodaj  
to ja! Mnie tak dobrze na wsi! Jest koń, łąka,  
łaki i lasy do spacerów. *Mademoiselle* zwykle  
ustanie w pól drogi, nie znosi tych wycieczek,  
a ja je pasyami lubię!

W rozmowie tej nie brał udziału Prot. Z po-  
czątku zamienił z przybyłym Skomorowskim  
słów parę, nie nieznaczących, zwyczajnych, ta-  
kich, jakie się zwykle dla przyzwoitości z świeżo  
poznanyim człowiekiem zamienia. Potem siedział  
mleczący, przysłuchując się na pozór dyskusyi.  
Panna, z umysłu, czy też bezwiednie, bardzo  
względem niego oschła, nie zaczynała z nim  
rozmowy. Uderzyły ją jednak chłód jego i szty-  
wność, a następnie i trochę podrażniły. Panieńską  
jej dumę, nawet w księdzu szukającą mężczy-  
zny - światowca i czulego na wdzięki kobiece  
osobnika, ubodła ta jakaś powaga, która tak  
silnie odbijała od swobody i gadatliwości pro-  
boszcza, i zimny, stalowy wzrok, jakim patrzył na  
wszystko, nie wyłączając jej samej.

Wprawdzie w klasztorze aż do znudzenia powtarzano jej, że osoby duchowne są wcieleniem wszelakich, w granicach ludzkich, ideałów—że są to ludzie oddani modlitwie, duszpasterstwu i zbawieniu wiecznemu,—ale młoda jej główka instynktownie nie chciała uznać bezwyjątkowości, i to szerokiej, tych pewników.

O, wszak młody ksiądz Perpignan, ich prefekt, ani myślał być takim! Miał ładne niebieskie oczy, któremi strzelał chętnie w ich stronę, starannie ułożone blond włosy poprawiał od niechcienia dość zgrabnie; sutanna zawsze ułożona była z wdziękiem i z pewną fantazyą zapięta; białe, wypieszczone ręce lubił od niechcienia wystawiać i głosem swym miękkim, aksamitnym, zachwycać młode pensyonarki... Ksiądz Perpignan nie był wcale i nie chciał być jakimś pustelnikiem, któryby z mamutową powagą umiał prawić ciągle tylko o Bogu... Nie zamierzał pozować na świętego, ani czynić z siebie materiał na błogosławionego... To też gdy zmieniono im nareszcie niecznośnego i niemilego katechetę, staroego księdza Jacqot, prawiącego wciąż o pracy i obowiązkach, z wielkiem zadowoleniem powitały blondyna z niebieskimi oczyma, w którym rzecz zwykła, podkochiwały się...



Bo ksiądz Perpignan był wesołym, miłym chłopcem. Dostawały od niego jego fotografie wzamian za swoje, a przy kończeniu klasztoru nie obyło się i bez pożegnań, dość czułych nawet.

Niuta zresztą nie jednego już księdza widziała, i miłego, i wesołego i przyjemnego... Cóż mogło być naturalniejszego nad to, że młodzi i starsi mężczyźni nie chcieli i nie mogli być sfinksami, zamkniętymi w sobie dla tej jednej przyczyny, że los ich oblekł w duchowną sukienkę?... Ksiądz Chwalkiewicz na przykład, albo Kobuza... Garderobiana dosyć jej o nich naopowiadała... I czyż podobna być kamieniem?...

A jednak ten młody wikary zdawał się być sfinksowatym. Niuta, która z początku nie chciała zwracać nań uwagi, mniemając słusznie, iż on o to usilnie sam ubiegać się powinien spostrzegła pod koniec krótkich odwiedzin u proboszcza z niesmakiem, że młody wikary zachowuje się najobojętniej w świecie... Słyszała, jak parę razy Chwalkiewicz zwracał się do niego, gdy była mowa o stosunkach parafii. Odpowiedzi jego były krótkie, zimne, lakoniczne... Sama się wreszcie nie spostrzegła, jak ją to poczęło cokolwiek niecierpliwieć... Czyżby rzeczywiście to była taka bryła kamienna? Zbyt żywo pamię-

tała wymowne spojrzenia i miny prefekta i księży, którzy do klasztoru zachodzili... Pospolity człowiek!

W rozmowie z Chwalkiewiczem spojrzała parę razy na wikarego. Zimne, stalowe oczy utkwił grzecznie ale chłodno w nią i nie zdręgała mu nawet powieka, jak tego oczekiwała panna Skomorowska. Przy jednym z takich spojrzeń, rzuconych «en passant,» spuściła mimowoli oczy: spokojny wzrok młodego księdza, utkwiony w nią z pewną surowością, zmusił ją do tego. Rozdrażniło ją to i o mało nie tupnęła nóżką. Wzamian za to posłała mu wzgardliwe wyduęcie warg i lekceważący, przymuszony uśmiech, który zakończył tę dziwną, niemą rozmowę.

Po chwili pan z Dębowa powstał z miejsca, uprzejmie zapraszając córkę do powrotu, a w parę minut potem, odprowadzona do breku przez Chwalkiewicza, zacinała panna Niuta konie, przy czem na ustach jej osiadł jakiś grymas nudy.

Już jadąc z powrotem do Dębowa, młoda panna wyrzekła do ojca niedbale:

— *A propòs*, któż to jest ten drugi ksiądz na probostwie?


— Nie wiem, *ma chère* — brzmiała odpowiedź.— Widziałem go zaledwie razy parę w kościele... Zwyczajna rzecz, wikary z pewnością...

— Nie o to pytam. Tak, jako człowiek?

— Tem mniej ci odpowiedzieć umiem. *Un homme, qui aimerait faire sa fortune!* Czy tak?

— Pewnie—odrzekła krótko i silniej zacięła konie.

## V.

 parę dni później, po skończonych całodziennych zajęciach, Józiek, wysłany na pocztę, przywiózł Protowi parę listów. Jeden z nich był od matki i brzmiał tak:

«Drogi mój Procie! Już tak dawno, jak nie miałam od Ciebie żadnej wiadomości, a życie mi się ciężkiem wydaje, gdy nie wiem, co się z Tobą dzieje. Nic u mnie nowego nie słychać. Jadwinia, jak zwykle, pracuje i biega za lekcyami, by jej i nam było choć cokolwiek lepiej. Wczoraj dostała szczęśliwie nowe, dobrze płatne lekye u niejakej pani Zombowskiej, bogatej damy, matki piętnastoletniej córki. Jak się domyślasz, Jadwini ogromnie pomaga chlubne przez nią ukończenie konserwatoryum. Ta dama targowała się z początku, ale wreszcie zgodziła się na cenę półtora rubla za godzinę.

Tak więc Jadwinia, dzięki Bogu, będzie mogła rzucić tych parę drobniejszych, dalekich, źle płatnych, a tak ją męczących lekyi i zatrzyma prócz nowej dwie tylko inne, lepsze. Jadwinia po ostatniej chorobie (bo może Ty nie wiesz, że ona chorowała niedawno na jakieś ogromne bole w piersi?) jako tako się podźwignęła; boję się tylko ogromnie, czy jej ta dalsza praca nie podkopie. Ale tak, zdaje się, udaje wesolą; pocziwa dziewczyna, chce mnie tem oszukać. Pyta wciąż o Ciebie, co się z Tobą dzieje, czyś pisał, czyś zdrów i czy wybierasz się do nas na dni parę?

«Ona Cię bardzo kocha, mój drogi!

«Pawełek obecnie buja na wsi u jednego z kolegów, używając wakacyi dowoli. Zdał bardzo dobrze do trzeciej klasy i obiecuje sobie być pierwszym w czwartej; ale ja tego bardzo nie pragnę, ze względu na jego zdrowie. Już też niezadługo szkoły się zaczną.

«Za te trzydzieści rubli, któreś przysłał nam miesiąc temu, serdecznie Ci dziękuję, ale proszę Cię bardzo, byś się tak nie depansował i o sobie i swych wygodach myślał, tem bardziej, że, da Bóg, teraz, jak Jadwinia dostała tę lekyę, będzie nam łatwiej i dla Pawelka jeszcze na wpis się uzbiera.

«Co słyhać u Ciebie, mój drogi? Jak czujesz się w Załomuńcach? Ksiądz Chwalkiewicz

czy dobry dla Ciebie? Pisz jak najwięcej i najobszerniej i pamiętaj o swojej starej matce, która Cię kocha bardzo, bardzo...

«*P. S.* Jadwinia Cię ściska i całuje i prosi o słów parę.»

Zamyślił się posepnie ksiądz Prot, odczytawszy ten list do końca. Rok już mijał, jak nie widział ich wszystkich, tych najbliższych sobie!...

Ojciec od dawna w grobie, mogiła jego kilkanaście razy z wiosną nową pokryła się zielenią i kwieciami, a ojca pamiętał tyle, co przez mgłę.

Tragedya ich była prosta i pospolita, jak historia wielu rodzin u nas. Ojciec był obywatelem, panem całą gębą — nie liczył się z groszem i nie doliczył się go przy ostatecznym, największym obrachunku: wyzuciu z majątku. Potem lat parę jeszcze wegetował w mieście, aż umarł. Matka została bez funduszków, musiała przeto wziąć się do jakiejś pracy, by małe dzieci jako tako odchowić. Zwyczajnie, wzięła się do szycia, póki starych oczów nad igłą nie wypatrzyła. Ale wtedy jej z pomocą przyszła Jadwisia.

Prot, który tej siostrze miał także niejedno do zawdzięczenia, z rzewnością ogromną wspominał ją, gdy kiedykolwiek na myśl mu przychodziła. To też bolało go srodze, że siostra całą młodość swoją nad zmudną, wyczerpującą

pracą przetrawia, nie mogąc poza nią zaznać niczego innego, co młodości każdej właściwem bywa. Bolało go tem bardziej, że osobiście niewielką pomocą materyalną dla rodziny był: szczupłe uposażenie, jakie pobierał, pozwalało mu maćmi sumami tylko przyczyniać się do zaspokojenia potrzeb matki i brata. Była chwila, gdy wyszedłszy ze szkół średnich, wahał się, on, który zawsze o jednym tylko powołaniu marzył, czyby nie zostać czemś takim, coby w przyszłości, postawiwszy go materyalnie na nogi, dało mu możność utrzymania najbliższych i zwolnienia Jadzi od jej pracy. Ale parcie wewnętrzne zwyciężyło. Czuł, że byłoby to tylko bezsilnem szamotaniem się przeciwko silniejszej od jego woli fali—i został księdzem.

Z Jadcą swoją zawsze był w serdecznych i ścisłych stosunkach. Ona była jego przyjacielem — powiernikiem, z troskliwością kobiecą wtajemniczała się we wszystkie jego sprawy, myśli; zajęcia, radości i smutki. Póki był gimnazystą—sprawy to były drobniejsze, dziecinne. Potem, gdy dojrzał, stały się poważniejszymi. Jadzia, jak dobry duch, jak dobra wróżka, jak prawdziwa bratnia dusza i przyjaciel serdeczny, stawała przy nim, ramię koło ramienia, zawsze chętna i ofiarna, gotowa pomódz mu, czy zrozu-

mieniem pełnem taktu jego myśli, czy przejęciem się tem, co jego przejmowało, czy wreszcie radą prostą a skuteczną, gdy rady zażądał. Miłość i przywiązanie, ugruntowane u obojga w dzieciennych latach na pewnym pociągu i sympatyi, w dojrzałych przeszły w wzajemną ufność i szacunek. Prot czcił ją i szanował jako kobietę, — siostrę kochał gorąco i miłował bez granic...

Ona odplacała mu tem samem.

Gryzła Prota ta poniewierka u ludzi, jaką Jadzia znosić musiała, i choć, ilekroć o sobie pisała, zawsze pełna była jakiejś pogody wewnętrznej i zadowolenia, to jednak czuł, ile to mocy miała ta słaba istota, by zapanować nad sobą i powściągnąć się, — nigdy nie poskarżyć się, nigdy nie zapłakać!... Bo brat wiedział, że ciężki to chleb i gorzki, że niejedno upokorzenie i niejednen wstyd przelknąć trzeba i w dodatku pokazać twarz spokojną i oczy niezmienione...

To też, gdy przeczytał list matki, ponuro się zamyślił. Bolało go i upokarzało, że sam tak małą pomocą im być może, a w długiej czasu perspektywie nie widział nic, coby większą być pozwoliło...

«Jadwinia, jak zwykle, pracuje i biega za lekeyami, by jej i nam było choć cokolwiek le-



piej...» Tak, jak zwykle, jak ciągle, jak zawsze! I jeszcze jego proszą, by się nie depansował, a jemu wstyd, że tyle tylko posłał... — Inni ludzie, inni ludzie — rzekł do siebie bezwiednie, gdyż na myśl przyszli mu Chwalkiewicz, Kobuza, Skomorowski...

A jednak, jaka różnica była między jego Jadką a tą jasną chociażby panną z Dębowa, co niedawno w szeregu fantazyi raczyła nawiedzić i skromny dworek załomuniecki... Ona — młoda, bogata, piękna, boginka z ciężkimi worami złota, zakopanymi w kieszeni starego, jak się wyraził po tej wizycie Chwalkiewicz,—Jadka skromna, jak mówią, marna nauczycielka, całym dniami biegająca za kawałkiem chleba, łaskawie jej udzielonego, córka szwaczki, siostra ubogich braci, nie pierwszej, rozkwitającej młodości, cicha, biedna, spokojna... Tamtej, wstępującej w świat, życie się uśmiechało, a wszystko stało otworem, — dla tej wszystko pomału się zamykało, a życie dawno już przestało się uśmiechać. Tamta była pewna, zwycięzka, dumna,—ta szczęśliwa, gdy po znojnym dniu odpoczynek znaleźć mogła. I tak, gdy tamtą wszystko stara się oblec w urok i powiew blasku. urody, piękna, bogactwa i szczęścia, — z tej zdiera ostatnie złudzenia, jeżeli były, i powija w szarzyznę, co-

raz posępniejszą... A jednak on, Prot, kocha tę drogą, cichutką pracownicę, co bez słowa skargi zrzekła się i oddała rojenia młodości, i marzenia dziewicy, i mgliste majaczenia o chwili szczęścia, i to wszystko, co jest udziałem każdego młodego, nieskalanego stworzenia ludzkiego, i szczyści się swą siostrą! Jak bezmiernie błędnie to słońce wspaniałe rozkoszy i zbytku przy tym cichym, zwyczajnym ogniu pracy i obowiązku!

Usiadł i począł pisać list do matki. Po ukończeniu go, wziął nową éwiartkę papieru, i zatytułowawszy ją: «Najdroższa moja Jadwisiu!» pisał co następuje:

«Nie uwierzysz, droga moja, ile razy zabierałem się pisać do Ciebie, kochanie najmilsze, a przecie jednak nie doniosłem Ci o sobie tak długo ani słóweczka. Kłamałbym, gdybym powiedział, że to brak czasu stał mi na przeszkodzie. Tutaj mam go dosyć, a chwilami aż się gryzę, że za dosyć. Nie mogłem jednak nigdy dobrze myśli moich zebrać. Nareszcie się biorę i to pod wpływem listu matki, który odebrałem niedawno. Te proste słowa: «Jadwinia cię ścisnęła i całuje i prosi o słów parę» jak niemy wyrzut stanęły mi w myśli, krótkie, lecz wymowne! Tak, siostró najdroższa, niewdzięcznym jestem za tyle objawów Twego kochającego, do-

brego serca: jam to przecież tak zamilkł obecnie, iż uwierzyć możesz, że już umarłem! A jednak pamiętam o Tobie: czy przy modlitwie porannej, czy na spacerze w uroczych tutejszych zakątkach, czy przy wieczornych rozmyślaniach, przychodzi słodka Twoja postać do mnie i nieraz rozżalonymu szepce słowa ukojenia... Ty nie wiesz, siostró ukochana, jak często, jak zawsze czuwasz nade mną i łagodną ręką kobiety-aniola, kobiety-siostry przytulasz mnie do siebie... I wtedy gwarzymy, i śmiejemy się i rozmawiamy... Tak mi dobrze z Tobą! Jadko moja najdroższa! Że też dobry Bóg dał mi Ciebie! jakżem Mu wdzięczny za to! Jeżeli przed kim mam tajemnice i jestem powściągliwy, dla Ciebie nie mam ich prawie! Tyś moją przyjaciółką najwierniejszą, druhem moim najserdeczniejszym! A jednak nie wahać się powiedzieć Ci: prawie, gdyż, nie wiem, ale sądzę, że są czasem tak dziwne, tak głębokie tajemnice, na których wspomnienie mogłaby twarz pałać... Siostró droga, czy sądzisz, że tajemnice takie, bez rumieńca wstydu, możnaby nawet takiemu jak Ty przyjacielowi bez zająknienia wyjawić?... Może się zdziwisz i nawet zasmucisz, że tak piszę, ale uspokój się. Myśli te przyszły mi bezwiednie, jam szczery z Tobą, nie mam jeszcze dla Ciebie tajemnic i bogdaj-

bym ich nigdy, nigdy nie miał! Smutno mi w Załomuńcach, smutno mi między tymi ludźmi, którzy mi są obcy. Całą moją pociechą samotność, całym zadowoleniem spełnianie wedle sił obowiązków i jakieś cieplejsze węzły, które poczynają zadzierzgać się między mojami owieczkami i mną. Bo jeżeli wspomniałem o tych, wśród których mi obco, to nie zaliczam do nich prostych, niecociosanych, a jednak dobrych i poczciwych ludzi, kmiotków. Najwdzięczniejszy to dla kapłana grunt do uprawy, rola choć twarda, jednak nie jałowa... Poza tem myślę o tutejszym kościele; pragnę i chcę uczynić dla niego to, czego proboszcz uczynić nie chce. Będę się starał, Jadeczko!

«Ogromną przyjemność sprawiają mi wycieczki i spacery po okolicznych jarach, wąwozach, dolinach i lasach. Zaczynam zachwycać się naturą, codziennie odkrywam mnóstwo w niej piękności. To obcowanie ze światem niemy, a jednak świetnym, różnobarwnym i potężnym w swym cichym majestacie, napawa mnie otuchą i nawet jakby wesołością... Tylko że zwykle za powrotem do domu pryska wrażenie i przychodzi przykra codzienność wrażeń zupełnie innych...


«Jak bardzo i często żałuję, że Ty, droga Jadwiniu, nie możesz być tutaj i wraz ze mną po-

dziwiać piękności tych okolic, teraz szczególnie, gdy deszcze przestały jakoś padać! Pawełek używa przynajmniej wsi, a Ty, biedna moja, niczego, niczego!

«Matka pisała, że dostałaś lepiej płatne lekcye u niejakiej pani Zombowskiej. Porzuć tamte gorsze, proszę Cię, i nie zapracowywuj się. Ja będę w możności niedługo przysłać trochę dla Pawelka na wpis i na potrzeby domowe. Spodziewam się teraz więcej zajęcia, a i odpust w parafii naszej będzie już niezadługo. Zjeżdżają się nań zwykle z całej okolicy i wtedy u proboszcza gwaro. Ja tego gwaru nie lubię, ale w takim dniu muszę być. Droga siostrzyczko, pisz corychlej dużo, dużo o sobie. Całuję Cię serdecznie i polecam Bogu. Twój najprzywiązańszy Prot.»

---

## VI.

 cudny, przepyszny, zlocisty ranek, w godzinę, półtorej po zorzy, gdy słońce, żółtawe jeszcze, ale coraz więcej białych blasków nabierające, podnosiło się wolnym ruchem na firmamencie, by w południe ogromną palącą kulą rzucić olbrzymie promienie światła i rozgrzać ziemię do najwyższej potęgi, w uśpionym jeszcze palacu dębowskim przerażoną mamzelę francuską rozbudziła rzecz nadzwyczajna. Oto, gdy w najlepsze sobie spała, smakowicie przewracając się z boku na bok i marząc o swym kochanym Paryżu, który śnił jej się całą noc, poczuła, że ktoś ją szarpnął za ramię. Wpół nieprzytomna, pełna jeszcze snu, wyrwana z pośród miłych rojeń, podniosła się gwałtownie na pościeli, i przecierając zaspane oczy, poczęła wpatrywać się z gniewem w śmiałka, który odważył się

w podobny sposób naruszać o tej godzinie spokój jej, nadwornej ochmistrzyni jaśnie panny z Dębowa!... Lecz jakież było jej zdumienie, gdy w karygodnym śmiałku tym poznała ni mniej, ni więcej, tylko samą jaśnie pannę! Zdziwienie jej było tem większem, że nie mogła odgadnąć, coby to znaczyć miało, i że coś podobnego nie zdarzyło się dotąd nigdy... Wpatrywała się przeto i nadal w pannę Skomorowską z osłupieniem, tylko że mina jej z gniewnej szybko przemieniła się w słodko-kwaśnie-pytającą...

Panna Niuta zaś poczęła śmiać się wesołym, srebrzystym i głośnym śmiechem. Gdyby stara Francuzka nie była tak w latach zaawansowaną i gdyby przytem mogła choć na chwilę przedzierzgnąć się w mężczyznę, na pewno nie siedziałaby względnie tak spokojnie na łóżku i nie jeden mięsień i nerw zadrgałby w jej ciele tętnem podwójnie szybkim... Panna Niuta bowiem mogłaby w tej chwili przyprawić o utratę zmysłów niejednego mężczyznę, tak czarująco wyglądała. Bosa, w cieniutkiej batystowej koszulce, z obnażonemi toczonemi rękoma i ramionami, z fidaszową, cudną, pyszną piersią, którą wycięte i zwisłe cokolwiek koronkowe obszycie koszuli w całej jej posągowej piękności odsłaniało, z olbrzymimi splotami bujnie spływających z głowy

włosów i z tym nieopisanym urokiem przepięknego dziewiczego ciała, mogła czarem swym niejednego śmiertelnika pogrążyć w otchłań zachwytu.

Ale, niestety! nie było komu podziwiać tych wszystkich cudów, które natura w osobie dziewczęcia tego hojnie roztoczyła, w pokoju bowiem, prócz starej, pretensjonalnej Francuzicy, nikt się nie znajdował. Jednak od tej, co stała, szła taka świeżość i bił taki urok, że nawet mamzela przez chwilę okiem pełnym zazdrości i zawiści patrzyła na swoją pupilkę. Głową, odzianą w czepiec, z pod którego wyzierały ciekawie papiloty, utrzymujące w należytej, przykładowej karności niesforną staropanieńską grzywkę, zaczęła kiwać ruchem wahadłowym, jakby z podziwem. Twarz jej chuda i koścista świeciła resztkami pudru wczorajszego, mocno podejrzanego białości; usta, wysmarowane czerwoną pomadką, złożyły się do nieokreślonego gorzko-słodkiego uśmiechu... Ach! jakżeby chętnie zmiażdżyła w jednej chwili tą całą waryacką Niutę wraz z wszystkimi jej powabami i pięknościami, których, wyznaczyć trzeba, odmówić jej jednak nie podobna!

Panna Niuta stała nad mamzelą swoją i śmiała się, śmiała bez końca. Nachichotawszy się wreszcie, przemówiła:



— No, panno Elizo, proszę wstawać! Dostyc już tego spania!... całe swoje życie gotowa jest pani przespać. Co za amatorka spania!

— Ależ, panno Janino!—zaprzeczyła Francuzka—przecież to za wcześnie! *Quelle horreur!*—dodała ze zgorzeniem, rzuciwszy okiem na zegar, który spokojnie wybijał swoje tik-tak—toż to dopiero wpół do piątej!

— Więc cóż z tego?—przemówiła z niewzruszonym spokojem panna Niuta—co to jest wpół do piątej?—Wzruszyła ramionami.—Na wsi wpół do piątej to już późno!

Poczem spojrzała w okno i dorzuciła:

— O, patrz pani, już na podwórzu, tam za oficynami, prawie pusto! Robotnicy dawno poszli w pole, niedługo dziewczyny i baby z dwójkami pójdą, rataje przepędzają woły kilka minut temu, a fornale wyprowadzają i poją konie. I oni już się spóźnili!

Francuzka wzruszyła ramionami, jakby chcąc dać poznać, że to wszystko mało ją obchodzi. Panna tymczasem ciągnęła:

— No, *mademoiselle*, proszę prędzej! Całą przyjemność mi pani zepsuje! Proszę się ruszyć nareszcie z tego obrzydliwego łóżka!

Lecz miara cierpliwości mamzeli się wyczerpała. Wybuchnęła z determinacją przeto:

— *Mais, mademoiselle Jeanne!* Po cóż to wszystko? Co ja będę robiła o tej porze, kiedy wszyscy *comme - il - faut* ludzie spoczywają w najlepsze? *O, mon Dieu!* jakżeś mnie ciężko skarał, że z mojej Francyi emigrować musiałam! Panno Janino, miej litość! co to wszystko znaczy?

Lecz panna Janina, którą to wszystko zarazem śmieszyć i niecierpliwić poczynało, szybkim ruchem odwinęła koldrę z ciała zdetonowanej Francuzki, i wystawiając jej chudo-kościste, dobrze zakonserwowane nogi na działanie świeżego powietrza, gwałtem naciągnęła na swoją metresę białą spódnicę, leżącą przy łóżku, i energicznie przemówiła:

— Za kwadransik, panno Elizo, czekam panią ubraną w amazonkę w sali jadalnej. Rózi już powiedziałam, by Constantin osiodlał Floreę i Ricka. Użyjemy dzisiaj konnej jazdy co się zowie! *Allons, allons, Elise! dépêchez vous! Voyons, nous n'avons pas beaucoup de temps!*

To mówiąc, wykrzyknawszy jeszcze: «brr! zimna podłoga!» podreptała bosemi nóżkami do swojej sypialni, która leżała tuż obok pokoju Francuzki.

Cóż miała począć biedna mamzela? Jak świat światem, nie miała jeszcze tak dziwacznej pupilki! Wprawdzie płacono jej za te dziwactwa niezgo-

rzej, ale swoją drogą była to męka... To zaś, co się dzisiaj zdarzyło, przytrafiło się po raz pierwszy... Słuchana rzecz? O wpół do piątej rano konna jazda, zupełnie jak w wojsku — trąbią wsiadanego, żołnierz słuchać musi,—a ona przecie żołnierzem, jako żywo, nigdy nie była... Och, Boże! I tu dopiero, ubierając się na wyścigi, wspomniała biedna Francuzica cały szereg udręczeń i mąk, jakie jej ta waryatka Niuta zadawała! Dla jej to kaprysu musiała nauczyć się jeździć konno, ona, która konia bała się gorzej niż śmierci! Nie pomogły prośby, zaklęcia, ani lzy... Pannie Skomorowskiej się tak zachciało, a gdy udała się na skargę do tego rubasznego dziedzica, ten *abominable* zaśmiał się na to tylko wesoło, *imbécile!*

I musiała jeździć konno i ubierać się w cudaczną amazonkę, tyle tylko sobie wyprosiwszy, iż zamiast jakiegoś narownego i dyabelskiego Brolbaya dano jej spokojnego, starego, na emeryturze będącego Ricka... Rick ten, choć niezupełnie dobrze widział na jedno oko i trochę na nogi utykał, dawał jej rękojmię, że karku przynajmniej w tej jeździe nie skreści...

Nie spostrzegła się panna Eliza, jak w toku rozmyślań szybko się ubrała. Był to pewnie cudowny wpływ stanowczej woli panny Niuty

z którą żartować było niebezpiecznie. Od czasu do czasu tylko wzdychała, przeklinając w duszy dowoli i podły los i ów marny kraj, gdzie ją ten los przygnał...

Gdy zaś była gotową i pełną sztucznej powagi, pomieszanej z cichą rezygnacją, komiczna i zabawna nad wyraz, schodziła na pierwsze piętro do sali jadalnej, zastała już tam pannę Niutę, zapijającą ze smakiem ranną kawę. Panna Niuta powitała ją całą gamą wesołego śmiechu, poczem zapytała uprzejmie, jak podoba jej się dzisiejszy ranek? Francuzka, której było nie do śmiechu, zamruczała coś po cichu na odpowiedź, poczem nie zwlekając, rozkazała lokajowi przynieść sobie «kafy» i «bulek.» Panna Niuta uprzejmie podała jej kawał baby, upieczonej wczoraj przez szafarkę, lecz Eliza stanowczo odrzekła, że woli «les boullis.» Tak więc w dalszym ciągu śniadano.

Wreszcie panna porwała się z krzesła.

— No, panno Elizo, już czas! Konie osiodlane czekają przy podjeździe. Ruszamy! Co za cudowny ranek! Nigdy jeszcze takiego nie widziałam!...—Otworzyła okno. — Co za aromat! czuje pani? Co za przyjemność odetchnąć pełną piersią takim powietrzem!... Jak te kwiaty z gazonu pachną, aż tu załatuje!

Poczem raz jeszcze okręciwszy się w swej zgrabnej amazonce i poprawiwszy kapelusza z białym naokoło muślinem, zadysponowała:

— Ja schodzę i siadam bez zwłoki. Chcę skorzystać z tego ranka. Nicch pani już kończy... Czekam z Rickiem u podjazdu!

I wyskoczyła.

Francuzka pobożnie przewróciła oczy, i westchnąwszy ciężko na intencję szczęśliwej podróży, dokończyła kawy i ruszyła za swoją dręczycielką.

W parę minut potem troje jeźdźców wymykało się z za muru, okalającego pałac i park, przeprowadzani przy mijaniu dziedzińca zdziwionemi minami służby, która do takich wczesnych pańskich wycieczek nie była nawykła. Rychło dostali się na szeroką, piaszczystą drogę, topolami wysadzoną, pełną i zamaszystą... Przodem szła Flora Niuty, dzielna gniada pół-krwi klacz, z białą strzałką na głowie, lekka, wykwinna, pełna gracyi... Doskonale od jej maści odbijały jasne cugle i siodło misternej roboty. Dalej szedł Rick, niezadowolony z tego spaceru, jakby przeklinając Francuzkę, zawisłą na nim swym cudzoziemskim ciężarem. Chód miał jeszcze stosunkowo żwawy, ale przyciężki, przytem wiadać było, że koń to już stary i niepewny. Że

jednak łagodność w nim była dziczięca, jego więc mamzela sobie upodobała, pewną będąc, że Rick nie czyha na jej francuskie kości... Za Rickiem szedł Jasio, czystej krwi dębowlanin, jak Grzela, który na nim siedział, obaj urodzeni i wychowani na miejscu. Jasio lubiał brykać i był koniem nielada — miał temperament, ale siedział na nim Grzela, chłop na schwał i nie od parady. Kto nie poskromił Jasia, na pewno go Jaś długo na karku swoim nie dźwigał. To też potem i siadać na niego nie chciano. I choć Jaś był koniem dużej ceny, dano go Grzeli do przejeżdżania, bo pozbywać go się nie chciano; a gdy jasna panna wróciła do Dębowa, Grzela na swym Jasiu został nadwornym jej masztalerzem. Początkowo dębowski Grzela nosił piękne imię Johna, tak z angielska. Uczynił go takim straszidłem pan Skomorowski. Ale rychło rzeczy wróciły do porządku, bo panna Niuta, z grymasikiem na ustach, oświadczyła, że to nie ma sensu — i angielskiego Johna przemianowała na dawnego Grzelę.

Jechali już z kilka minut, gdy w niedalekiej przestrzeni zamajaczył koniec topolowej alei. Od tej drogi szły dwie uboczne: jedna szeroka prowadziła wyżłobioną koleją do Trzcieszysk, druga szła polem, pomiędzy zbożami. Wybrali tę ostatnią.

Powietrze było orzeźwiające. Chłód poranku, zapowiadający dzień skwarny, upalny i pogodny, począł pomału ustępować cieplej świeżości, jaka się podnosiła naokół. Rosa, szybko schnąca, zalegała jednak jeszcze obficie. Pobudzone koniki i świerszcze poczęły bzykać coraz zacieńiej... Łagodny wiatr kołysał łebkami zbóż: falowały i przejeżdżającym jeźdźcom kłaniały się po pas z szumem. Żyto już było dojrzałe, gdzieniegdzie leżało pokładzone smugami... W gęstwie pszenicy, owsa, jęczmienia barwiły się niebieszcą bławatki, całą skalą kolorów różnolitych mieniły się chwasty i kwiaty... A z traw bił świeży aromat zieleni, orzeźwionej kąpielą rosy. Żaby w małych kałużach, gdzieniegdzie rozsypanych, czując pogodę i słońce, siedziały ciche i niechętnie w wodach; rozhowory bąków i niezliczonych owadów tryumfowały z zadowoleniem nad ich ciszą...

A gdzieś w oddali zagrała fujarka i rozległ się krzykliwy, przeciągły krakowiak. Umilkł na chwilę, by za moment odezwać się nową zwrotką. Potem przyszła śpiewka nowa, jakby odpowiedź, i znów zamilkła, a wkrótce wybuchła:

— Oj, nie chodź do mnie, nie chodź, Antku miły!  
Nie dla ciebie ja sądzona, nieboże!

Koło twojej chaty wciąż my się kręciły,  
A spotkać się z tobą, aż strach...  
Mój Boże!

Panna, która z ciekawością wsłuchiwała się w tę piosnkę, nuconą głośnym choć smętnym altem wiejskiej dziewczyny, przy zakończeniu zwrotki wydeła lekceważąco wargi i przez zaciśnięte zęby wyrzuciła:

— Głupia!

Poczęła się wsłuchiwać, czy nie usłyszy odpowiedzi.

Przez jakiś czas było cicho — tylko ptactwo jakieś przelatujące zawrzeszczało piskliwie nad głowami. Wnet jednak poszybowało i rozbrzmiała szeroko pastusza odpowiedź:

— Choćbyś za górami, choćbyś za lasami  
Chowała się przede mną, niebożę,  
Nie uchowasz się i sami  
Znaleźć się musimy...  
Mój Boże!

Panna namarszczyła czoła i zadumała się. Po chwili jednak, ściągnając konia i zaciąwszy go do biegu, wyrzekła:

— Tak!

Za Niuty klaczą ruszył niespodzianie bez zachęty do tego i Rick, ku wielkiemu chwilowemu



przerażeniu Francuzki, która, nie spodziewając się tego, spokojnie poprawiała włosów na głowie, rzuciwszy uprzednio Rickowi cugle na szyję. To też o mało że nie przypłaciła śmiałości swojej najfatalniejszym w świecie upadkiem.

Za mamzelą ruszył Grzela. Jaś rwał się na przód i widać było, iż pragnąłby dotrzymać towarzystwa klaczy, ale stalowe ręce chłopca powstrzymały go od tych zachcianek. Brykał jednak cokolwiek wedle zwyczaju swego i swywoilił, lecz w klusie zapomniał o tem. Tak jechali dość prędko kilka minut, aż dojechali do szerszej drogi. Wtedy Niuta zwolniła klus na stępa i wykrzyknęła do jadącej Francuzki:

— *Mademoiselle*, proszę się zrównać ze mną! Dlaczegoż pani tak zawsze tyłu się trzyma?...

— Bo Rick nie może nadażyć! *Ah, quelle bête abominable!*... Co ja z nim pocznę, kiedy on ledwo idzie?

— Aż za dobry dla takiej kawalerzystki! — rozśmiała się panna Niuta, wstrzymując swego konia i równając się tym sposobem z Francuzką. — Jakże się pani nasz spacer podoba? Prawda, że przyjemny? Tak świeżo, tak ładnie, tak uroczo, że aż się przyroda sama prosi, by zostać poetką i choć odrobinę poezyi mieć w duszy!...

— To dobre dla egzaltowanych natur, jak pani. Wy, Polki, wszystkie jesteście egzaltowane, nie umiecie utrzymać miary...

— O, nie! — odparła panna. — Gdybyś pani rozumiała po polsku, tobyś z tej piosenki, którą przed chwilą dziewczyna w dali śpiewała, przekonała się, że umiemy być i niezdecydowanemi, chwiejnemi, bezdarnemi... Szkoda, że pani po polsku nie rozumiesz!

— Och, zupełnie tego nie żałuję... Ja po polsku... a to po co? Chyba, żebym waszym twardym, okrutnym językiem popsula sobie na wieki mój bez skazy paryski akcent?

— A jednak u nas dziewczęta tym twardym, okrutnym, nielitościwym językiem śpiewają chłopcom umiłowanym kołysanki tak melodyjnie i wdzięcznie, tak spokojnie do miłych dumań ich usposabiają!

— Bo u was i chłopcy są barbarzyńcami...

— Może dlatego, że dotychczas nie potrafili ocenić wdzięków pani?

— Panno Janino!

— ... Najczyściejszej z czystych Paryżanek?...

— Och, nasz Paryż!

— Mam go dosyć! Brr! Przecie, że już nie wróce!

— Bo pani nie znasz Paryża, lecz tylko klasztor paryski...

— Znam i wasz Paryż. Miewalam urlopy. Łobuzowałyśmy się co się zmieści! I wie pani, co mi zawsze te chwile zostawiały? Niesmak, nudę i czezość, ach, jaką czezość!... o, taką...

Tu ziewnęła dyskretnie Niuta.

Francuzka spojrziała z oburzeniem:

— Bo pani nigdy nie byłaś zdolną przejąć się duchem prawdziwej Paryżanki... Takimi mogą być tylko te, co w tych boskich murach się rodziły... Paryż! Czyż jest magiczniejsze słowo na świecie?

— Jest.

— Ciekawam, jakie? No, proszę...

— Dębów — ze śmiechem odrzekła Skomorska.

Piorunujące spojrzenie było jej odpowiedzią na tę profanację.

Zresztą jechali wciąż stępą. Minęli Poradzewo, do którego dotarli wypadkiem, przeprowadzani ujadaniem psów wiejskich i czolobitnymi pokłonami chłopów, witających «jasną dziedzi-czkę» z uniżeniem.

— Wej, jak to «jasna» raniutko na spacer pośmigala!

— Ej, abo to jej pierwszyczna takie dziwy wyprawiać? W tamtym tygodniu, jakem chodził do rżońcego do Dębowa wedle tej maciory, co w szkoldę pańską wlazła, to przechodzący kole bramy widziałem, jak «jasna» z tym dyablem niemieckim raz wraz bez jakowaś siatkę piłki sobie przerzucały, a podbijały rychtyk takim plecionym ogromnym palicem!

— Ja wam co powiem, kumie... To je pańska štuka, to i po pańsku się bawi, co naszemu bratu nie wyrozumieć... Oh, żebym ja ino miał to, co ona na takie dzimdziałki przeputa!

— A patrzcie-no tego hycla Grzełę, jak ci to pana udaje! Widzisz go, psubrata, a ino nosa do góra zadziera!

— Abo to takiemu źle?...

— Abo nie dobrze?...

— O, ty! zatracony synu, a ućkaj stamtąd! nie widzisz, co panna jedzie?...

— Ooo! nie pyskowałibyście, Maciejowo, na chłopca... To i cóż, że «jasnej» nie ustapi?...

— O, psi synu, tako mówisz? A kto cię duchem jednym z torbami puścić może, jak nie jasny?...

— Ty wiedźmo jedna, potępiona córko, dyabłu kuma! To ty mi tu «jasnym» będiesz gębę malowała?... Niedoczekanie twoje, ropucho!

— Twoje niedoczekanie, chamic!

Panna tego wszystkiego nie słyszała. Chciała zajeżdżać na ekonomię i wypić z Francuzką mleka na «strzemiennego.» Ale mamzela gwałtem odradziła. Pojechali przeto bezzatrzymywania się, i minawszy figurę przydrożną, skręcili wprost na szeroką choć boczną drogę, która prowadziła do Załomuńców.

Pannie, gdy tuż za figurą przeczytała na znajdującym się obok drogowskazie: do Załomuńców, — przyszli w tej chwili na myśl Chwałkiewicz ze swą rubaszną naiwnością i ksiądz Prot. Na wspomnienie tego ostatniego wyduła lekceważąco wargi i rozśmiała się cicho, niedbale. Ten paradny człowieczek mieszkał w tych Załomuńcach, w stronę których jechała teraz na spacer!... Gdyby tak wiedział o tem, na pewno wróciłby się z drogi, choćby na niej już się znajdował, nie chcąc jej czynić tyle zaszczytu... Jaki on zabawny!

Konie zaczęły parskać i prychać... Jasio, któremu smutno było tak w tyle, zarżał kilkakrotnie, a klacz na przodzie mu odpowiedziała. Grzela klepał po karku swego wychowanka i odpowiadał mu za każdym razem, gdy parsknął: «zdrów, zdrów, zdrów!...» Było już może wpół do

szóstej rano—i słońce, coraz więcej grzejące, szło też coraz wyżej na niebo. Chłód poranku znikł całkowicie, w powietrzu dawała się wyczuwać stopniowo zwiększająca się ciepłota, wiatr był co chwila łagodniejszym... Rosa prawie że wyschła, a wszędzie potężniało parowanie wyziewów roślinnych... Koło wsi też bydło pasło się już od dawna, a krowy i cielęta, chodząc za pokarmem, dzwoniły w różny takt licznymi dzwonkami, pozawieszanymi na ich szyjach...

Minęli już spory kawał drogi za Poradzewem, gdy w oddali pierwsza panna, która miała wzrok doskonały, spostrzegła małe ciemny punkt, jakby miarowo, wahadłowym ruchem się poruszający... Po ujechaniu kilku stająd, punkt się powiększył, a wahadłowy ruch okazał się zwróconym w ich stronę... Potem ciemne ciało jeszcze więcej się powiększyło i wkrótce było widocznem, że musi to być człowiek lub zwierzę, w tę stronę zmierzające... Niezadługo przedmiot ten znikł dla oka jadących za krzakami, które tu gęsto rosły na pobrzeżu drogi i ciągnęły się z pół wiorsty. Z drugiej strony krzaków, nad niegłębokim rowem, szła ścieżka i na tę to ścieżkę musiała zejść figura, gdyż droga znowu pusta jak przedtem była. Niuta, która przez ciekawość

zwyczajną obserwowala powiększanie się punktu, z chwilą, gdy ten znikł, przestała zwracać na niego uwagę i zaczęła rozmawiać z Francuzką. Po kilku zdaniach, wymienionych z *mademoiselle*, zabierała się do wygłoszenia jej teoryi o patryotyzmie i kosmopolityzmie, gdy nagle klacz jej, idąca w przedzie od kasztana, strzygnęła uszyna i jednocześnie rzuciła się w bok, naciskając konia Francuzki.

Ta ostatnia wydała okrzyk przestachu. Nie mniej od niej zdziwiona Niuta, powściągnąjąc Florę cuglami, rzuciła wzrokiem w stronę, szukając przyczyny spłoszenia się konia. W tej chwili zaszeleściły poruszone przez kogoś przechodzącego gałęzie krzaków i oczom przedstawił się sprawca popłochu: drożyną nad rowem szedł ksiądz Prot.

W pierwszej chwili, zaskoczeni oboje tem niespodzianem spotkaniem, nie mówili ani słowa. Zaraz jednak potem ksiądz Prot, spostrzegłszy się, zdjął milcząco kapelusz, mijając jeźdźców. Panna odpowiedziała skinieniem głowy, Francuzka ze zdziwieniem spoglądała na młodego wikarego, Grzela zerwał pośpiesznie czapkę, poznawszy księdza załomunieckiego. I byliby tak minęli siebie, lecz panna, której usta wykrzywił grymas jakiś przelotny, ożywiona nagłą myślą,

w tej chwili w jej głowie zrodzoną, wstrzymała konia i głośno, dźwięcznie przemówiła:

— Dzień dobry panu!

Ksiądz Prot zdumiał na to niespodziane pozdrowienie i mimowiednie przystanął. Panna zaś zawołała Grzełę, i rozkazawszy mu zejść z konia, poleciła podać sobie rękę do zeskokczenia z klaczy. Wtedy, stanąwszy na ziemi i oddawszy Florę Grzeli, uniosła amazonki jedną ręką, a drugą podała Protowi, podchodząc do niego pierwsza. Wikary uściśnął ją. Nie było już oczywiście mowy o dalszym spacerze Prota, gdyż odejście obecnie równałoby się grubiaństwu. W oczach jego, pomimo całego hamowania się, malowało się ogromne zdziwienie. Nie uszło to bystrego wzroku panny.

Francuzka, widząc, co się dzieje, zabierała się również do zsiadania i w tym celu dawała nieme znaki Grzeli, aby jej w tem dopomógł. Panna Skomorowska jednak energicznym ruchem ręki nakazała jej pozostanie na grzbiecie Ricka, poczem przemówiła po francusku:

— Panno Elizo, proszę jechać sobie dalej. Wiem, jak pani lubi konną jazdę! Dodaję pani Grzełę dla bezpieczeństwa. Może pani bując z pół godziny, a potem proszę tu wrócić, gdzie będziemy z księdzem Prottem czekać. Jestem



trochę zmęczoną i chce tu w towarzystwie odpocząć...

A gdy biedna manizela uczyniła ruch jakby zaprzeczenia i otwierała usta do protestu, z nakazującym gestem dodała:

— Daję pani urlop na pół godziny... Proszę używać dowoli...

Poczem zwróciła się do Grzeli:

— Grzela, pojedziesz z *madame!* Pani chce użyć jeszcze ruchu. Za pół godziny tu wróćcie... Florę weź z sobą, przeprowadzisz ją luzem...

Po chwili Grzela był znowu na karku Jasia i trzymał lejce od Flory, grzecznie popędzając przed sobą Francuzkę.

Panna zaś obróciła się do Prota.

Przez chwilę szli machinalnie obok siebie w milczeniu, nie zaczynając wzajemnie rozmowy. Ksiądz Prot już ochłonał i wzrok jego przestał wyrażać zdziwienie. Natomiast w oczach pojawiły się zwykły chłód i sztywność. Panna zaś przeciwnie zdawała się dobrze usposobioną i wesołą, ani śladu w niej nie było tej dumy i nieprzystępności, jaką objawiła przy swej wizycie w Zalomuńcach. Znikł i przelotny grymasik, który wykrzywił jej usta niedawno; była swobodną i niewymuszoną...

Obróciła się. Grzela z luzową klaczą i *mademoiselle* byli już daleko. Kłęb kurzu zwiastował ich odjazd.

Wkrótce znikli na zakręcie.

— Prześliczny, uroczy czas! — przemówiła wreszcie panna, — co za cudowna pora na przechadzkę!...

Ksiądz Prot nic nie odrzekł. Panna ciągnęła:

— To też trudno było nie zdecydować się na wycieczkę, a ja wycieczki pasyami lubię...

— Takie ranki zdarzają się codzien o tej porze — zauważył wreszcie ksiądz Prot.

— Czyżby? — zagadnęła panna. — Ale o tem wiedzieć mogą tylko ci, którzy zrywają się o świcie...

— Któż w lecie na wsi późno wstaje?

— Ja! — odrzekła panna.

— Tak, pani, bo pani masz czasu za dosyć zawsze, to i wstać świtem nie pora... Ja muszę...

— O, i jaby m chciała, ale nie zawsze to możliwe... Mam tak nieudolną towarzyszkę w osobie tej Francuzki, że i dzisiejszą wycieczkę muszę uważać już za heroizm...

Szli wolno ścieżką. Panna, ująwszy jedną ręką ogon swej amazonki, drugą trzymała szpicrutę, którą biła niedbale po sukni. Ksiądz Prot, muskając sutanną krzaki, zrywał machinalnie

gałązki i obdzierał je wolno z liści. Droga ich znaczyła się tymi listkami, żałośnie padającymi na pył ścieżyny i tam powoli obumierającymi... Naokół było cicho zupełnie.

— Przypomina mi się jeden taki ranek — odezwiała się znowu panna — we Francyi, pod Reims, gdzie bawiłam wtedy u matki mojej koleżanki... Taki sam był świeży, taki sam pełny i przezroczysty, tylko że tam więcej ziemia była falista, a pola na stokach winogrodowe... Był to jeden prawdziwy ranek przepyszny, który spędziłam w tej okolicy malowniczej... Wracalam do willi upojona, roztęskniona jakaś i żalosna... Chciało mi się śmiać zarazem i płakać, weselić się i smucić. Nazbierałam pęk polnego kwiecica i ułożyłam w bukiet; głowę uまいłam barwnymi chabrami i szłam tak z moimi dwoma warkoczami, przeplatanyimi wstążką, w krótkiej sukience pensyonarskiej, podobna do zachwyconego dziewczęcia, któremu się zdawało wtedy, że jest królową nad tą naturą!...

Ostatnie słowa wymówiła panna wolno i w zamysleniu...

Oczy spuściła na dół, szpicrutą wciąż lekko po sukni biła...

Ksiądz Prot pierwszy raz uważniej spojrział na swoją towarzyszkę i we wzroku jego odmalo-

wało się zaciekawienie. Mówiła to miękko i łagodnie, jakby smętnie, i ani śladu w tym głosie nie było twardości i oschłości. Nie rozumiał, dlaczego mu to mówi, jak wogóle daremnie silił się nad wyjaśnieniem sobie zagadki dzisiejszego jej postąpienia... Przemówił łagodniej:

— W pani musi być wielka miłość dla natury i tego wszystkiego, co z niej wypływa i z nią nierozłącznem jest... Pani musi odczuwać jej urok i kochać ją...

Teraz ona bystro spojrzała na młodego księdza. Jak on to dobrze powiedział i bez cienia tej zimnej sztywności!...

— O, tak! — odpowiedziała żywo — kocham ją, ubóstwiam!... Dla mnie największą rozkoszą przestawanie z nią... Kiedyś byliśmy z ojcem w Baden-Baden w Szwarcwaldzie... Wybraliśmy się na wycieczkę w okolicę i dotarliśmy do cudnej miejscowości Allerheiligen. Choć widziałam potem i piękniejsze i romantyczniejsze, nie mnie tak nie zachwyciło już, jak to. Może dlatego, że tam była i groza, i spokój, i namiętność, i cichość, i pomruki burzy i jakaś fantastyczna bezwładność zarazem... Szumiały te wodospady Allerheiligen, i warczały i pienily się, bryzgając i miotając pianą... A nad nimi, jak nad zdradzieckimi otchłaniami, zawisły male, nikłe mo-

stki drewniane, i pomimo słabości swojej urągały szydersko balwanom i falom... Czarujący widok! I nic nie znamionowało go. Gruzy klasztoru tylko sterczały, kilka ławek przy nich i opodal skromny dworek zajezdny. Zdawało się, iż to zwykła stacya szwarcwaldzka, w pospolitej dolince leżąca, taka, jaką się minęło, i taka, jaką się minie... Kilkadziesiąt kroków w bok, i przed zdumionym podróżnikiem odkrywał się żywioł, cuda natury, dzika fantastyczność i głucha, warcząca groza... Na jednym cyplu skały, na deseczce tam wżłobionej, długo w wieczór przesiedziałam i już nie chciałam oglądać nic więcej. Na drugi dzień wróciliśmy z powrotem do Baden...

Usiedli. Ona, spotkawszy jakiś pagórek, dała mu milczący znak ręką. Poszedł za jej przykładem, usiadł i słuchał, co dziewczyna mówiła... Zamyślony, zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje, i oczyma duszy towarzyszył jej w tej wycieczce wspomnień... Mówiła wolno, jakby rozżalona, wsłuchana jeszcze w szum wody górskiej... Potem zamilkła.

— I ja miałem jeden moment w życiu—zaczął mówić Prot powoli—podobny, choć inny... Miałem go w Dalmacyi...

Przestał mówić na chwilę, jakby zbierając wspomnienia, potem zaczął znowu:

— Płynąłem z Zara do Spalato... Był piekący sierpniowy dzień dalmatyński... Słońce zdawało się palić i rozżarzać wszystko, Adryatyk był jednak spokojny i jak dziecię łagodny. Cichość była tak bezmierna i toń tak omdlała nieruchoma, że nawet najmniejszej zmarszczki na wodzie nie zauważyłem... Gęsta niebieszcza tafla przechodziła w dali w mieniący fiolet. Jak okiem sięgnąć, toń nieobjęta zlewała się na horyzoncie z niebem... Z boku tylko jednego majaczyły, jak sina mgła, skaliste pobrzeża dalmatyńskie... Nad wieczór wreszcie dojechaliśmy do Spalato...

Postój miał trwać cztery godziny, o jedenastej wieczorem ruszaliśmy w dalszą podróż... Wsiadłem z pewną ulgą, gdyż choć cudne były te wody, przygnębiały mnie jednak ogromem swoim. Błądziłem czas jakiś po mieście. Zgiełk tam był szalony i ożywienie. Na targu z owocami przecisnąć się nie można było. Ludzie krewcy i ruchliwi: gestykulowali, zapraszali, targowali się i wykrzykiwali chaotycznie... Tu włoskie przekleństwo, tam Słowak jakiś grubym głosem opowiada coś zajmującego, ówdzie podoficer austriacki nawołuje po niemiecku żołnierzy

rzy... Choć to i ciekawe, jednak woląłem wy-  
dostać się stamtąd i począłem wązkami, schod-  
kowemi ulicami, między szeregami kamiennych  
domów, piąć się na wyżyny Spalato... Dopły-  
wając, spostrzegłem, że miasto leży na wzgórzu  
nadmorskiem i że z tego wzgórza przepyszny  
musi się roztaczać widok... Doszedłem wreszcie  
do krańca, gdzie domy już były rzadsze; wszędzie  
naokół wały się olbrzymie sterty kamieni, obcio-  
sywanych do budowy nowych domów, gdzie-  
gdzie tylko sterczał domek i mały koło niego ogró-  
dek. Droga między tymi kamieniami ciężka była  
i znużająca, lecz szedłem coraz wyżej... Była już  
może dziewiąta, zmierzch zapadał dość szybko.  
Usiadłem na jednym ze złomów... Podo mną było  
miasto, w którym coraz więcej ogni błyskać za-  
częło, aż rozgorzało tysiącami światełek; za mną  
puste już pola kamieniste, a pod tem wszyst-  
kiem morze...

Mrok już zapadł. Siedziałem zamyślony, du-  
mając o tej podróży, którą odbywałem, i o tym  
kraju, gdzie się znajdowałem. Ciepło było, wiatr  
lekki się zerwał i muskał delikatnie po twarzy...  
Morze leżało ogromne, ciche i majestatyczne...  
Widok był wspaniały.

Gdy rozmarzony i upojony pięknnością tego  
krajobrazu, spojrzałem znowu na morze, ujrza-

łem w zatoce jakby wylaniającą się z wód małą gwiazdę... Gwiazda ta poczęła rość szybko i w niespełna półgodziny rozgorzała w morzu tysiącami światel. Zrobiło się widno. Spalato u nóg moich, kąpiące swe białe kamienne domy w blaskach księżycowych, wyglądało fantastycznie. Morze całe, część jego dla oka dostępna, rozgorzały: biały blask rozlał się po ciemnej jego powierzchni, i mieniać ją, położył się bezwładny, zimny na tafli...

Byłem cały upojony, ale i wzburzony, — czemu? Po chwili jednak wzburzenie przeszło i został tylko spokój—cichy, łagodny, senny...

W tej chwili na bulwarze nad morzem zagrala muzyka. Grali jakiegoś marsza wesołego. Drgnąłem... Moje marzenia prysły... Potężny urok i siłę natury zakłóciły ludzkie dźwięki. Wstałem powoli z kamienia, i rzuciwszy ostatecznie spojrzenie na morze, zszedłem ku miastu...

Był to najpiękniejszy wschód księżyca, jaki widziałem...

Prot umilkł i siedział cichy obok dziewczyny. Ona, patrząc na niego, słuchała... Ręce opuściła, szpicruta upadła jej do nóg... Po chwili powstała.

— Pan też kochasz naturę, księżu wikary—przemówiła, — prawda, że kochasz?...



— Kocham — odparł z prostotą Prot i powstał również; lecz ona ruchem prędkim dała mu poznać, by się nie ruszał, poczem usiadła sama, i bawiąc się zerwanym bratkiem polnym, zapytała go:

— I to było dawno, wtedy... w Spalato?...

— Kilka lat temu—odpowiedział.

— Jako kleryk?

— Tak.

Milczała chwilę, jakby ważąc coś w myśli, poczem odezwała się:

— Nie przypuszczałam, że pan umiesz tak przemówić...

— Przedmiot mnie porwał... Pani mnie popchnęłaś bezwiednie do wynurzenia... wszak sama opowiadałaś z przejęciem!

— Tak, ale ja zawsze jestem trzpiotowata i wielomowna; pan zaś, wybacz za uwagę, poważny nad miarę...

Młody kapłan zamilkł na chwilę. Potem, patrząc wprost w oczy dziewczęcia, wyrzekł łagodnie, lecz jakby ze zdziwieniem:

— Duchowną sukienkę noszę... Nie umiałbym być innym! Jam sługa boży...

— Ale i człowiek... A ciężko robić z siebie, wbrew usposobieniu i charakterowi, pustelnika...

— Kto pani to powiedział? Czy mnie widziano innym... wesołym, płochym, towarzyskim?... Owszem, jestem właśnie mrukiem i pustelnikiem, i to jest najprawdziwszy mój charakter!

Widać było, iż rozmowa zaczynała go burzyć... Na twarz wystąpiły lekkie, nieznacznie zarysowywujące się rumieńce, oczy zaczynały się rozpalać... Zdjął z głowy kapelusz i wysmukłą białą ręką począł przebierać zwichrzoną czarną czuprynę...

Piękną była ta wytworna o wyrzeźbionych rysach twarz młodego człowieka. Znać było, iż szereg cały umiejętnie i bezwiednie doskonale łączących się z sobą pokoleń złożył się na tę skończoną całość typowej męskiej piękności. Przeważał w nim typ południowy, włoski, obcy naszej rasie; nie w nim nie było z Słowianina—jeden spokój może, który mógł być udany. Silny, czarny zarost, choć gołony często, z pod skóry nawet przeświecał tłem ciemnawem i z wielką białością twarzy tworzył charakterystyczny kontrast. Usta wąskie, z prześlicznym i jak na mężczyznę niezwykajnym zakrojem, przy rozmowie odsłaniały dwa rzędy drobnych, świecących białych zębów... W całej twarzy było coś odrębnego, charakterem odmiennego od tysiąca

innych i oryginalnego. Rysy te przy pierwszym widzeniu utrwały się w pamięci i przy spotkaniu następnem zdawały się zdawna już znajomymi...

Tego samego doświadczała i panna Skomorowska. U Chwalkiewicza uderzył ją wdzięk i odmienność tej twarzy, a im dłużej się w nią wpatrywała, tem więcej zdawała jej się być już jakby gładzić dawniej widzianą i zaobserwowaną... Lecz to było złudzenie, bo księdza Prota spotykała po raz pierwszy w życiu. Teraz, przy tem następnem widzeniu, odszukiwała już tylko cech, oznak nowych, a odkrywając je obficie, patrzyła z upodobaniem na piękną, energiczną twarz wikarego załomunieckiego.

Przyszło jej na myśl, coby to za śliczny mężczyzna był, śliczniejszy jeszcze, niż teraz, gdyby nie był księdzem! I choć to było daremne i niewrócone, zaczęła jednak żałować, że tak nie jest.

— Pan zrobiłeś na mnie wrażenie dziwnego mruka i odludka... Siedziałeś tak milczący, taki pyszny jakiś, dumny, lekceważący, w oczach panna czytałam taką dla mnie niechęć, że doprawdy stałeś mi się w przeciągu tej półgodziny wrogiem...

On otworzył szeroko oczy i patrzył na nią zdziwiony. W jej zmiennym charakterze nastąpił chwilowy przewrót. Jakaś obrażona duma, spotęgowana niechęć, jakaś satysfakcja zemsty i docięcia, wybuch szczerości, pomieszany z tajemnym zadowoleniem wielkiej damy, raczącej w chwili swego «widzimi się» i «tak chcę!» pokazać z złośliwą brawurą, jak potrafi odplacić za to, co jej się nie podobało—wszystko to w jednej chwili w niej powstało.

— Mało się znamy, prawie wcale — ciągnęła, — a jednak chcę to panu powiedzieć... Widzi pan, czy myślisz, żem nie spostrzegła jego zdziwienia, a nawet zdumienia, gdy zamiast obojętnego kiwnięcia głową, jak to miałam pierwotnie zamiar uczynić, zatrzymałam konia i dla pana zupełnie niespodzianie, pan nie mogłeś się nawet spodziewać czegoś podobnego, podeszłam do niego się przywitać?... Jak mu, zamiast wzgardliwie wydać usta, podałam uśmiechnięta, niby dobremu, serdecznemu znajomemu, rękę i wesoło powiedziałam: dzień dobry?... Jak zamiast dać poznać, żem jasną panną Skomorowską, najnaturalniej w świecie, delikatnie, jak tylko kobieta może, szczerze, bez przymusu, nawet trochę, troszkę... laskawie, zaczęłam rozmowę?... Pan dotychczas nie rozumiesz, pomimo swej prze-

nikliwości, którą pewnie posiadasz, choćby i obecnej mojej szczerości?... Ja przecież postąpiłam sobie jak największa dziwaczka, może nawet mało przyzwoicie, narzuciłam się panu, odprawiłam Francuzkę, by zostać sam na sam...

Wzięła rączkę pod bok i zapytała z rozdrażnieniem:

— *Voyons*, czy nie lepiej było zostać zimną, niedostępną, sztywną i przerażająco lodowatą, jak pan, panną Skomorowską?

Patrzała na niego wyzywająco, z drwiącym uśmiechem na ustach...

Ale Prot, który z początku słuchał tego ze zdziwieniem niezmiernem, począł wraz z stopniowo wypowiedzanemi jej zdaniem się mienić. Twarz mu się zaróżowiła, potem lekko zsiniała, jak u ludzi zaskoczonych znienacka jakimkolwiek dziwnem zajściem, potem stała się bladą... Oczy rozgorzały ogniem, w kącikach ich zamigotał gniew, mięśnie na policzkach zaczęły grać... Już to nie był dotychczasowy ksiądz Prot.

— Jasna panno! — wykrzyknął, zrywając się z murawy — nie odmawiam ci twej jasności!... O, tak, jasna jesteś, i wspaniała, i bogata i czarowna!... Życiu ślać się tobie pod nogi, lecz nie tobie starać się, by względem dla ciebie było...

Hej, Skomorowska ty, losu i fortuny ulubienica! A czego ci ona pozazdrościła, co ci ujęła?... Nic! Mołodycia ty krasna i zazula wspaniała, jak u nas na Podolu mówią, a ja z Podola! I ja miałem ojca, co myślał, że na wieki fortuny jego starczy, a jak przyszła godzina, to czem palca owinać nie było! Matka oczy nad igłą wypatrzyła, siostra nie tak jak ty, panno jasna, świeci! A ja, marny wikarzyna, takóž do waszych progów oczów nie podnoszę... Wy... pany Skomorowskie, ja biedny ksiądz... Ani ja lód, ani skała, ani zimny, ani sztywny, ani niedostępny, tylko swoją drogą chcę iść...

Panna patrzała na niego cała rozplomieniona, a po ciele, pomimo wysiłków hamowania się, poczęły ją przebiegać drgnienia krótkie, szybkie, gwałtowne i jakby omdlewające... Patrzała z rozkoszą na jego szlachetną w swej czystości zarysów twarz, oczy roziskrzzone, włosy rozwichrzone, wsłuchiwała się w głos urywany, kończący się przy każdym zwrocie dźwiękiem metalu, spadłego na płytę, i dziwiła się i nie pojmowała, co się z tym zimnym człowiekiem stało. Z rozkoszą dziewczyny rozkwitłej i dojrzałej, drżącej, oczekującej, niezaspokojonej, z bezwiedną, lub przeczuwaną, majaczącą, słodką, wstrząsającą a lubą żądzą ciała młodego, pełnego, ciepłego, tętniące-

go i zmysłowego, z całym pragnieniem czegoś, co jest silne jak śmierć, przeczuciem tak rozkoszne, że aż w ból przechodzi, i pobudzone prądem łechtania elektryzuje, szeptała w duszy, patrząc na niego:

— Jaki on piękny, jaki on piękny!...

Nie widziała już, że stoi przed nią ksiądz, duchowny, będący z natury powołania swego istotą, niewzbudzającą nic innego nad myśl o Tym, którego on jest sługą... Ona nad tem nie zastanawiała się obecnie. Piękność jego i siła pociągnęły ją zupełnie.

Lecz Prot, który już usiadł i głowę na rękach podparł, zapadł w jakieś pognębienie. Tak siedział dość długo i ona siedziała milcząca, dziwnie gniewna, rozstrojona jakby i wsłuchana w dźwięki, które już zamarły...

Nagle Prot, nie zważając na jej obecność, począł mówić przyduszonym głosem:

— Wstyd mi, wstyd mi, wstyd mi!...

I jakby zgorszony własnym postępkiem, opamiętawszy się, jął powtarzać głośno:

— Wstyd mi, wstyd mi, wstyd mi!...

Poczem powstał, i zbliżywszy się do dziewczyny, ujął ją za rękę. Drgnęła, po twarzy jej przeleciał rumieniec... Spojrzała na niego dziwnym, przejmującym wzrokiem... On zdawał

się być już spokojnym i cichym... Wtedy wyrzekła głośno:

— Ja tu naumyślnie przyjechałam...

Wpatrywała się w niego uporeczywie. Była jakby w podniecieniu. On spoglądał na nią szklistym wzrokiem. Po chwili wyszeptał:

— Przepraszam...

Wtedy ona powtórzyła:

— Ranem pan chodzisz na spacer, wiem...  
Ja tu umyślnie przyjechałam...

Lecz on odwrócił się od niej. Puścił jej rękę, mileżał. Patrzył zda się w dal, gdzie majaczyły już figury wracających jeźdźców... Głuchym głosem spytał:

— Po co?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

. . . . .

Dziarsko szły konie z powrotem do Dębowa. Flora, wlokąca się dotąd z Grzelą luzem, spragniona pohasania, szła pełnym kłusem pod panną. W końskiej swej duszy dziwiła się jednak pewnie, za co, pomimo szybkiego tempa, po bokach szpicrutą dostaje... W samej rzeczy panna smagała ją bez litości tak, że klacz, która do tego przyzwyczajoną nie była, zaczęła rzucać się pod siodłem. Wreszcie poszła galopa i po krótkiej chwili zniknęła z oczów zrozpaczoney, zmor-



dowanej Francuzicy i zakłopotanego Grzeli. Ten sądząc jednak, że Flora poniosła, a obawiając się o jasną pannę, po krótkim wahaniu, pomimo rozpaczliwych protestów manzeli, zostawił ją własnemu losowi i pognął za Florą, spiąwszy Jasia ostrogami. Już za Poradzewem dogonił wreszcie pannę i dostał surowy monit za swe postąpienie. Musiał wracać po Francuzkę, a panna pojechała dalej. Wkrótce dojechała do Dębowa, dokąd w półgodziny, zła i lamentująca, dotarła i Francuzka z Grzelą. Pan Skomorowski, ujrzawszy ją, wybuchnął homerycznym śmiechem, i na tem skończyła się cała ranna wyprawa.

.....

Ksiądz Prot pozostał na miejscu. Stał tak chwilę, aż odjeżdżający znikli z oczu. Nagle w oddali coś zadźwięczało. Szedł ten dźwięk cichy, przytłumiony, ledwie uchwytny. Ksiądz Prot zdjął kapelusz i począł odmawiać modlitwę...

W kościele w Załomuńcach dzwoniło na Anioł Pański...

## VII.

Pewnego dnia, coś w dwa tygodnie potem, zawrzało na plebanii załomunieckiej. Koło południa przyjechał Kobuza z księdzem Chociemskim, proboszczem kościoła w Skolomowie, i z jakimś trzecim jeszcze, młodszym. Ruch i rwetes powstał ogromny, bo nikogo na plebanii nie było. Ksiądz Chwalkiewicz był w polu, a ksiądz Prot we wsi sąsiedniej u chorego, z wiatykiem. Tak więc nie zastali goście gospodarstwa, ale Kobuzie to było wszystko jedno. Kazał odprzeżać konie i prowadzić do stajni, bryczkę wtoczyć do wozowni, a sam pchnął Józka co tehu na pole, by dawał znać, że goście przyjechali. Rozgospodarzył się też bez ceremonii u Chwalkiewicza, jak u siebie, i dowcipkując z tłustą gospodynią, prosił o podanie przekąski. Pani Falencka, gospodyni, księdza Kobuzę lubiąca «pasyami,»

wnet gorliwie zabrała się do dzieła. Wyciągnęła z ukrycia doskonałą starkę, pamiętającą już kilka lat, postawiła chleba «delicye,» prawdziwego wiejskiego, jej tylko wiadomym sposobem piezonego, masła, szynki, konfitur, doskonałego pasztetu, ocalałego jeszcze od niedzieli, i kazała nastawiać samowar. Zadysponowawszy i uszykowawszy to wszystko, usiadła wdzięcznie pod oknem i czule słuchała jowialnych dowcipów Kobuzy.

W chwilę potem Chociemski, stojący przy pani Falenckiej, wyjrzawszy przez okno, wykrzyknął:

— A otóż idzie i Chwalkiewicz! Uuu, jak suwa zziajany! Robota, panie dzieju, widać u was aż huczy!...

— Iiii... — odrzekła piskliwym dyszkantem gospodyni—jegomość to tylko tak się przejmuje... Co za robota? Abo to gospodarstwo takie duże? A pewnie taki zziajany, bo mu ciężko iść...

— Nie przymierzając, jak pannie Falenckiej, gdyby tak z raportem leciała—odezwał się przez zapchane szynką usta Kobuza, śmiejąc się.

— Ooo! — albo to ja taka gruba, z przeproszeniem? — spytała, oglądając się po sobie, dotknięta tem Falencka—ani taka tęga, ani otyła...

— O, nie — przemówił z uśmiechem trzeci, młodszy,—w sam raz, Venus z Milo, ideał proporcji!

Już chciała panna Falencka coś odpowiedzieć, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i do pokoju wszedł, a raczej wpadł ksiądz proboszcz. Panna więc umilkła, a zaczęta sylaba skonała na jej wargach. Chwalkiewicz stał sekundę, wpatrując się w przybyłych. Poczem, spostrzegłszy najmłodszego, rzucił kapelusz o ziemię i rozkrzyżowawszy ramiona, wykrzyknął z rozczuleniem:

— Rany boskie, co ja widzę?... Prostkowski! A pójdźże w moje objęcia, obwiesiu! A skąd cię tu dyabli przynieśli, wymoczku?!

Poczem ściskając i całując z dubeltówki obejmującego się z nim Prostkowskiego, mówił:

— A niech cię kule biją! Skąd się tu wziąłeś, robaczku? A ja myślałem, że ty już na krańcu świata desperujesz po Załomuńcach! A niech cię nie znam!

To mówiąc, obracał go w swych rękach jak kukłę, i przyglądając mu się, począł znowu całować.

— A toś mi satysfakcyę uczynił! Uuu! nie masz pojęcia, co za monstrum na twoje miejsce dostałem, co za dziwaectwo chodzące! A odmie

nił się, paliwoda, utyl!... Ooo... jak napećzniał! Niezgorszy chleb jeść musiałeś!

— Ba, nie był zły — odparł Prostkowski, wzajem obejmując Chwalkiewicza, — ale dyabelnie nudny... Trafiłem na świętego chodzącego, purytanina, skrzeczycnotę...

— To coś jak i ja! — westchnął Chwalkiewicz. — Nie wyobrazisz sobie, co za wcielenie niewinności i wszelakich zalet duchowych jest ten wikary... A nudny przytem! jak lukrecya!... Zobaczysz go wreszcie sam, pewnie tu gdzie jest niedaleko...

— Wyjechał do Seków godzinę temu do umierającego — wyrecytowała piskliwie z pod okna panna Falencka.

Chwalkiewicz się witał tymczasem z resztą gości.

— A, Kobuza! Jak się macie, kolego! Co słychać u was nowego? U mnie teraz gorąco: kossę, sprzątam... Siwa mi się oźrebiła przedonegdaj... Takiego ładnego smarkula uległa!

— Księżę Chociemski dobrodzieju! witać, witać! Dlaczego tak rzadko? Cóż się stało, że nareszcie mam przyjemność?

— E, to cała historia, panie bracie—głębokim basem swym odczwał się Kobuza. — Księdza

Chociemskiego zdybaliśmy znienacka i przywieźliśmy tutaj, choć nie chciał...

— Co, ja nie chciałem?

— Ehe! nie wykrecąjcie się teraz, kolego, bo wam jakoś niesporo przed Chwalkiewiczem; ale on wyrozumiały...

— Tak jest—uroczyście zapewnił Chwalkiewicz, nie słysząc, o co rzecz idzie, gdyż dawał jakieś polecenie gospodyni, a właściwie chciał ją stąd przegonić, jako niepotrzebną wcale flircistkę.

— O, ksiądz Chociemski nierad jechał z nami—zagrzmiał z kąta Prostkowski, gdzie oglądał faje księdza proboszcza,—ale bo też dzisiaj i gwałt w Skolomowie!

— No?—spytał żywo Chwalkiewicz, zwracając się do Prostkowskiego — dlaczego?

— At!—machnął ręką Prostkowski — ja tam dobrze nie wiem, bo się tem nie interesowałem; ale ksiądz Chociemski toby mógł opowiedzieć!...

— Tak?... proszę, i cóż to za awantura nowa?—pytał Chwalkiewicz, zwracając się do proboszcza skolomowskiego—cóż to kolega tak ukrywa?

— Nie ukrywam—odparł Chociemski,—ale i nie tak osobliwszego niema... Zwyczajna rzecz... Przyjechał pan Dobrozacki z Klonowic...

— He, he! — wtrącił Kobuza — będzie tu i o twoim Procie coś nie coś, mój Chwalkiewicz...

Chwalkiewicz zrobił zdziwioną minę i oczy rozszerzył, jakby się chciał zapytać: «jako?» ale w tej chwili Prostkowski dodał:

— Oho, i nie jedno... Toż to tej historyjki źródło jedyne i sprężynka najgłówniejsza... Ho, ho! ksiądz proboszcz za świętego go przedstawiał i nieruchomego, a on się dobrze poza plecyma rusza ten ksiądz Prot!

Chwalkiewicz coraz mniej rozumiał, ale też coraz bardziej na twarzy jego malowało się zdziwienie i niccierpliwe zaciekawienie... To też wykrzyknął:

— Dalibóg, nic nie zrozumiem, jak zaczniecie tak mówić! Hm, hm, to ten Procik tak robi?... A zdawałoby się, że serdeńko takie niewinne!...

— Zaczyna się puszczać — zaśmiał się Kobuza, którego zdaje się chwilowo najwięcej obchodził pasztet, przysunięty dość blisko do niego.

Wodził znudzonym wzrokiem po stole, jakby upatrując tam czego. Wreszcie przemówił:

— Ale to wszystko dobre i gadu-gadu przyjemne, byle tak jakoś tego... usta zwilżyć... Przyniosła nam coprawda swojska Venus nalewki, ale zdaje mi się, że... tego... ten... już jej nie ma?

— A, wybaczcie najmilsi, ałem ani spostrzegł tego... Jak Prostkowski zaczął zawracać głowę. zapomniałem... Hej, Józiek! Kto tam jest?... Du

chem-no tej wiśniówki, co po prawej stronie w piwniczce, wiesz?...

— Księdza Prostkowskiego roboty!—dorzucił Kobuza.

— Oj, Prostkowski!—dodał po chwili—tobie nie księdzem było zostać, ale smarzykuchcą!... I ludzieby coś mieli z ciebie i tybyś odpowiedniejszą dla siebie winnicę uprawiał!

— Ba! — odparł Prostkowski, uśmiechając się — niech jeno ksiądz Chwalkiewicz zechce tej z czerwonym kapslem na szyjce i z obrączką znaczoną na brzuszku wytoczyć... tobyś dopiero, dobrodzieju, poznał, jakie delicye fabrykowały!... Pięć takich butelczyn tylko stoi w piwniczce, ale za każdą z zamkniętymi oczyma możesz dobrodziej dwie szampańskiego dać! Uuul... jakie to są delicye!...

Tu począł śmiać się chytrze, patrząc w stronę Chwalkiewicza, który z skrywanem zgorzaniem spoglądał na dawnego swego wikarego, wydającego ściśle zachowywaną tajemnicę bez skrupułu. Teraz i mająca lada chwilę przybyć wiśniówka z prawego kąta piwniczki nie mogła uratować księdza proboszcza od zademonstrowania jednej z biednych pięciu butelczyn z obrączkami, chowanych na wszelki wypadek, na ważną okoliczność, na takie zdarzenie, kiedy się już



«stawia» to, co się posiada najlepszego, jednym słowem na chwilę uroczystą, ale bynajmniej nie na odwiedziny Chociemskiego, Kobuzy, a nawet zdrajcy Prostkowskiego, niewidzianego dwa lata przeszło... Ale już z woli losów pisane było jednej ze znakomitej piątki rozweselić podniebienia obecnych, bo Kobuza, usłyszawszy, co wygłosił Prostkowski, żadną miarą nie chciał pominąć tak pysznej okazji do spróbowania czegoś rzeczywiście pikantnego. To też po kilku zręcznych manewrach z jego strony, acz z ciężkim wewnątrz żalem (bo na zewnątrz nie wypadało go okazywać), udał się sam Chwałkiewicz, nie ufając Jóźkowi, do piwniczki i tam z osobnego ukrycia wydobyl jedną z pięciu obrączkowatych butelek. W duszy jednak nie przestawał zlorzeczyć Prostkowskiemu, przymawiając mu w myśli:

— Poczekaj, już ja ci za to odpłacę!...

Zaczęli przepijać do siebie i kolejka poszła gęsto, a że flaszka była ogromna, a nalewka doskonała, przeto i ożywili się bardzo prędko... Prostkowski zaczął nawet pośpiewywać i przytupywać nogami, rychło można było oczekiwać, iż się w tan puści... Kobuza poczerwieniał i rozpromieniony sypał conceptami, jak z rękawa... Chociemski, w miarę wypijanych kieliszków,

bladł coraz bardziej i stawał się spokojniejszym... Siedział rozparty w fotelu i wpatrzony w talerzyk z szynką, kiwał poważnie głową... Chwalkiewicz, choć jeszcze całkiem nie przeboleł nad marnym końcem butelczyny, poweselał sam pod dobroczynnym wpływem jej zawartości, i machnąwszy wreszcie w duszy ręką na niespodziewane uszczuplenie zapasu wyśmienitego nektaru, pogodził się z siłą faktów, starając się tylko jak największą dla siebie stąd korzyść osiągnąć. To też nie żalował sobie i dość często przysuwał się do butelczyny. Zrobiło mu się jakoś weselej i przyjemniej. Wziął jedną z niezliczonych swych fujarek i począł grać skoczego krakowiaka, a Prostkowski w tej chwili uchwycił melodyę, i przytupując lekko, zaczął śpiewać... O historii skolomowskiej i Procie jakoś zapomniano na razie.

Przypomniał ją dopiero Chwalkiewicz, gdy odjąwszy fujarkę od ust, zapytał:

— Ale, ale, Prostkosiu — jakżeż ty się tu wziąłeś?... Wyrzucili cię już z tamtej parafii, coś to pisał: panny jako żaby, a serca u nich istna grecka gąbka: z jednej strony się wśliznąłeś, paf, nie spostrzeżesz się, jak z drugiej już cię wyciskają!... Tak?

A Prostkowski, który usiadł na oknie i bujał mjarowo nogami, odparł lakonicznie:

— Aha!

— Ho!—wykrzyknął Chwalkiewicz—toś się już z tamtą cnotką pożegnał na zawsze?...

— Aha!

— I dostałeś tranzlokacyę?

— Aha!

— Niechże cię kule biją z twojem «aha!» Gładaj, gdzie cię wpakowali?

— A ot niedaleko...

— Gdzie?...

— No, do Chociemskiego...

— Co?... Ty do Skolomowa?... Na wikarego?...

A niech cię szlag trafi! to ci się dość udało!...

— Ba!

— Co «ba?»

— Ba, niegorzej. Zawszeć to jakoś co miasteczko, to nie dziura wiejska, deskami od świata zabita... Tylko że tu w Skolomowie partykularz też, brrr... porządny!

— Gadaj zdrów, aleć wolę w Skolomowie, niż tam gdzieś... Ale wiesz, gdyby tak na mnie, tobym się z tobą nie pomieniał! Wolę ja wieś... sadzik, półko, obórkę, coś tego, niż wasze miejskie frykasy... Panie, co to jest mieć całą wieś na zawołanie, kilka innych obok też chętnych, i to i owo, jak znalazł! Swoboda, jestem prawie jak pan!

— Łatwo to mówić proboszczowi... Ale wikary... temu to wszystko jedno!

— Hm, może i masz rację!...

Tu się zamyślił i począł bębnić palcami po stole. Nagle zawołał:

— A powiedz, Prostkosiu, toś ty już tu zupełnie zjechał i w Skolomowie osiadłeś na stałe?

— To jest, póki mnie znówu gdzie nie pognają... Ale tak, to właśnie przyjechałem na urządowanie! Ale cóż to, dopiero drugi dzień bawię!

— No, widzę, że cię nie wyziębiły te żaby zupełnie, skoro poczułeś predylekcyę odwiedzić mnie tak prędko. Dziękuję ci.

— A o tę nalewkę już nie będzie rachunków?—zapytał frantowato Prostkowski.

— E, niech cię już!...—machnął ręką Chwałkiewicz—przecież ja ją z duszy-serca dałem...

— Uuum!... — mruknął do siebie Kobuza, usłyszawszy tę prawdziwie szczerą odpowiedź — żebyś ty tak zdrów był, jak ty ją z duszy-serca dałeś!

Na głos zaś powiedział:

— No, panowie, jeszcze kolejkę! Dobra szelma!... jak Boga tego... W twoje ręce, Chwałkuśniu!

Wypił duszkiem kieliszek, i nalawszy go pełno, oddał wraz z butelką gospodarzowi. Chwalkiewicz wychylił, pijąc do Prostkowskiego. Ten zaś zwrócił się do spokojnego Chociemskiego, poważnie kiwającego głową, i wykrzyknął:

— W wasze rączki, proboszczuniu!

Ale Chociemski odmówił. Zgorszony Kobuza jął mu czynić wyrzuty o niedołęstwo i brak charakteru, ale to nic nie pomogło: nie chciał pić. Dano mu więc spokój i puszczone butelczynę jeszcze raz w kolejkę.

— Ale, ale! — zawołał Chwalkiewicz, nabijając fajkę tytuniem, podawszy uprzednio gościom papierosy i cygara, szwarcowane z zagranicy, z szczególnem namaszczeniem częstując niemi Kobuzę, który na takie rzeczy był znawca — powiedzcież mi nareszcie, co to za gwałtu narobił Prociunio w Skolomowie? O tem, jak Prostkosio tu trafił, już się dowiedziałem; mówcież-no, proszę, o gwałciku...

Chociemski, który lekko falował w swym fotelu, przemówił monotonnym głosem:

— Żadnego gwałciku nie było...

— E, bo to trzeba opowiedzieć dokumentnie, z początku — odezwał się Kobuza, puszczając niebieskie kółka dymu i śledząc, jak się rozply-

wały w powietrzu—tak to na nie!... No, Prostkowski, opowiadaj!

— Ja mam opowiadać? Ja wiem piąte przez dziesiąte! Coś slyszalem, coś tego... widzialem... No cóż, wielka awantura! Ten Prot chce restaurować kościół w Załomuńcach, odnawiać, odświeżać, malować, pacykować i lata po obywatelach, bębni, zbiera podobno pieniądze... Ano, zdadzą się, niema co mówić! Tylko żeby trafiły do kościoła... Bo inaczej to na nie robota! Niema co, dzielny facet... reformator, restaurator, inicjator... Dobrzeby było tylko, żeby z tego wszystkiego nie został: fiksator!

— Co? — zaperzył się Chwalkiewicz, usłyszawszy, co mówił Prostkowski—on ofiary na kościół zbiera? Dam ja mu zbierać! Ja go nauczę moresu! ja go nauczę inicjatywy! ja mu pokażę reformy! Do biskupa podam na skargę, do arcybiskupa pójdzie, do Rzymu pójdzie! A to świętoszek wyskrobany! A to mumia drewniana! A to wikary glistowaty!... Poczekaj, już ja ci dogodzę! Bez mojego pozwolenia, ani słowa nie pisnął, nie, pary z ust nie puścił i ofiary będzie na swoją rękę zbierał! A jaki to dla mnie blamaż, kompromitacya!... Jakże? Do tego doszło, że wikary, chcąc ratować świątynię, postawioną ciężką ofiarą i serdecznym zapalem kapłana

(Panie, świeć nad jego duszą!), pomimo obecności proboszcza i jego atrybucyi, sam musi prosić o laskawy grosz na ocalenie domu bożego?... Cóż więc jest ten proboszcz? Niewidomy, głuchy, głupi, niedbały, zły, prywaty tylko szukający!... Nie sługa boży, nie pasterz owieczek, nie mężny opiekun świątyni... Jakże? Przecież na to wychodzi! Oo! poczekaj, dam ja ci, krętacka sztuczko, będziesz ty u mnie śpiewał! Ja ci zagram, ale nie wiadomo, czy ty tę muzykę przetrzymasz!... A to niesłychane, a to nie do wiary będące!

Długo jeszcze pienił się zacny proboszcz, cały arsenał broni przeciwko nieobecnemu księdzu Protowi wytaczając. Potakiwał mu w tem Kobuza, Prostkowski drwinkował, zastrzegając się, że małe ma o tem wszystkim pojęcie. Ksiądz Chociemski tylko nie mówił, kiwając się poważnie w swym fotelu. Wreszcie obecni usłyszeli, jak zachrapał.

To ich powstrzymało chwilowo w ferworze i komentowaniu bezbożnego postąpienia Prota. Pierwszy Chwalkiewicz spojrział zdziwiony na Kobuzę, jakby pytając go wzrokiem, coby to znaczyć miało. Kobuza spojrział się wzajem na niego, potem na Prostkowskiego i wreszcie się roześmiał.

— A to doprawdy piramidalne! Zdrzemnął się niewinnie, jak Boga Kocham! He, he, he! a to doskonale! No cóż?... śpi! śpi! jak Boga tego... Kokosowy człowiek!

A po chwili dodał:

— No, no, ale żeby się po kilku kieliszkach strąbić? Poczciwy człowiek jakiś... Patrzcie, jak smacznie drzemkę ucina!... He, he, he!

— Co—zapytał się, nagle zbudzony głośnym śmiechem Chociemski—co powiadacie?...

— Mówimy o kweście Prota — odparł bez zająknięcia Kobuza, — sztuczka nielada!

— To jest najporządniejszy człowiek, jakiego znam, i najgodniejszy kapłan — odparł ksiądz Chociemski.

Zdziwienie tym razem było większem, niż przy spostrzeżeniu drzemki proboszcza skolomowskiego. Chwałkiewicz, Kobuza, a nawet Prostkowski, wyglądający w tej chwili przez okno, na takie *dictum* nadstawili niedowierzająco uszów i poczęli przypatrywać się Chociemskiemu, jakby go dopiero teraz spostrzegli...

— Cooo? — wyrzekli wreszcie prawie jednocześnie.

— Ksiądz Prot, tutejszy wikary, jest jednym z najgodniejszych kapłanów, jakich znam — odpowiedział z flegmą Chociemski.



— Co? i to ksiądz mówisz?—zapytał gwałtownie Chwałkiewicz.

— Proboszczuniu!—tonem perswazyi i łagodnego wyrzutu odezwał się Prostkowski.

— Mało ich w takim razie znasz, kolego!—wyrzekł pogardliwie Kobuza. — Winszuję, ale nie zazdroszczę!

— O cóż wam idzie?—przemówił spokojnie Chociemski, przestawszy kiwać się w fotelu. — O co wam idzie?—powtórzył.—Kto ma mu co do zarzucenia?

— My!—odrzekli jednogłośnie Chwałkiewicz i Kobuza.

— To mu to powiedzcie w oczy—rzekł Chociemski.

— To nie jest odpowiedź! — zawołał rozdrażniony Chwałkiewicz.

— Więc jakiej chcecie?—zapytał Chociemski, wstając z fotela.

— Jakiej? — zaczął gwałtownie Chwałkiewicz — oto takiej: jakim prawem ten mój wikary rozporządza się bez mojej wiedzy i pozwolenia? Dlaczego prawem kaduka uzurpowały sobie kompetencyę i miarodajność w takich sprawach, w których tylko ja mogę mieć głos? Dlaczego wtrąca się w nieswoje rzeczy, zamiast pilnować swojej mszy, zajęć i ksiązek? Dlaczego ko-

pie pode mną dolki i naraża moją opinię na szwank u ludzi? Jakiem prawem ośmiesza mnie i parafię w dziwnem świetle przedstawia? He?

— Księżę proboszczu, zastanówcie się, co mówicie! Kto uzurpowały sobie kompetencyę? Ależ któż może być bardziej kompetentnym od tego, co codziennie i co godzina styka się z wszystkim najbliższem? O tem, że ksiądz Prot nie raz, ale sto razy mówił z wami o potrzebie restauracyi kościoła, sami nieraz wspominaliście, utyskując na niesprawiedliwość i bezzasadność tych poglądów, i ponoć bardzo niesłusznie! Co zaś do szarpania opinii, kto zna bliżej Protę ten wie, że onby tego nigdy nie uczynił. Jeżeli zaś ludzie sami was osądzą, ha, to wasza wina! Czyż Prot miał czekać, aż świątynia na nie zniszczeje, dlatego tylko, że was to mało obchodzi?

— Kto to powiedział? — krzyknął z wściekłością Chwalkiewicz, zapominając się i przyskakując do Chociemskiego—kto to powiedział?

Ale niktby już nie poznał poprzedniego drzeмиącego Chociemskiego. Nie uląkł się następującego mu na nogi Chwalkiewicza, tylko cofnął się trochę w tył, jakby chcąc lepiej widzieć napastnika, i mierzając go rozbłysłymi oczyma, dumnie odpowiedział:

— Ja!

— Że nie dbam o świątynię, że pozwalam, by kościół niszczał, że wolę prywatę niż obowiązek, że może się walić, palić, a mnie obchodzi tylko moje dobro?—wrzeszczał Chwalkiewicz.

— Tak — odparł spokojnie Chociemski, cofnąwszy się tylko jeszcze więcej w tył, bo mu Chwalkiewicz coraz silniej na nogi następował.

Prostkowski stał niemy, jakby tego nierozumiejący. Kobuza, który miał starą anse do Chociemskiego, z natury mściwy, nie biegł położyć tamy gorszącemu zajściu.

— Ja tobie pokażę, proboszczu skolomowski, wtrącać się do mnie! Ja was wszystkich nauczę! — wołał głośno Chwalkiewicz, rzucając się i miotając z cybuchem w ręce,—i tego chłystka, tego smarkacza, tego denuncyanta Prota nauczę!

Lecz nagle Kobuza, stojący niedaleko drzwi, cofnął się, jakby widmo zobaczył. Prostkowski, widząc jego ruch, spojrział również i tak został z utkwionemi w tę stronę oczyma...

W otwartych do sieni drzwiach stał śmiertelnie blady, jak lunatyk w ostatnie słowa Chwalkiewicza zasłuchany, ksiądz Prot...

Nastąpiła grobowa cisza. Zdawało się, iż najlepszy szmer w powietrzu można było wyczuć bez wysiłku. Chwalkiewicz, idąc za wzrokiem Prostkowskiego, obejrzał się i, jakby zahypnoty-

zowany, oniemiał. Chociemski, zdziwiony również, milczał, Prostkowski wlepił oczy w nieznanego sobie dotąd wikarego, Kobuza zbladł i oczy podsiniły mu nieco.

Prot stał, więcej do mary niż do człowieka podobny. Twarz jego ascetyczna wykrzywiła się jakby wyrazem bólu, oczy gorejące utkwili w tego, który zbezczescił go przed chwilą w taki sposób. Szedł tu, by pomówić z nim o pogrzebie nędzarza, niedawno w Sękach na zawsze już z Bogiem pojednanego—i oto co usłyszał!

Żal, rozpacz, nienawiść zatargaly nim. Drobne ręce zacisnął, usta poczęły mu drgać... Chwilę jeszcze, a zdało się, iż wszystko z tej okropnej goryczy, którą w duszy nosił już od dawna, wybuchnie jak niepowstrzymany nieczem potok. I już - już blade usta jego otwierały się, by wyrzec gorzką prawdę, gdy nagle przez myśl, jak błyskawica, przeleciały mu słowa, które pół godziny temu wypowiedział do umierającego w Sękach: «Za to, żeś przebaczał ludziom krzywdy swoje, żeś chlebem za kamień odpłacał, ja, sługa boży, w imieniu Stwórcy rozgrzeszam cię z grzechów twoich i obiecuję przebaczenie Przedwiecznego...»

Twarz jego skurczyła się. Pochylił głowę i wyszeptal:

— Pochwalony Jezus Chrystus...


Lecz w oczach Chwalkiewicza zamigotała wściekłość. Zaczął mienić się na twarzy i podczas gdy najpierw Chociemski, a potem Prostkowski i Kobuza odpowiedzieli: «Na wieki wieków, amen...»—on, nie prócz twarzy Prota nie widzący, milczał. Wreszcie począł ruszać się, jak tygrys do skoku się szykujący, i nim ktokolwiek zdołał się spostrzedz, rzucił się ku Protowi.

Okrzyk oburzenia wyrwał się z piersi obecnych. Wnet jednak Prostkowski, który opamiętał się najpierwszy, zbliżył się szybko do Chwalkiewicza, i porwawszy go za ramiona, odciągnął siłą. Chwilę jeszcze szamotał się Chwalkiewicz, lecz w końcu uległ, i rzuciwszy nienawistne spojrzenie na Prota, usiadł ciężko, wyczerpany zda się zupełnie.

Wtedy Prot drżącym głosem wymówił wolno, urywanie:

— W imię Boga przebaczam ci krzywdę i zniewagę moją...

## VIII.

 dwa dni po tem, na długo jeszcze przed południem, u sztachet obejścia plebańskiego w Załomuńcach zjawił się konny posłaniec. Był to Grzela, który jadąc na Jasiu, czasu widocznie nie tracił, bo Jaś był zgrzany porządnie. Konia uwiązał u kołu sztachet, sam zaś poszedł zameldować się z przybyciem wielmożnemu proboszczowi załomunieckiemu. Jakoż niedługo go szukał. Chwalkiewicz, zły, zachmurzony, ponury jak noc, siedział pod drzewem jakimś rozłożystem i na pozór czytał gazetę, świeżo z poczty przez Bartka przywiezioną. W rzeczywistości jednak tyle tylko, że na nią spoglądał: ani treści, ani niczego w niej nie badał. Duże czarne litery, pomieszane z małemi, albo całkiem malutkimi, skakały mu przed oczyma, swawoląc, to biorąc się wszystkie razem w koła

i zawiłe szeregi, to każda z osobna popychając się wzajem i tworząc plątaninę nieznośną, zagmatwaną, chaotyczną...

A w myśli ciągle mu stały wypadki z przed dwóch dni. Od tego dnia chodził jak zatumaniony: ani pomyśleć o czem innym, ani zrobić coś, ani nawet pójść w pole, choćby dla rozrywki... Siedział przeto albo w obejściu, albo w ogródku, albo w domu — i myślał a myślał o jednym...

Nie ulegało wątpliwości, że opinia jego się zachwiała. Postąpił sobie, jak każdy grubianin postąpićby umiał; co zaś do napaści na Prota, o tem wołał już nie myśleć... Ale ohyda faktu sama narzucala mu się z podwójną siłą: raz jako postępek człowieka, drugi — jako uczynek kapłana... I pomimo, że to się stało już dwa dni temu, i pomimo, że tysiąc już razy to przetrawił, jeszcze chłód go przebiegał, gdy wspominał o tem... Jakżeż powinien być wdzięcznym Prostkowskiemu, że go w czas powstrzymał!

A jednak, pomimo obmierzłości swego uniczenia, pomimo chrześcijańskiego przebaczenia, którem Prot nie wahał się zapłacić mu za obelgę swoją,—taka jednak była ponura zaciętość w tym człowieku przeciw wikaremu, że choć wzdrygał się na myśl o tem, co zająć mogło, gdyby go nie

powstrzymano wówczas przemocą,—przy wspomnieniu o Procie nienawiść wykrzywiła mu usta... Widział w nim sprawcę i przyczynę wszystkiego, co się stało.

Osowiały siedział, rozważając to bez ustanku. To też Grzela, który go odnalazł pod drzewem, długo stał przed załomunieckim proboszczem, nim wreszcie Chwalkiewicz go spostrzegł. Wpatrywał się w chłopaka dość uporeczywie, jakby nie mogąc zrozumieć, skądby się tu podobna figura wziąć mogła. Wreszcie zmarszczył brwi i zapytał szorstko:

— Czego chcesz?...

Grzela zaś pochylił się i zwyczajem polskich chłopów objął go za kolana, całując w rękę, — Poczem wyprostował się, jak żołnierz przed zwierzchnikiem, i odpowiedział:

— Z Dębowa jestem. Jasnej panny podręczny i dozorca od koni wierzchowych!... A to jest list od jaśnie pana dziedzica Skomorowskiego...

To mówiąc, podał zapieczętowaną kopertę. Ksiądz proboszcz, na dźwięk nazwiska tego, machinalnie uniósł się cokolwiek na ławce i usiadł zaraz z powrotem. Wziął list z rąk posłańca, rozłamał herbową pieczęć i otworzył kopertę. Poczem rozwinął arkusz, zapisany pismem dość dużem i okrągławem, chcąc czytać. Ale z arku-



sza posypały się banknoty i, nie zatrzymane ręką zdziwionego Chwalkiewicza, upadły z szelestem na ziemię.

Długo patrzył na nie ksiądz proboszcz, nie mogąc zrozumieć, co by znaczyć miały... Listu od Skomorowskiego ani oczekiwał, ani spodziewał się... Gdyby nie te banknoty, sądziłby, że to może wincik jaki... Tem trudniej było więc domyślić mu się, co list właściwie przynosił...

Grzela jednak, stojący z szacunkiem obok, pośpieszył podnieść spadłe na ziemię pieniądze. Wręczył je Chwalkiewiczowi, ten zaś położył je obok siebie na ławce i zaczął czytać:

«Dębów.

Łaskawy księżu proboszczu!

W tych dniach, mianowicie wczoraj, dowiedziałem się, że w kwestyi załomunieckiego kościoła agituje się projekt gruntownego jego odnowienia, gdyż kościół, o którym mowa, stawiany ongi przez ś. p. księdza Zebrzydowskiego, znajduje się w podrujnowanym stanie, co rzeczywiście, przypomniawszy sobie jego wygląd, przyznać muszę. Byłem jednak cokolwiek zdziwiony, że o sprawie tej nic od W. księdza proboszcza, jako bezpośredniego kościoła tego opiekuna, dotąd nie słyszałem. Sprawą odnowienia

i gruntownej restauracyi zajął się między innymi gorliwie podobno i ksiądz Prot, wikary parafialny, a W. księdza pomocnik, co byłoby pożądanem, gdyż nigdy ponoć rąk do pracy nie za-dużo...

O ile wiem, przedwstępne starania u okolicznych pp. posiadzicieli uwieńczył już pewien skutek. Słyszałem, że zaproponowano utworzenie komitetu obywatelskiego, jak również podniesiono myśl rozszerzenia świątyni, nieodpowiadającej już potrzebom tak dużej parafii... Pan Dobrozacki z Klonowie i dotąd kilka bliższych p. D. osób, przy wspólnem niedawnem spotkaniu w Skolomowie, mieli oświadczyć się z gotowością pomocy, o czem zresztą W. ksiądz proboszcz wiesz pewnie najlepiej...

Podobno działalność W. księdza proboszcza i księdza Prota nie natrafiła—rzecz dziwna wielce!—na uznanie u niektórych nieżyczliwych osób... Trudno jest to zrozumieć i dlatego pośpieszam złożyć moje w tym względzie ubolewanie, wraz ze szczerą zachętą do jak najpomyślniejszego załatwienia bezinteresownych i godnych naśladownictwa usiłowań... Śmiem przesłać przytem przy niniejszym tymczasowo rubli sześćset, które proszę przelać do wspólnych, zebranych dotąd funduszków.

O czem donosząc W. księdzu proboszczowi,  
kreślę się z poważaniem

*Skomorowski.»*

W księdza Chwalkiewicza jakby piorun trzasł, gdy ten list odczytał. Zdumiony był wielce i choćby chciał, nie tak łatwo przyszłoby mu na razie słowo nawet jedno wymówić. Powoli jednak począł go ten dur opuszczać, a natomiast rodziło się uczucie jakiejś bezsilnej złości i wściekłości. List ten, ni mniej, ni więcej, wystrychał go na dudka, na zwyczajnego, pospolitego głup-taka. Bo i jakże? Wbrew swojej woli, swym intencjom, swym poglądom i swemu zacierzeniu, wyrastał na rodziciela i inicjatora tego projektu, na szlachetnego i dbałego o dobro parafii opiekuna, na gorliwego i zgodnego współ-towarzysza Prota...

— Ooo! — zgrzytnął zębami — to przecie już za wiele! A ciekawe też, czy ta kanalia Skomorowski z umysłu, czy też nieświadomie przypisał mi tyle pięknych rzeczy i nakadził do syta? Ba, i 600 rubli przysłał! Będzie się miał czem Prot pożywić, aby te pieniądze do rąk dostał! Skurczybyki, urwigrosze! Poczekajcie-no wy wszyscy, i posiedziciele, i komitetowi, i jaśni panowie, i chudopacholy, już wam Chwalkiewicz nakadzi! Szelmy, jak Boga Kocham!—

myślał, — toż oni cały zamach stanu knują, A jakże! Projekty legną, zjeżdżają się, komitety tworzą i hajże! Poczekajcie, dam ja wam hajda na Soplicę! O! takie syny, niedoczekanie wasze!

Tu począł przechadzać się prędko pod lipką, jakby pragnąc roztratować wszystkich swoich niewidzialnych wrogów... Wymysły to były duszne, wewnętrzne, bo Grzela stał, a przy Grzeli nie wypadało jakoś piorunować...

Wreszcie wziął list i jął go po raz drugi odczytywać.

— Jakże? — zamruczał do siebie, bijąc ręką w arkusz — toż tu najwyraźniej na świętego mnie kreuje!... A, pyta jednak, czemu mu o tem nigdy nie wspominałem? Ja mu miałem wspominać! Co temu kościołowi brakuje?...

Staął tyłem do Grzeli i przez zaciśnięte zęby syczał:

— Ja wiem, co to znaczy... Ja wiem, czego on chce. Sprytna sztuka i wytrawny gracz, ale ja cię zmożę! Tobie panowania się chce, Procie, znaczenia, wpływów!... Ty chcesz być pierwszym, a ja mam cię słuchać?... Ty chcesz być znany, a ja mam cię bić, i w pas się kłaniać i w oczy patrzeć?... Niedoczekanie twoje! A za to bezprawie ja cię do biskupa pociągnę!

Jednak wspomniał, że list trzyma w ręce i że trzeba coś zrobić z tym chłopem, co stał. Wahał się, rozważał, nie wiedział, co czynić... Przegończyć precz i nie dać żadnej odpowiedzi?—stosunki na zawsze zerwane! Napisać, że o niczem nie wie i że to jest cudza sprawa?—śmiesznością się okryje i w dziwnym świetle przedstawi! Podziękować i milcząco potwierdzić słowa listu?—upadnie tem samym powód gniewu, zawziętości, oburzenia i tytuł do zadośćuczynienia... Bił się z myślami, nie wiedząc, coby mu uczynić wypadało. Tak źle i tak niedobrze! Już chciał odprawić Grzelę z niczem, dawszy mu na drogę parę: «idź do dyabła!» gdy nagle zdecydował się inaczej. Ruszył ku plebanii, zabierając uprzednio podejrzliwie leżące na ławce ogrodowej banknoty, i tam, zasiadłszy przy swym stoliku, wyszyftował list następującej treści:

«Szanowny Panie i Dobrodzieju!

List Sz. Pana wraz z sześciomaset (600) rublami asygnacyami w tej chwili odebrałem i za słowa zachęty, jak również hojny dla kościoła dar, najserdeczniej dziękuję. Projekt restauracyi świątyni podałem już dawno, nieledwie zaraz po objęciu tutejszego probostwa, lecz dla różnych powodów nie mogłem go dotąd w wykonanie wprowadzić.

Obecnie dopiero, dawszy odpowiednie w kwestyi rozpoczęcia pierwszych kroków instrukcyę księdzu wikaremu Protowi, który zdaje się być dość rozwiniętym człowiekiem, sam staram się o pozyskanie dla myśli mojej grona życzliwych osób, bez których materyalnego poparcia projekt upaśćby musiał. W tym celu organizuje komitet obywatelski, do którego najuprzejmiej mam honor zaprosić i Szanownego Pana Dobrodzieja.

Co zaś do niechętnych mi osób, wiem, że istnieją, ale ufam Bogu, że prędzej czy później szcera i uczciwa prawda zawsze na wierzch wyjdzie, pogrążając tem samem w upadku niskie oszczerstwa i szkalowania. Szczęśliwym czuć się będę, gdy całą moją nagrodą stanie się spełnienie najgorętszych mych życzeń: przebudowanie, odnowienie i przystrojenie w nową ku chwale bożej sukienkę kościoła załomunieckiego.

Korzystam ze sposobności, by załączyć wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania, z jakim pozostaje

*X. Felicyan Chwalkiewicz.*

*P. S.* Tymczasowo nic jeszcze konkretnego Panu Dobrodziejowi w tej sprawie nie melduję;

o dalszem jej rozwinięciu nie omieszkaam zawiadomić.

*F. C.*

Załomuńce.»

Włożył list w kopertę, poślinił, zapieczętował, ubił ręką i oddał Grzeli. Na jego niski pokłon odpowiedział kiwnięciem głowy i laskawem wyciągnięciem ręki do pocałunku. Poczem zadowolony wrócił do swych pokojów.

Grzeli jednak, który konia miał uwiązanego u kołu za sztachetami, nieskoro było jeszcze odjeżdżać. Zaczął zerkać tu i ówdzie, zaglądać ostrożnie, jak to mówią «niuchać» i przestępować z nogi na nogę. Na jego prostej, ale dość chytrej twarzy malowało się zakłopotanie. Już chciał pójść gdzieś w tył obejścia, gdy na drodze napotkał przechodzącego Józka.

— Słuchaj-no ty! a gdzie to wasz wikary?— zagadnął go, starając się jednak nadać swej fizyognomii najobojętniejszy w świecie wyraz.

— Ehe? — zagadnął Józiek, który ciekawie przypatrywać się począł dębowskiemu «masia-lerzowi.»

— Pytam cię, dudo, gdzie wasz ksiądz wikary?—powtórzył zniecierpliwiony trochę Grzela.

Ale Józkwowi oczy zaświeciły. Pod boki się wziął, parę kroków od Grzeli odstąpił, jakby mu

się chciał lepiej przypatrzeć, i przemówił gniewnie:

— A ja cię, marmulu, pytam, kiedy mi duda na chrzcie dali?

— A bies cię wie, jak cię zowią!—wybuchnął zły Grzela.—Cóżże to myślisz, że cię na łapach pod święconą nadstawiałem? Duda jesteś!

— A ja ci mówię, żeś ty marmul!—krzyknął rozdrażniony Józick — patrzcie go!... że już dębowski, to ludzi po świńsku wyzywa!

I byliby się może i pobili, gdyby nie był nadzedł Bartek. Ten zmierzał akurat do stajni. Stał poważnie między nimi, i wysłuchawszy ze skupieniem, co sobie obie strony do zarzucenia miały, podniósł palec do góry i uroczystą palnął oracyę:

— A ja wam mówię, co niema się o co sprzezczać! Zwyczajnie, w odwiedziny przybyndziały Grzela chciał jakowys delikatny kares rzeknąć tobie, zatracony Józku! a ty, taki psubrat, zaraz z pyskiem jedziesz! Żeby cię cholera!

Poczem, przestawszy na chwilę, jął kończyć:

— A ty mu takóż rzekłeś komplement... no, to wy się przywitały... Kłamstwo mówię? To się powieś! Wszystko jest więc w porządku... No, i bez co się ty, taki durny—mówił, tykając Józ-



ka palcem i zaglądając mu w oczy, — rzucasz? Eh, ty!

I jakoś ta argumentacja trafiła do przekonania Józka. Uspokoił się zupełnie, z nowym podziwem patrząc na dębowskiego «masialerza,» który tak delikatne komplimenta mówić umiał. Już chciał otworzyć gębę, by powiedzieć narzeczcie, gdzie ksiądz wikary się znajduje, gdy Grzela, który dojrzał przez sztachety idącego, choć w znacznem jeszcze od obejścia oddaleniu będącego księdza Prota, rzucił tylko zdziwionym Bartkowi i Józkowi: «bądźta chłopey zdrowi!» i, dosiadłszy konia, pocwałował w stronę wikarego.

Bartek zaś, który, również jak Józiek, nie spostrzegł księdza Prota, odezwał się do Józka z przekonaniem:

— Widzisz, psi synu, rozgniewałeś masialerza! Nie chciał gadać i tylo... Oj ty, oj ty, bencwale!

Józiek zaś, któremu się jakoś nijako na duszy zrobiło, odparł tylko:

— Ano, może być!

Poczem rozeszli się do swych zajęć.

Grzela zaś, zrównawszy się z księdzem Protem, szybko zeskokczył z konia, i zdejmując czapkę, wręczył jakiś mały liścik, wyjęty w tej chwili z zanadrza.

Prot, który nie poznał na razie masztalerza z owego rannego spotkania, zdziwiony cokolwiek spytał:

— A od kogo to, przyjacielu?

— Od jasnej panienki z Dębowa—odpowiedział Grzela, schylając się po raz drugi.

Wtedy ksiądz Prot poczerwieniał nagle na twarzy, a potem zbladł ogromnie, jak człowiek na gorącym uczynku schwytyany. Drżącą ręką wziął za list, jakby wahając się, czy go przyjąć, czy też nie. Oczy jego wpatrzyły się w drobne, spiczaste, równe litery kobiecego pisma, nozdrza wyczuwały z odległości woń perfum, która biła z koperty... Tak stał jedno mgnienie. Wreszcie schował powoli list do szerokiej kieszeni su-tanny i głosem sztywnym, nierównym i lekko drżącym rzekł:

— Dobrze.

Grzela raz jeszcze pokłonił się księdzu wikaremu, i pocałowawszy wążką jego rękę, lekko skoczył na siodło i ruszył z kopyta.

Wkrótce obłok kurzu po nim tylko pozostał.

---

## IX.

**A** list był taki:

«Łaskawy Księżu Wikary! Wczoraj był u nas ksiądz Chociemski z Skolomowa, dawny mój nauczyciel religii, i oświadczył, że Pan zajmujesz się kwestyą restauracyi kościoła załomunieckiego. Ponieważ papo pragnąłby wiedzieć o tem cokolwiek dokładniej, przeto w imieniu i z polecenia ojca, chwilowo nieobecnego, uprzejmie zapraszam Go na jutro wieczorem do Dębowa.

*Janina Skomorowska.*

Odczytał go ksiądz Prot w domu, dokąd wkrótce doszedł. Z arkusika była wciąż woń delikatna, zmysłowa, — porzucony, leżał na stole przy księgach poważnych i surowych, — może zdziwiony z takiego sąsiedztwa... Prot patrzył machinalnie na ten skrawek papieru, zapisany ręką dziewczyny, i dumał...

W myśli stanęło mu pierwsze jego z nią poznanie; widział grymas pogardy na ustach, cierpkość i lekceważenie w spojrzeniu, potem jej odjazd, a potem jeszcze spotkanie na drodze, rozkaz rzucony Francuzce, niepojętą zmianę i dziwną rozmowę wspomnień, jej szyderstwo i wyzwanie... Widział siebie uniesionego, rozdrażnionego i impertynenckiego a rozboląlego, swoje przeprosiny i prawie bezwiedny uścisk ręki... I wtedy przychodziły do niego jej krótkie, ciche słowa, rzucone pewnie bez namysłu, bez rozważenia ich treści, te słowa dziwne, nielogiczne, bezsensowe, słowa świadomej komedyantki, albo rozdziwaczonogo, kapryśnego dziecka...

— Po co, po co mówiła? — pytał w duszy sam siebie, daremnie starając się wyjaśnić zagadkę. I nagle chwycił siebie nad tem upokarzającym, śmiesznem, głupiem pytaniem,—samotny, rumienił się po białka, falą krwi zalewając się ze wstydu.

I nawet sprawa kościoła i zajęcia z tego powodu, nawet wstrząśnienie moralne, doznane u Chwalkiewicza, nie zagłuszyły w nim tych refleksyi, przychodzących z nienacka a stale przy najlżejszem bodaj wspomnieniu, i na których powstawaniu w mózgu łapał się sam, jak na wsty-

dzie, złym uczynku, niepowinności, jak na czemś, co jest śmiesznem, głupiem, niegodnem...

I wtedy oczy jego znowu wpatrywały się w stronicę ksiąg i usiłowały je odczytywać. Często jednak przewracając kartkę, zapominał, jakic było zakończenie poprzedniej, przewracał ją na nowo kilka razy i odnajdywał pytanie:

— Po co?

Wtedy i gniew, i wstyd i upokorzenie wzbierały w nim nad miarę. Pochylał głowę i surowy zagłębiał się na nowo, albo oddawał zajęciu obowiązkowemu. Gdy zaś kto patrzył na niego, drżący stroił twarz w nieruchomą powagę i udawał spokój. W duszy zaś nieraz przelatywało jak błyskawica:

— Po co?

Przytem, jak żywa, stała przed nim często bardzo. I działa się rzecz dziwna: on, który żadnej kobiecie nie poświęcił nigdy dłuższej chwili uwagi, o tej zaczął myśleć z pewnym niepokojem i drżeniem, jak o czemś, co nas już zajmuje i interesuje, albo zajmować i interesować zaczyna. Pierwszą niewątpliwą pobudką była pewna, choć hamowana, ciekawość, a następne same się już rodziły... Oryginalność i śmiałość tej kobiety, dziewczęcia niemal, dziwiły go i zastanawiały,— widział w niej jakąś moc siły i temperament bu-

rzliwy—i pociągnęła go bezwiednie. Na jego zmysły (pomimo że podporządkowywał je zawsze głosowi rozumu i sumienia, spragnione jednak instynktowo w długiej i głuchej pustce, jaką on sam sobie, a i świat jemu stworzył, wrażeń łagodniejszych, miększych i wytwornie estetycznych) nie mogła silnie nie oddziałać prawdziwie świeża piękność Niuty, szlachetna w swym zawrotnym i oszalamiającym uroku piękność młodej, przed chwilą może dojrzałej kobiety, taka piękność, która moc swą najpotężniejszą czerpie w wiecznie wszechwładnym czarze żywiołowej siły nietkniętej dziewiczości...

Przed tym czarem korzą się natury męskie i najdumniejsi pochylają głowy, a jeśli ładna kobieta tę lilij-dziewiczość posiada, to bije ona od niej jak haszysz i jak haszysz upaja, budząc cześć podziwu i zachwyt uwielbienia dla tego marmurowego a gorejącego piękna niesplamionego...

Czyż oparł się kiedy tej potędze najsceptyczniejszy, najzimniejszy, najwięcej filozoficzny umysł, jeżeli tylko był normalnym, jeżeli nie był chorym lub zwyrodniałym? Kto się oparł urokowi pięknej kobiety, choćby tylko jako ideałowi piękna, w granicach czysto platonicznych zachwytów podziwianemu?

Wziął on w zdradliwe swe sieci i księdza Prota i zaczął motać z początku niewidzialnie, niedostrzeżenie, lekko, nieznacznie, aż póki sieci się plątać i ścieśniać nie poczęły. Nieświadome, bezwiedne poddanie się wywoływało coraz silniejsze do tego poddania ciężenie. Wrażenie, raz odebrane, poczęło rość, rozwijać się i nowego bodźca instynktownie szukać. Piękna kobieta, z wolą czy bez woli działająca na zmysły, podniecała obrazem swoim te zmysły... Jakieś ukryte ale niezgasłe ogniki zaczęły wybuchać i, rozżarzając się, palić... To, co wielu zdaje się niemożliwym, jednym wysiłkiem woli do ukrócenia i skruszenia łatwym, co, choć powstaje nagle, błyskawicznie, wstrząsająco — jak wąż jednak oplata serce, duszę i wszystkie tkanki mózgu,—to budziło się teraz w Procie silne, szyderskie i zwycięskie, by dać świadectwo prawdzie, że ono jest wiecznym ogniem, palonym na naszych ołtarzach, wieczną siłą, kruszącą i wierzącego, i niedowiarka, i szydercę, i tego, co z dumnym wyzwaniem spoglądał mu dotąd w oczy, pewny wygranej, pyszny z swej mocy i hartu, — wiecznym hymnem, śpiewanym przez przyrodę!

A dziewczę, dwa razy tylko widziane, poczęło coraz częściej zjawiać się żywe siłą wyobraźni

w cichym pokoiku ascety-pustelnika, przywoływane głosem zmysłów jego. Stała, jak ją widział, pyszna, bujna, lubieżna, opromieniona zwojem złotych włosów... Rączki małe wyciągała ku niemu, stopkami ledwie ziemi dotykała, pierś jej falowała wzburzeniem... A z tego ciepła, co od niej biło, i z tego żaru i ognia, co od niej szły, zapalała się jego wyobraźnia i wybuchał płomień... Liliowe oczy swoje wpatrywała w niego i zda się, że chciała coś szeptać... Cudna, cudna, cudna!... I jedna tylko, dumna królowa, jedna!... Wszak powiedziała: «naumyślnie tu przyjechałam...» Więc i ona? I ona też!...

Wzdrygnął się młody kapłan. Dzwon na kościele zadzwieczał, oznajmiając południe. Otworzył zamknięte oczy i wyrwał głowę z rąk, którymi skronie obejmował... Groza zamigotała w spojrzeniu, jakie oprzytomniawszy, rzucił nakoło. Siedział nad księgą, którą były listy św. Pawła z Tarsu. Studyował je już dawno pilnie, chcąc pisać w tym przedmiocie do jednego z pism kościelnych... Czytał właśnie jeden z listów do Rzymian, w którym wielki filozof i apostoł nawołuje do opamiętania, do drogi cnoty i prawości, do zwalczania złych myśli i pożądań, obiecując wzamian wieczną szczęśliwość w Chrystusie... I oto on, kapłan, sługa Chrystusowy, nad



ustępem tym utonął w brudnych i niskich myślach!...

— Gorze mi! — szepnął ksiądz Prot—co się ze mną dzieje?

Lecz sztywne mury pokoju nawet echem mu nie odpowiedziały...

. . . . .

Tego samego dnia jeszcze ksiądz Prot, nie chcąc brać od Chwałkiewicza parobka, wysłał Antosia—sierotę, trzynastoletniego chłopca, który mu usługiwał i pokoików doglądał, z dwoma listami. W jednym, adresowanym do pana Skomorowskiego, donosił, że dziękuje za zaproszenie, ale obowiązki nie pozwalają mu oddalić się o tej porze z domu i niezadługo, możliwie jak najrychlej, pośpieszy zawiadomić go o szczegółach listownie. Drugi posłał do pana Dobrozackiego do Klonowic, gdzie, wspomniawszy o potrzebie zjechania się dla dalszej narady, naznaczył mu *rendez-vous* na jutro, na godzinę czwartą po południu w Skolomowie.

Antosiewi polecono pośpiech, gdyż wyprawa jego odbywała się *per pedes apostolorum*. W Dębowie miał list wręczyć do rąk samego dziedzica, pilnie zważając, by nie oddać komu innemu. W Klonowicach zaś miano mu dać odpowiedź.

Jakoż udał się czemprędzej do Klonowic, bo te były bliżej. Trafił na drzemkę pana Dobrozackiego, który z początku nie chciał słuchać o posłańcu i liście, gdyż, rozespany, pragnął drzemkę jeszcze przedłużyć. Dopiero gdy służący powiedział mu, że to chłopak od księdza Prota z Załomuńców, rozpogodził twarz i przeczytał list, na który dał zaraz odpowiedź. Zgadzał się na przyjazd do Skolomowa i obiecywał stawić się punktualnie.

Z Klonowic, z odpowiedzią za pazuchą, polecił Antek do Dębowa. Że jednak nie chciał drogi przez obchodzenie gościńcem nakładać, począł iść na przełaj polami, ścieżkami między zbożem. Nie upłynęły dwie godziny, gdy był już na topolowej dębowskiej drodze. Doszedłszy do bramy, chciał wejść, ale się zawahał: tuż za nią spostrzegł dwa brytany o złowrogim spojrzeniu, jak najeżywszy sierść, wyszczerzyły do niego zęby. Mróz a potem gorąco przebiegły mu po kościach i postanowił wobec silniejszego nieprzyjaciela kapitulować. Obszedł więc cały dziedziniec naokoło i doszedł do parkanu sztachetowego, okalającego ogromny ogród. Tam, niewiele myśląc, dał susa jednego, drugiego i wkrótce znalazł się w zaroślach, przytykających wszędy do parkanu. Zadanie było teraz

nietrudnem: nie łatwiejszego, jak wyleźć z krzaków i chyłkiem naokół z powrotem cofnąć się do pałacu. A tutaj już brytanów ani śladu...

Aliści niedanem mu było dojść spokojnie do miejsca przeznaczenia. Niedalej jak na trzecim zakręcie, gdy wypadł na dużą ocienioną aleję, olśniony na chwilę przeblyskującym poprzez drzewa promieniem słońca, nie spostrzegł, jak coś żółtego, jasnego, szybko się poruszającego, poczęło toczyć się gwałtownie ku niemu i dopiero głośne szczekanie tego czegoś, będącego ładnym rasowym ponterem, zwróciło na siebie jego uwagę i zmusiło, wraz z mimowolnem przystaniem, do wydania okrzyku:

— Aj, ojej!...

Na ten krzyk w tej chwili ozwało się z niedalekiej ławki stanowcze, dźwięczne kobiece wołanie:

— Nero, chodź tu! Neero!

Pies, acz z żalem, pobiegł z powrotem. Wtedy Antek, niewytrzeźwiony jeszcze dobrze ze strachu, spojrział lękliwie w tę stronę i zobaczył jakąś wielmożną, czy też jasną pannę, siedzącą na ławce ogrodowej, z książką na kolanach. Panna, ubrana w białą, bielusińką sukienkę, z kwiatami we włosach, wydała się Antkowi cudną, podobną do Matki Boskiej, której wizerunek oglą-

dał w kościele. Zapatrzył się w swoją wybawczynię z zachwytem. Lecz panna, zdziwiona widocznie pojawieniem się takiego gościa w parku, dała mu znak ręką, by podszedł. Nieufnie spoglądając na Nera, zbliżył się Antek, nisko czapki uchyliwszy.

Wtedy zaczęła się indagacya:

— A skąd to ty, mój chłopcze, się tu wzięłeś?

Antek nie śmiał nic odrzec; dusił tylko w rękach czapkę.

— No?—zapytała zachęcająco panna.

— Ja, ja... jestem z... Załomuńców.

Panna aż podskoczyła na te słowa, jakby ją kto uklął.

Pohamowała się jednak wprędce. Pytała dalej:

— I cóż ty tu robisz?

— Ja, ja... mam list od księdza wikarego...

Tu spostrzegł się biedny Antek, że niepotrzebnie się wygadał, skoro miał samemu dzieżicowi list do rąk oddać.

Panna tym razem się nie powściągnęła:

— List!—wykrzyknęła — od księdza Prota? Daj-no!

— Kkiedy, kkiedy ja... mam tylko panu dzieżicowi oddać...

Panna brwi zmarszczyła.

— Daj!—wykrzyknęła stanowczo—daj!

Przestraszony i skonfundowany Antek list machinalnie wyjął i oddał.

Panna rozerwała kopertę i rzuciła wzrokiem na pismo. Pod listem było podpisane: ksiądz Prot. Po przeczytaniu na twarzy jej nie odmalowało się zdziwienie, ni oburzenie, ni szyderstwo, lecz żal...

Sięgnęła do portmonetki, i wyjąwszy z niej garść srebra, rzuciła zdumionemu Antkowi:

— Oddałeś dziedzicze, ale możesz powiedzieć, żeś oddał dziedzicowi...

Pokłonił jej się do nóg, i zerknąwszy jeszcze raz podejrzliwie na wyżła, szybkim krokiem puścił się w powrotną drogę przez krzaki.

Nero tylko warczał. Wojenny jego animusz wobec surowego ruchu ręki panny, nie znalazł, ku szczęściu Antkowych łydek, ujścia.

## X.

Na drugi dzień, w parę godzin po południu, zażądał ksiądz Prot przez Antosia od Chwalkiewicza bryczki do Skolomowa. Chwalkiewicz nie czynił żadnych trudności i wkrótce przed plebanię zajechał wyszykowany w nowy spencer, z włosami łojem na sztywno usmarowanymi i w wyczernionych «na szychht» jałowicznych butach Bartek. Ksiądz proboszcz śledził przez okno odjazd swego wikarego i uśmiechnął się lekceważąco.

— Jedź, jedź!—myślał — załatwiał, uradzał wielki człowieku; ale ja cię nauczę, jakbyś był powinien do rzeczy się wziąć!...

Wkrótce bryczka wytoczyła się na wiejską drogę i znikła z oczów proboszcza. Wtedy ten zaklaskał w dłonie i, gdy zjawiła się Falenka, przemówił:

— Faleńsiu, proszę posłać po Józka, ale żeby w tej chwili przychodził...

A gdy Faleńcka objawiła, że zaraz, tylko jeszcze to ustawi, wtedy Chwalkiewicz grzecznie ale stanowczo powtórzył:

— Faleńsiu, proszę natychmiast, bo mi pilno... No, Faleńsiu!

Ruszyła się Faleńsia i w parę minut trochę wystraszony przybył Józiek.

— Józiek, gdzie Bartek?—zapytał ksiądz proboszcz.

— Adyć pojechał z wielmożnym wikarym!—odpowiedział zdziwiony tem pytaniem Józiek.

— A siwa i kary gdzie?

— Adyć też poszły z wikarym!...

— A bryczka?

— Rety! Jegomość sam mówił, coby dać!...

— No, więc już nie niema?...

— A nima!—odpowiedział Józiek.

— Ty błażnie!—namarszczył się proboszcz — a kasztanek i podpalana kobyła, co po źrebieciu? A bryka po Ożarowskim? To już nie niema? Ty stangrecie zapowietrzony, ty fernalu malowany! Krowy tobie, albo zgoła świnię pasać, nie przy koniach być! Pierze ci skubać, albo w garnku z Magdą pitrasić, skureczybyku!

To ty tak wiesz o wszystkim? Wydałeś się, kwiatku, niema co! Ruszaj i zaprzęgaj do ożarowskiej kasztana i pożrebną, a małego w stajni zostawisz!... Żywo!

Józiek ruszył co duchu, ale był zły.

— Dyabeł wiedział tego pękatego, że budę po Ożarowskim, landarę, brykę na cztery, nie na dwa konie jeszcze używać mu się widzi!... Albo czort go odgadł, że kasztana i podpalaną do zaprzęgu przykaże (kasztan był stary, nie chciał ciągnąć i mieli go właśnie sprzedawać, a kobyła niedawno po źrebięciu i słaba i nijako było jej jeszcze używać)... A to się rychtyk gdzieś wybiera, kiej zaprzęgać każe... Tamten pojechał, ten jedzie... jujuju!... i gospodyni pewnikiem śmirgnie gdzie, ino się Chwalczyisko ruszy, a ja muszę z nim tarmosić w te zdechlaki... jujuju!... — ze złością w duszy myślał Józiek.

Ksiądz Prot dojeżdżał tymczasem do pół drogi do Skolomowa. Bartek poganiał dobrze, konie szły szparko. W powietrzu, choć suchem, była rzeźkość. Na wybojach bryczka podskakiwała, chwycając się na obie strony. Bliżej jednak miasteczka droga była już piaszczysta, więc równiejsza. Nie upłynęło godziny od wyruszenia z Zalomuńców, gdy wjeżdżali już do Skolomowa...



Na samym zakręcie ku rynkowi wpadli na jakąś bryczkę. Była to najtyczanka pana Dobrozackiego z Klonowic, który obejrzawszy się na nadjeżdżające konie, ujrzał, że to jechał ksiądz Prot. Kazał więc furmanowi swemu powstrzymać trochę stępa i, kłaniając się Protowi, począł głośno wołać:

— *Salve, salve, salve!*

Ksiądz Prot grzecznie odklonił się, i zrównawszy się po chwili z Dobrozackim, wyciągnął z bryczki ku niemu rękę.

— No, to w porę się spotykamy—przemówił ten ostatni:—jesteśmy obaj ludźmi punktualnymi, aż miło! Gdzież, dobrodzieju, zajężdżamy?

Ksiądz Prot począł się trochę namyślać. Nagle zaturkotało i z przeciwnej strony wpadła na nich nowa bryka. Siedząca na niej postać przy-mrużyła oczy, wpatrując się, z przyczyny krótkowidztwa zapewne, z natężeniem w nadjeżdżających. Wreszcie wykrzyknęła:

— *Servus, servus, domine* Dobrozacki! A to los mi cię nasyła, bom jechał akurat do ciebie! Aaa!... ksiądz Prot! co widzę? ba, oto mile spotkanie! Jak się kolega ma? — dodał, uchylając kapelusza — no, nie bez tego, że obaj pojedziecie do mnie! Zabieram asiudziejów w nie-

wolę. Hej, Wojtek, zawracaj! Jedziemy z temi oto bryczkami razem!

Był to ksiądz Chociemski, który jechał do Klonowic.

— Dobrodzieja najszanowniejszego! ba, z całego serca!—zaczął Dobrozacki.—Oto, księżu Procie, i kwestya załatwiona! Wetuję sobie innym razem!—wołał— a teraz zajężdżamy z księdzem wikarym na probostwo skolomowskie.

— O to idzie!—odparł Chociemski.—Nie wywinęlibyście się, dobrodzieje... A tom rad, żeśmy się nie rozminęli! .. Ruszajmy!

Furman proboszczowy zawrócił i wszystkie trzy bryczki ruszyły zgodnym trucheikiem ku probostwu. Niezadługo siedzieli już obaj w widnym pokoju bawialnym Chociemskiego, podejmowani przez gospodarza przekąską.

— Niechaj wolno mi będzie—przemówił po pewnej chwili Chociemski — tu, w mieszkaniu mojem, wyrazić ubolewanie nad postępkiem Chwalkiewicza i podziękować ci, księżu wikary, za twój spokój...

Na te słowa Dobrozackiemu zabłysły oczy, jak u kota, którego ktoś podrażni. Z zawziętością wybuchnął:

— Podła sztuka!

Ksiądz Prot milczał. Wreszcie się odezwaj:

— Nie, panie Dobrozacki. Nie święty on i lepiej mu było księdzem nie zostawać, ale więcej w nim ograniczenia i płytkości umysłu, niżeli podłości...

Chociemski wzniósł oczy do góry i z komi-cznem westchnieniem wyrzekł:

— Któż z nas bez winy?

Chociemski był dobrym człowiekiem, ale słabym, i tylko dlatego siedział często na dwóch stołkach. Czasami jednak w uczciwym jego charakterze rodziła się nieugiętość i moc nadzwyczajna; wtedy bronił zażarcie zasad, albo osób, jak to było wówczas u Chwalkiewicza... Lubił jednak przebaczać, bo tak mu i religia i dobre serce nakazywały...

Przeto zaczęły się debaty między Dobrozackim i Chociemskim, a każdy mówił inaczej. Dobrozacki, któremu już ktoś doniósł o zajściu w Załomuńcach, potępiał Chwalkiewicza bezwzględnie; Chociemski, ośmielony przebaczeniem i teraźniejszymi słowami Prota, nie bronił, bo sam taki postępek nazwałby oburzającym, lecz przywodził okoliczności łagodzące... Właściciel Klonowie nie dał się jednak przekonać i obstawał przy swoim.

Ta rozmowa doprowadziła ich do kwestyi restauracyi kościoła i, co zatem idzie, do jej roztrzą-

sania. Wtedy milezący podczas całej poprzedniej dyskusyi ksiądz Prot zabrał również głos.

Ożywił się i rozruszał. To go interesowało i zajmowało, dla tego wreszcie do Skolomowa przyjechał. Począł mówić:

— Najważniejsze stało się: projekt zaczyna się w czyn przyoblekać i ludzie o nim się dowiedzieli. Jak na początek, to i to dobre. Sumy już nawet, choć nieznaczne, przecież już posiadamy. Pan Dobrozacki dał trzysta rubli, pan Wąsowski pięćdziesiąt, pan Dobrucki piętnaście, pan Zaliwiński trzydzieści pięć, ksiądz proboszcz Chociemski sześćdziesiąt, pani Malinowska dwadzieścia, pan Horodyski sto, burmistrz pięćdziesiąt, kilku mieszczan z Skolomowa razem piętnaście rubli... dotąd to wszystko...

— Sześćset czterdzieści pięć rubli, — rzekł Chociemski, który liczył poszczególne pozycye.

— Nic to, aleć początek każdy trudny—odezwał się Dobrozacki.

— Właśnie, gdy zorganizuje się komitet, powinno dopiero pójść równo i dobrze... Okolica duża, wsie zamożne, pełno dzierżawców i mniejszych posiadzieli, a ci zwykle najchętniejsi bywają—przemówił Prot.

— Nie bez tego, żeby i bogatsi nie dali czegoś... Taki na przykład Skomorowski—wtrącił Chociemski.

— Na pewno — odpowiedział Dobrozacki. — Skomorowski da, bo dać wypada; zresztą on jest kolatorem załomunieckim... Dziwię się, że dotychczas nie otrzymaliśmy choć słówka zapewnienia... Nie mógł się obrażać, że go do komitetu nie zaproszono, bo komitetu jeszcze niema.

— Rzecz prosta!—dorzucił ksiądz Prot.

O liście Skomorowskiego do Chwalkiewicza i sześciuset nadesłanych rublach nie wiedzieli; Chwalkiewicz im o tem nie doniósł.

— A więc, księżo wikary, teraz debatujmy nad komitetem—odezwał się po pewnej chwili Dobrozacki.—Nasze dotychczasowe doryweze, wypadkowe, że się tak wyrażę, sumki, które ściągnęliśmy od różnych osób i osóbek, powinny od chwili możliwie najprędszej stać się fundamentem składek ciągłych, regularnych i stale płynących... Proponuję przeto, żeby rozpisać zaproszenia do poszczególnych osób, i to gremium dopiero, jako ukonstytuowane z inicjatywy prywatnej, wniesie podanie do władz, przejmie od nas zebraną dotąd sumę, poświadczy, ogłosi odezwy, postara się o wzmianki w gazetach, gdyż może ktokolwiek z innych okolic kraju ze-

chce się równie przyłożyć pewną kwotą, no i znacznie swoją działalność...

Ksiądz Prot słuchał tego zamyślony. Wreszcie powstał, i spojrzawszy na obecnych, począł mówić ostro i dobitnie:

— Masz pan najzupelniejszą rację. Najpilniejszą potrzebą jest rozpisanie zaproszeń. Ale tego się nie może podjąć ani pan, ani ja, ani ksiądz Chociemski nawet...

Dobrozacki patrzył zdziwiony na niego, nie rozumując, dlaczegoby właśnie to było niemożliwym.

Ksiądz Prot ciągnął:

— I nawet myśleć o tem nie można. Oficjalna inicjatywa i oficjalne przodownictwo w zapoczątkowaniu tego dzieła musi przypaść Chwalkiewiczowi w udziale...

— Jako żywo, nie może być! — zakrzyknął Dobrozacki, zrywając się z krzesła.

— On jest proboszczem w Załomuńcach — nie zważając na ten wykrzyknik, mówił Prot; — któż, jak nie on, takie rzeczy inicjować powinien?

— Niestety! — rzucił wzgardliwie Dobrozacki.

— A przeto i na niego są oczy zwrócone. Gdzie, panowie, podejmują przebudowę świątyni bez naczelnictwa nad tem dziełem proboszcza?

— W Załomuńcach!—odpowiedział tym samym tonem Dobrozacki.

— Starajmyż się przeto, by stało się inaczej—zakończył surowo i poważnie ksiądz Prot.

Zapanowała chwilowa cisza, nie przerywana przez żadnego z nich. Dobrozacki, z rękoma w kieszeniach, przechadzał się nerwowo. Rude włosy zwisły mu na czoło, zielone oczy spoglądały raz po raz na Prota, cała sucha i długa figura starego, pod pięćdziesiątkę kawalera trzęsła się i rzucała...

Chociemski siedział spokojny i tylko poglądał ze zdziwieniem na Prota. Ten zaś oparł się o framugę okna i zdawał się nad czemś dumać...

Wreszcie Dobrozacki wykrzyknął:

— No, boć to przecie nie Chwałkiewiczowi chciało się restauracyi, ani on się tem zakłopotał?

I począł patrzeć świdrująco na Prota.

— Nie jego to obchodziło—powtórzył z tym samym uporem, — nie jemu chciało się ruszyć obowiązkiem i sumieniem?...

— Nie jemu—odparł spokojnie Prot.

— No więc?—zapytał zdziwiony Dobrozacki.

— Więc nie—rzekł jak poprzednio Prot. — Ale musi, choćby *ex officio*, musi, to darmo!

— A ksiądz?—zapytał z natarczywością Dobrozacki.

— Ja... nie! Staram się, żeby to do skutku doszło.

— Niech pierwszeństwo należy do tego, kto prawdziwie myśl tę poruszył i do wykonania przygotował!

Wtedy Prot począł patrzeć na niego przeciągle i rzekł:

— Mowa o...

— Mowa o księdzu!—wykrzyknął ze szczerością Dobrozacki.

Ale ksiądz Prot odstąpił od niego i począł mówić szybko:

— Słuchaj, panie Dobrozacki... Jeżeli już naprawdę ocenileś pocziwie moje zabiegi o serdeczną myśl, tedy dziękuję ci stokrotnie... dziękuję ci, bo to najlepsza dla mnie nagroda... Mnie więcej nie potrzeba, bez udanej skromności ci to mówię... A jeżeli chcesz, by coś z tego było, to błagam cię, daj się przekonać i w tej chwili jeszcze napisz do Chwalkiewicza, żeby jako inicjator tej myśli organizował pod swem zwierzchnictwem komitet, i pieniądze mu oddaj...

Poczem jał mówić jeszcze prędzej, jeszcze szybciej:

— Ja z Chwalkiewiczem nie brat, nie swat... On mnie nie chciał zrozumieć nigdy, a ja na



niejedno patrzeć nie mogłem. Ale mu oddaj co-  
przedzej... Ja mu tysiąc razy mówiłem, nawet  
prosiłem, nie chciał jednak rozumieć, że kościół  
niszczeje. Przeto początek tylko konieczny da-  
łem, choć i bez jego wiedzy, aby mu w czyn  
obleczone oddać... On się uchwyci gotowego  
i prezesem będzie, a mnie nie o to szło i nie o to  
idzie. Ja będę przychodził do kościoła zaglądać,  
jak praca rośnie i rozwija się, jak Zebrzydowskie-  
go chluba pięknieje i umacnia się, jak boży do-  
mek się odnawia... Mnie o to idzie, mnie to dość,  
mnie to nagroda, jak ci się na Pana mego zakli-  
nam! A jemu to oddajcie, oddajcie wszystko,  
jemu równie będzie dość. On myślał, że ja pod  
nim dolki kopię, że ja na niego intrygi knuję...  
Niech myśli, a ty to zrób, panie Dobrozacki!

Prot był wzburzony i wzruszony. Umilkł,  
a jeszcze zdawało się obecnym, że słyszą głos  
jego metalowy, dźwięczący podnieceniem... Do-  
brozacki stał i milczał. Chociemski spokojnym  
swym, trochę wystraszonem wzrokiem spoglądał  
na Prota.

Lecz nagle pod oknami zaturkotało coś du-  
dniąco. Chociemski wyjrzał machinalnie przez  
szybę i ujrzał wolnym truchcikiem, na staro-  
świeckiej bryce jakiejś taszczącego się w stronę  
burmistrzowego domu Chwałkiewicza. Furmau

poganiał zbiedowane szkapska, pokrzykując; twarz proboszcza jednak zdradzała jakieś zadowolone i pewność siebie, udekorowane wiele znaczącym uśmiechem. Jechał widocznie «piec» jakąś tęgą, dobrą sprawę w swym interesie.

Nareszcie zdziwiony Chociemski wykrzyknął:

— Chwalkiewicz!

Na dźwięk ten drgnął i zadziwił się wielce ksiądz Prot, a Dobrozacki wyrzwał szybko przez okno i zakrzyknął:

— Prawda jest!

Lecz nagle, zda się rażony jakąś myślą, chwycił czapkę ze stolika i wybiegł szybko na ulicę, jakby nie prawie pięćdziesiąt, ale lat dwadzieścia liczył.

Nie potrzebował długo doganiać załomunieczkiego proboszcza, bo bryka, gdyby żydowska, ciężka i masywna, ledwie się wlekła. Zaszedłszy koniom od przodu, dał znak Józkowi ręką i jednocześnie wykrzyknął:

— Zawracaj!

Wtedy z za pleców furmana wyrzwał ksiądz proboszcz, który nie spostrzegł z razu pana z Kłownowie, a ujrawszy go, zaniemówił na chwilę zdziwiony. Wreszcie opamiętawszy się, zrobił bardzo przyjemną minę, i uchylając kapelusza, przemówił:

— Aaaa!...

— Najniższe uszanowanie! — zawołał ironicznie Dobrozacki, zdejmując uniżenie czapkę — proszę dobrodzieja za mną. Pójdziemy do księdza Chociemskiego, gdzie jest i ksiądz Prot... Bardzo wesola kompania i zabawna!...

— Ależ co! ja nie mogę, mam interes — zaczął bąkać zgorzony i zdumiony tą dziką propozycją Chwalkiewicz.

— Bardzo proboszczunia proszę—rzekł tak grzecznie i tak stanowczo pan Dobrozacki, że ksiądz proboszcz już wolał nie nie mówić i tylko zgapiąlemu Józkowi rzucił przez zęby świszcząc:

— Zajeżdżaj pod plebanie!

Po chwili wszedł razem z Dobrozackim do bawialni nie mniej od niego skonfudowanego Chociemskiego.

Położenie Chwalkiewicza było niemiłym. To też ograniczył się, ujrawszy Prota i gospodarza, na szerokiemi: «aaa, moje uszanowanie!» i usiadł wyczekująco na fotelu.

Lecz wyjaśnienie było niedługiem. Dobrozacki, który rzucił czapkę z powrotem na stół, podszedł kilka kroków do niego, i wyjmując portfel, zaczął:

— Wiedząc o pełnej gorliwości i dbałości starannej opiece księdza proboszcza nad powierzonym sobie domem bożym i o jego inicjatywie co do złożenia komitetu obywatelskiego w sprawie zbierania składek i wystarania się na to u władzy pozwolenia, wobec świadków składam mu za to wyrazy podziękowania i uznania, wierząc, że dzieło, zrodzone i przeprowadzone przez taką jak księdza proboszcza głowę, musi uwieńczyć jak najlepszy i najpomyślniejszy skutek: piękny, rozszerzony i odnowiony kościół załomuniecki. Spodziewam się, że ksiądz dobrodziej raczył już rozpisać zaproszenia do komitetu; chcąc zaś wedle sił moich pomódz w tej sprawie, zebrałem z pomocą paru osób prywatnie na ten cel sumę sześciuset czterdziestu pięciu rubli według tego oto wykazu, i wręczając ją najuprzejmiej proszę o pokwitowanie spisu, który oby był jak najdłuższym!

Skończywszy tę tyradę, w której drwiny mieszały się z robioną powagą, wyjął z pugilaresu notatkę z ofiarami i paczkę banknotów, i odliczywszy wymienioną sumę, oddał Chwałkiewiczowi.

Ten siedział z początku oszołomiony, nie rozumiejąc, co się stało z Dobrozackim, którego miał za współnika Prota. Lecz już pod

koniec tej mowy twarz mu się rozjaśniała. — «Złękli się mnie, tacy synowie! — pomyślał — nie chcieli z Chwalkiewiczem zaczynać! Jabym im dał i pokazał! Już jechałem do burmistrza po smakołyki dla nich!» — Chętnie bardzo podpisał kwit, i zgarniając pieniądze do kieszeni, wyciągnął rękę do Dobrozackiego, chcąc mu łaskawie podziękować i palnąć parę słów na temat swego projektu i energicznych kroków, które w sprawie zwołania komitetu poczyni.

Ale Dobrozacki nie spostrzegł jakoś tego ruchu, bo nieznacznie wsunął swe ręce do kieszeni od spodni... Ksiądz Chwalkiewicz ograniczył się więc tylko na jakichś paru niewyraźnych słowach, poczem powiódł tryumfalnym wzrokiem dokoła. Chociemski począł się kiwać i kiwać, Prot stał milczący i poważny. Spojrzał więc na niego szyderczo, drwiąco i lekceważącym, wzgardliwym wejrzeniem, rzuconem mu niedbale, — takim, jakie się rzuca marnemu, mizernemu przeciwnikowi, cisnął mu w twarz:

— Zmiażdżyłem cię, prochu!

---

## XI.

• Nad wieczorem już wyjechał ksiądz Prot z Skolomowa. Dwie wiorsty jechali razem z Dobrozackim, rozmawiając o wypadkach tego dnia. Dobrozacki, gwałtowny z natury, złorzeczył na czem świat stoi Chwalkiewiczowi, który został jeszcze u kogoś ze znajomych w Skolomowie; Prot nie mógł się odchwalić majsterstwa, z jakim Dobrozacki wmówił w Chwalkiewicza to, co się temu ani śniło...

— Nic to — odpowiedział Dobrozacki, — uczyniłem to tylko na żądanie księdza wikarego, ale mnie język aż świerzbiał i palił, żeby mu słowa prawdy powiedzieć... Uuu! cóż to za bestya bezduszna a zarozumiała! Warto brać od niego lekcyę bezczelności!

Ksiądz Prot nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Długo kurczył usta, wreszcie roześmiał się wesolo.

— Ale wie pan—mówił, śmiejąc się, — że to było i komiczne, szczególnie... gdy człowiek o tem rozmyśla... Dobrze odegrał komedye!

— A no—odrzekł nieudobruchany Dobrozacki,—lis szczwany!

— Gdzie tam!—zaprzeczył Prot—w nim jest, jak to mówią, tylko «chłopski rozum, chłopska przebiegłość;» no, ale czasami mu się uda nieźle!

Tak rozmawiali, jadąc. Wreszcie skończyła się wspólna droga i trzeba było się rozjeżdżać. Dobrozacki jął zapraszać do Klonowic na herbatę, ale Prot ani słyszeć o tem nie chciał. Wymawiał się zmęczeniem, fatygą, pracą w domu... Dobrozacki nalegał coraz bardziej, ale nic nie pomogło—Prot pozostał nieugiętym, obiecując wizytę kiedy indziej. Z tem zapewnieniem pożegnali się, krzepko się za ręce uściskawszy. Po chwili byli już daleko od siebie... Bartek poganiał dobrze konie chwalkiewiczowskie, to też poszły ostrego klusa. Wiatr, który powstał z tego powodu, mile łechtał twarze, bo dzień był skwarny, szczególnie pod wieczór, co nic dobrego nie wróżyło. Opary jakoś nie nadciągały, rosa nie spadała... Niebo było niewyraźne: mógł być deszcz, ale równie dobrze mógł nie przyjść... Czuć było wahanie się i niepewność natury...

Lecz nie ujechał jeszcze ksiądz Prot mili od Skolomowa, gdy na zwrocie drogi wpadli na jakiś wehikuł, przechylony na bok, z powodu odpadnięcia koła i przelamania łącznika z wyprzęgniętymi i przy dyszlu kopiącymi końmi, niecierpliwymi się i jakby chcącymi coprędzej wraz z wehikułem ruszyć z kopyta. Była to prawdziwa zawalidroga. W czas zdążył jeszcze Bartek powstrzymać siwą i karego i ocalić od zupełnego rozbicia zalomuniecką bryczkę i pochyloną resórówkę, która okazała się niedużym amerykańnikiem. Ściągnął u pyska konie, zarywając je w ziemię, poczem zeskoczył z siedzenia, i dając wikaremu lejce do potrzymania, jał rozglądać się w sytuacji.

— No, Bóg tu pana zesłał! — zabrzmiał nagle z boku jakiś srebrzysty głos — byłam już zrozpaczoną!

Koło wywróconego amerykańnika grzebał coś stangret w liberyi; o kilka kroków od niego, zasłonięta cokolwiek amerykańkanem, na kopcu małym, ubitym przy drodze i zarośniętym darnią, siedziała młoda kobieta. Na dźwięk tych słów, wstrząśnięty niemi, jakby prądem, spojrział w stronę Prot i zobaczył tę, która już oddalała się rozpaczy— Niutę Skomorowską...



Jak zły duch, jak brutalny demon, narzucała mu się już po raz drugi siłą wypadku—czy też ślepego, głupiego trafu.

Każda rzecz nadzwyczajna mniejby go zdziwiła, niż to spotkanie.

To też nie umiał ukryć zdziwienia. Miał ją przywitać, wymówić słowo pozdrowienia, lub coś podobnego, wykrzyknął tylko szczerze zdumionym, pytającym głosem:

— Pani tutaj?

Lecz ona odpowiedziała:

— Pana to dziwi?

— Niezmiernie!—potwierdził ksiądz.

Poczem przez głowę, jak rój huraganów, przeleciały mu wszystkie o niej myśli, wszystkie wspomnienia i wszystkie dzikie, niezrozumiałe widzenia... Twarz mu się wykrzywiła, jak u człowieka rozdrażnionego, oczy zwięzły się i skurczyły. Począł patrzeć na nią złym, podnieconym wzrokiem i z pod mrugań powiek spoglądać jak na prześladowcę, który bezprawnie szarpie cudzy spokój...

Cichy ten zwykle i małowowny człowiek zmienił się w chwili jednej nie do poznania.

— Że też ja zawsze mam zaszczyt spotykać panią!—rzucił jej szydersko.—Pani lubisz spacerować!

Ale w niej na te słowa i jego spojrzenie krew też się wzburzyła. Poczęła drgać lekko na ciele, jak ludzie wrażliwi i nerwowi, a w oczach na to powiedzenie zanigotały jej ogniki. Pohamowała się jednak i rzekła wolno, niedbale:

— Może przedtem, nim pan mi zaczniesz prawie impertynencye, dobrzeby było zejść z tej bryczki i przywitać się?

Twarz jej, pomimo wstrzymywania się, robiła się gniewna. Głos, jak na złość, drżał trochę.

On zszedł w tej chwili i zbliżył się do niej, uchylając kapelusza.

Przemówił zimno:

— Mamy szczęście się spotykać... Nawet zrozumieć nie mogę, co pani tu robi w okolicach Skolomowa...

— Wygórowana ciekawość!... Co panu do tego?...

— Pewnie, że nie!

— No więc?

— Nie! Pozostaje mi panią pożegnać, gdyż śpieszę do Załomuńców...

— Nie zatrzymuję pana. Powiem tylko na pożegnanie, że gorzej wychowanym od pana nie mógłby już być nikt...

Poczem odwróciła się od niego wzgardliwie i poszła pytać furmana, jak prędko ulatwi się z naprawą.

— Jaśnie panno—odpowiedział stangret, zdejmując czapkę,—ja tu nic, ani ten (tu ukazał na stojącego opodal Bartka) nie poradzimy. Tu trzeba kowala... Żeby tak wielmożny ksiądz — mówił, ukazując na Prota, — ofiarował swojej bryczki...

Panna zmarszczyła się i tupnęła nogą.

— Wyprzęgaj gniadego i ruszaj konno nazad do Skolomowa, albo gdzie chcesz, i sprowadź mi tu kowala!

Stangret spojrział na nią, potem na Prota niezdecydowanie.

Wreszcie odważył się bąknąć:

— Jasna panienko, niech jasna panienka tak nie każe... Nim się wyrychtuje, będzie noc i zimno, deszcz może przyjść, bo powietrze okrutnie parne, a i do Dębowa dojedziemy bardzo późno...

Lecz twarz panny na te słowa oblała się rumieńcem gniewu. Spojrzała piorunująco na stangreta i wykrzyknęła rozdrażniona:

— Rób, jak każe! Masz się śpieszyć i wracać jak najprędzej!

Poczem odwróciła się od niego, i spostrzegłszy, że Prot ani myśli jechać i stoi w tem samem miejscu, chmurnie w nią wpatrzony, wydeła swoje śliczne usta lekceważąco i pogardliwie zapytała:

— No, czemuż pan nie odjeżdża?... Przecież pan się bardzo śpieszy!

Stropiony stangret opuścił przewrócony amerykan i począł jednego z uwiązanych do dyszla koni opatrywać.

Wtedy Prot, na którego posępnej twarzy malowała się cała walka i cały obraz przebywanych wzruszeń, przemówił spokojnie:

— Nie mogę pani tak samej zostawić...

— Doprawdy?—spytała wzgardliwie panna, patrząc na niego szyderczo, a oczy jej były lekceważące i drwiące—co za zmiana!

— Żadna — odpowiedział zimno Prot, — ale z tego, co ten człowiek powiedział, wnoszę, że moja bryczka będzie pani przydatną...

— Doprawdy? — powtórzyła tak samo panna—proszę się nie troszczyć o mnie; sama sobie dam radę!

Prot walczył jakiś czas z sobą. Wreszcie przystąpił do niej i począł mówić przytłumionym głosem:

— Słuchaj pani... Sądziłem, że twój człowiek naprawi wkrótce uszkodzenie, jakiego powozik

doznał. Okazuje się, że tak nie jest... Przeto nie mogę cię opuścić i zostawić samą na pastwę zimna, ciemności i oczekiwania na drodze... Furman pojedzie, a ty zostaniesz sama, pani, i możesz się narazić na Bóg wie co... Jako znajomy i jako obcy nawet, nie mogę na to pozwolić... Dam pani więc moją bryczkę, a sam pozostanę na straży pani powoziku i pani konia. Bartłomiej tu po mnie wróci...

To mówiąc, począł patrzeć na nią przychylniej nieco, jakby tłumacząc jej, by uległa.

A ją zdziwiła ta mowa. Jakto? Więc tak bardzo była mu wstrętną i tak jej nie znosił, że, choć oddawał swoją bryczkę, jechać z nią nie chciał? Wolął tu, na publicznej drodze, pilnować popsutego amerykana i jednego konia, niż jechać z nią?... A sądziła, że na jedno jej wołanie, na jeden uśmiech, pojedzie, albo siedzieć z nią będzie — on, ten śliczny chłopak, ten przemiły mężczyzna!

Była i zdziwioną, i rozżaloną i obrażoną... Panna Skomorowska, bożyszcze klasztoru, piękna dziewczica,—nawet uwagi na to nie zwrócił...

— Cha, cha, cha!

Śmiała się nerwowo i śmiała się głośno, aż szykujący konia stangret obejrzał się. Wreszcie poczęła mówić w pół ze śmiechem:

— Doprawdy, dziwną komedycę pan grasz dzisiaj tutaj!... Z początku zdumienie, potem impertynencya, następnie pożegnanie, a w końcu zaofiarowanie swej bryczki, z sentymentalnem pozostawieniem siebie na straży romantycznych ruin... Doprawdy, zabawne!

A gdy się śmiała coraz więcej i, patrząc na niego, przyciskała rękę do falującego, drgającego łona, on stał jak wryty, odurzony tym śmiechem, spoglądający na rozkwitłą pierś jej i twarz pyszną w swych zarysach z zapamiętaniem złości i uradowania, rozdrażnienia i miłego, łechcącego wrażenia jakiegoś, — zawziętości i uczucia pieścizotliwego, przebaczonego... Stała rozkosznica taką, jaką ją widywał w snach i halucynacjach, jaką przewijała się przez mgły jego marzeń, jaką przychodziła do niego często, spędzając czysty obraz siostry, będącej dotąd jedyną dla niego miłością... Jednak nie śmiała się wtedy nigdy tak, jak teraz, nie wpijała w niego sztyderskich oczów, a on przed nią nie uciekał...

Patrzała na niego, a oczy jej się mieniły... Gdy śmiech z nich zginął na mgnienie, przychodził blysk dziwny, krótki, — lecz nie, zdawało się, że go już uchwyciłeś, a on znikł i śladu nawet po sobie nie zostawił... A Prot wiedział, że gdy czarodziejka przychodziła, ani we śnie, ani w marze-

niu nigdy nie śmiała się z niego, lecz mu rozpaloną głowę w jedwabne dłonie ujmowała i koła...

Wzdrygnął się na ten śmiech. Dziki był. Zapytał stłumionym głosem:

— Czemu się pani śmieje?...

Wtedy odstąpiła od niego, jakby napadnięta tem pytaniem, i obrzucając go od stóp do głowy pełnem wyniosłości spojrzeniem, zmieniona nagle, spytała wzajem:

— Czy i śmiać się nie wolno?

— Nie wolno, bo niema z czego! — odpowiedział porywczo. — Ja to szczerze powiedziałem...

Teraz ona poczęła poglądać na niego ze wzburzeniem. Wreszcie wybuchnęła:

— Szczerze? Nie, panie, nie jesteś pan szczerym, tak jak nie byłeś nim, przysyłając list wczorajszy! Nie miałeś czasu, a jednak teraz jedziesz do Załomuńców, gdzie cię nic ważnego nie czeka... Teraz wolisz siedzieć na drodze, bo odprowadzić mnie do Dębowa niema ochoty... Po co się pan maskujesz? Wyznaj otwarcie, że towarzystwo moje tylko przykrość i niesmak sprawić może... O, tak! Czyż nawet śmiałabym się panu narzucać?...

Nie widziała, czy też nie chciała widzieć, jak nieprawdziwym jest każdy jej wyraz. Twarz

Prota pokazywała to najdosadniej... Gdyby ona wiedziała, gdyby wiedziała szalona!

Stangret już siedział na koniu, i chmurny, przeczuwający gromy, które spadną za powrotem do Dębowa, ruszał. Ale w tej chwili Prot dał mu znak ręką, jakby nakazując wstrzymanie się. Mgnienie jedno wahał się i dręczył, nareszcie zdecydował się na coś widocznie i odezwał się przytłumionym głosem:

— Niech pani daruje... Pojadę z panią...

Jej oczy błysnęły, nie widział tego jednak. Po chwili wyrzekła:

— Nie, panie... To dla pana ofiara, a ja ofiar nie zwykłam przyjmować...

Harda była i prześliczna z zarumienieniem na twarzy. Prot wpił w nią oczy.

— Pojadę z panią—powtórzył,—proszę...

Dalszych słów jakby zawahał się wymówić.

— Nie, panie!—potrząsnęła głową dziewczyna.

Wtedy dokończył:

— Proszę o to... Nigdy towarzystwo pani nie było mi przykrem...

Sekundę jedną milczała, patrząc na bladą twarz jego i czarne, palące oczy. Potem wyciągnęła do niego drobną swą różową rękę, którą on uchwycił i trzymał w swej dłoni przez mgnienie. Nagle pochylił się... i, nim zdołała cokolwiek



pomyśleć, przyłożył wargi do tej ręki i złożył na niej długi, namiętny pocałunek...

. . . . .

A gdy już jechali, zostawiwszy stangreta dębowskiego na straży amerykańską i koni, dopóki przybył mu z Dębowa kowala i ludzi nie przysłali, ona, jakby udobruchana nieco, poczęła rozmawiać z nim szczerzej i łaskawiej. Więc mówili o wszystkim, co tylko miało związek z ich niedawnym poznaniem, z chwilami, które razem przepędzali, a potem mówili i o sobie, każde co innego... Prot, który czuł jeszcze drgnienie jej ręki, gdy ją całował, i widział pons, jakim się oblała, na aksamitnych jagodach jej twarzy, wpatrywał się teraz w nią, blizki jej tak bardzo, z chciwością, i pożerając wzrokiem dziewczynę, słuchał a słuchał, co mówiła...

Czasami zaśmiała się wesoło, ukazując z poza różowo-czerwonawych warg białe, równe i drobne zęby,—to znów, spuściwszy jakby nie chcący rzęsy, spoglądała z pod nich powłóczytym na niego spojrzeniem... Wtedy rwało go ku niej i ciągnęło okropnie... Przysunął się bliżej, by nozdrzami uchwycić zapach jej białego ciała, by wchłonąć w siebie woń durząca, która szła od każdej fałdy jej sukni, od każdego rąbka jej stanika, od każdego loczka i każdego włoska

jej splotów. A gdy tak siedział blisko niej, gwarząc bezpiecznie i wesoło, ona zdawała się szczerze i hojnie nie skąpić mu tego wszystkiego... To też poczęło mu się zdawać, że tę rozkosznicę zna już dawno i że z nią w zażyłych, bliskich jest stosunkach... Przez myśl przelatywały mu obrazy widzianych dotąd kobiet i rozumiał dobrze, dlaczego tylko chłód i wzgardę czuł dla ich kobiecości... Żadna, żadna nie była tą, żadna nie mogła się z nią równać!... Ona — wcielenie piękna, ona — królowa nad królowe, ona jego — droga!

I gdy w tem miejscu zdało mu się, że ujrzał apostoła, Pawła z Tarsu, jak mówił pogiębiony i rozgniewany zarazem:

«A jeśli się ty nazywasz żydem i przestawasz na zakonie, i chlubisz się w Bogu?

«I znasz wolę Jego i rozeznawasz, co jest lepszego, nauczony z zakonu:

«Tuszysz, żeś ty sam jest wodzem ślepych, światłością tych, którzy są w ciemnościach?

«Mistrzem bezrozumnych, nauczycielem dzieciętek, mającym kształt znajomości i prawdy w zakonie?

«Który tedy uczysz drugiego, siebie samego nie uczysz; który opowiadasz, żeby nie kradziono, kradniesz?

«Który mówisz, żeby nie cudzołożono, cudzołożysz; który brzydzisz bałwany, świętokradztwo pełnisz?»

«Który się w zakonie chlubisz, przez przestępowanie zakonu Boga nie czcisz?...»

Odpowiadał w duszy słowami tego samego listu:

«Widzę inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysłu mojego i biorący mnie w niewolę, w zakonie grzechu, który jest w członkach moich...»

«Jam jest cielesny, zaprzędany pod grzech.

«A jeśli czego nie chcę, to czynię.

«A teraz już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka...»

Ponurym wzrokiem spoglądał w dal, jakby chcąc oczyma swemi zmusić widma i majaczenia do usunięcia się... Bezwiednie powtarzał szeptem niedosłyszalnym:

«Jam jest cielesny, zaprzędany pod grzech...

«A teraz już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka...»

— Nie ja, nie ja!... — szeptal i rozdrażnienie go obejmowało i bunt duszę mu rozżarzał... Przecz chwili szczęścia, chwili szalu, chwili zapomnienia i on nie ma mieć w tem życiu?

Już mu nikt, żadne widzenie, żadne widmo nie odpowiadało. Został sam z myślami swemi, z tętniącą w żyłach krwią, ze wzburzeniem w piersi, z błyskami w oczach, z jakąś wielką próżnią wewnątrz i wielkiem pragnieniem czegoś... Ona umilkła, i nie patrząc na niego, rozglądała się po polach... Słońce już zgasło, wieczór nadchodził, oparów nie było... Suchość i przejrzystość w powietrzu biła...

On począł się przyglądać jej, jak się przygląda człowiek, który widział już nieraz, ale te widzenia zdały mu się przelotnymi, niezupełnymi i pragnąłby dlatego zbadać i wpatrzeć się głęboko, całkowicie, pełnie, z tem nieruchomem ześrodkowaniem i skupieniem wzroku, któreby zajmujący przedmiot utrwaliły i uwydatniły najsilniej, najlepiej i najdosadniej... W jego oczach był wyraz natężenia: patrząc na nią, pochłaniał spojrzeniem każdy jej szczegół, rys, linię... I im dłużej się w nią wpatrywał, tem więcej patrzeć na nią chciał. Było mu kojąco i słodko w jej pobliżu, jakiś spokój i radość szły od niej dla niego, a on je brał — mile i łagodne — i całował ustami swego ja rozszczęśliwionego i dziękował jej niemo, że przy nim była... Coś gwałtownego i ostrego poczęło go szarpać za serce, z duszy

jego z rozkoszą bólu wylaniało się i biegło ku niej i dla niej...

Poczęła mu być drogą, i kochaną, i miłą i jedyną... W tej chwili odczuł, że bez niej może być dla niego tylko pustka, jej bez niego nie może być; że ona mu rosa, powietrze, źródło — myśl jego, wierzenie jego i ukojenie...

Zwrócona ku niemu, jakby odgadując to, co się w nim rozpłomieniać poczęło, uśmiechnięta figlarnie, dalszą nic rozmowy niby snuć gotowa, spoważniała nagle i na ustach jej zamarł wyraz, który wymówić chciała. Pod wpływem jego przejmującego wzroku, choć wytrzymać go usiłowała, spuściła jednak oczy i lekki szkarłat zarumienił jej oblicze... Chwilę jakby wzruszona, czy też podniecona cokolwiek, milczała. Potem przemówiła:

— Ja wiem, ja wiem, jakim pan jesteś... Wiem, jak pan postąpiłeś z Chwałkiewiczem; wiem, o co ci tylko chodziło...

Nie odpowiedział nic, jakby zaskoczony temi słowami. To, o czem wspomniała, było aktem chrześcijańskiej pokory, zwalczania osobistych namiętności, łamania krzywej natury ludzkiej według wzoru Nauczyciela... On o czem innym teraz myślał... W przerwach zachwycenia nad cudnem dziewczęciem, które — ślepymby był,

gdyby tego nie widział — wyciągało z rodzącą się, a może już narodzoną miłością rączyny do niego, powtarzał uporczywie i z zaciętością, która się w nim wraz z wybuchem goryczy zrodziła: «jam jest cielesny, zaprzędany pod grzech...» — a ona mu przypominała bezwiednie o walce z namiętnościami, o łamaniu ludzkiej natury, o czystości sługi Chrystusowego!...

— Jam jest cielesny, zaprzędany pod grzech! — wołał w duszy z coraz większym uporem — jam jest człowiek, który szczęścia dostąpić chce!... Idźcie ode mnie wszyscy, coście przyszli zgrzytać nade mną... Nie zbrodzień jestem, nie występny, nie pelen upodlenia... Wy, którzyście tak wołali, azali żadnego nigdy pragnienia nie mieliście?... Kajałem się, zwalczałem, prostą drogą szedłem... Chwili szczęścia mi nie wolno?

Nie patrzył na nią. Burzyło mu się w sercu, burzyło w duszy, burzyło w głowie. Głuchym głosem spytał:

— Więc cóż?...

— Pan postąpiłeś jak kapłan — powiedziała cicho, — jabym się na to nie zdobyła...

Lecz on zaczął się śmiać, a śmiech jego był zgrzytliwy. Usta mu się wykrzywiły, a twarz wyrażała szyderstwo.

— Czy pan się śmieje z tego?—zapytała z dziwnym dźwiękiem w głosie.

Ale on jej nie odpowiedział, tylko swój nerwowo śmiech rzucał o jej uszy i tam przygwałdział go dysonansem. W sercu wołał:

— Przecz się nie naigrawacie ze mnie? Walczyć nie umiem, bić się po głowie nie umiem?... Każecie mi wyrzec się miłości?... A wicie wy, że to jest szczęście moje, iskra moja, gwiazda moja, uniesienie moje?... A jakoż mnie odbiegać od tego szczęścia mego, od tego tchnienia mego, od tego kwiatu? Jak porzucić mi tę zorzę, tę jutrzenkę, to słońce? Jak zamknąć się w lód i pustkę, i wyschłe serce unieść, gdy dla mnie serce bije?... Jak otrząsnąć mi się z czaru, porwać upojenie, zniszczyć radość i wesele?...

Oparł łokcie o kolana, a na rękach położył głowę, ale podniósł ją wkrótce, bo bryczka szła zgrzytliwie... Jął patrzeć na nią—ona patrzyła się rozstrojona wzajem... i wkrótce przez zęby począł syczeć nienawistnie:

— Nie mogę, nie mogę, nie mogę!... Nie chcę, nie chcę, nie chcę!...

Porwał jej rękę i począł namiętnie całować... Krew zalewała mu głowę: był siny. Wyrwała mu się—i zdumiona, z rozszerzonymi, wpatrzonymi w niego oczyma, przemówiła:

— Co to?...

Wtedy on pochylił się ku niej i z twarzą palającą, z płonącym wzrokiem, wyszeptał:

— Mój aniele!...

Poczuła na policzkach technicznie gorącego jego oddechu. Na chwilę straciła władzę: siedziała nieruchoma. Potem dopiero spytała, blada jak białka jej oczów, niewyraźnie:

— Wiedziałeś pan, kto pana prosił do Dębowa?...

— Wiedziałem—odpowiedział.

— List ja odebrałam i nie oddałam...

Wjeżdżali już na szeroką topolową drogę dębową. Wieczór zapadł: mrok pokrył wszystko. We wsi słyhać było szczekanie i ujadanie psów, gdzieś w stajenkach rżały konie, lub krowa pod strzechą obory zaryczała przeciągle. Zresztą było spokojnie, gdzieniegdzie tylko w kałużce lub rowku rechotały żaby, jakby czując mającą spaść niezadługo obfitą wilgoć deszczową... Niebo było powleczone chmurami—i choć przez ciemność wieczoru nie można było ich dojrzeć dobrze, to jednak przebijały cokolwiek posępną swoją czarnością i ponurymi, fantastycznymi kształtami. W całej naturze było jakby oczekiwanie...

Pochyliła się nieuchwytnie ku niemu i spytała niewyraźnie:



— Wstąpisz pan do pałacu?...

Wtedy porwał jej dłonie, których mu nie bronila, i począł całować je bez pamięci. Ona siedziała bezwładna, choć wstrząsana gwałtownymi drgnieniami—i zdawało jej się, że marzy w halucynacyi... W pobliżu, tuż przy sobie czuła jego obecność, przez słaby letni mrok widziała śliczną klasyczną jego twarz, widziała tylko jego...

Spieczonemi wargami powtórzył:

— Mój aniele!...

## XII.

Odąd poczęli widywać się coraz częściej. Prot, w którym odbył się jakiś przełom, był podniecony i pobudzony, dusza jego się wstrząsnęła, cała istota falą wrażeń zelektryzowała... Chadzał teraz dziwny bardzo, zamyślony, zapatrzoney zda się w coś, niezwyčajny... Stał się jeszcze małowowniejszym niż zwykle, jeszcze cichszym, jeszcze więcej w sobie zamkniętym... Unikał ludzi, jakby mu tylko niepokój i rozstrojenie nieśli, przestał nawet pracować... Często, gdy już wieś cała spała, ukołysana do snu cichym spokojem nocy, w oknach wikarego świeciło się jeszcze. Rzekłbyś -- pracował, ale on przechadzał się błędny, rozpamiętywujący coś, albo stał, oparty o ścianę, i sztywnym wzrokiem patrzył w przestrzeń, lub siedział nad rozwartą księgą, nie czytając jej wcale...

Wzrok jego jednak nie zawsze był zmartwia-  
łym: czasami błyszczał, to znów gorzał, jakby  
w oczach jego się paliło, to sypał promieniami  
iskier... A wtedy i skronie pały, i w sercu tę-  
tniało przyśpieszenie i rój niezwykłych myśli  
obsiadał głowę... I cały był oddany wspomnie-  
niom spotkań, dumając o następnem... Potężniał  
w nim ich urok—i gdy jedno minęło, snuł pra-  
gnienia o nadejść mającem. Był prawie szczę-  
śliwym...

A jednak... Jednak wzdrygał się. Nie chciał  
myśleć o tem, by poza uśmiechem, spojrzeniem,  
lub uściskiem ręki, mógł sięgnąć jeszcze i po co  
innego i zażądać od niej spełnienia aktu miło-  
ści, aktu bezmiernej, zupełnej przynależności...  
Wzdrygał się... Przez głowę snuły mu się my-  
śli dzikie, chaotyczne, błędne... Czuł, że ją ko-  
cha, tak jak dotąd nikogo na świecie nie kochał—  
i to mu sprawiało i rozkosz i ból zarazem...

Stała mu się drogą—boby jej nieba przychy-  
lił, stała się kochaną—bo pożył jej obecności,  
jedyną—bo go sobą przepelniała w zupełności...  
A jednak...

Nie ważył się dotknąć jej czystości, pokalać  
jej niewinności dziewiczej, nie ważył się nawet  
dotąd wyznać jej, że ją kocha...

I były chwile, gdy szydersko urągał jej wobec samego siebie. Śmiał się wtedy śmiechem cichym, przyduszonym, i rozmawiał z sobą i złorzeczył jej. Odzierał z niej szaty i stawiał ją nagą, pełną sprośności, taką, za jaką ją czasami miewał... Wtedy ciskał jej myślą:

— Jesteś zalotnica... Zmysłowa, która zadowolonia pragnie... Ciało, które pożądania szarpia... Lubieżnica, wabiąca ku sobie!...

Nie wiedział, rzucając to, azali prawdę mówi, czy też ją bezcześci... Widział ją z całą dziewczynościami jej natury, śmiałą, zmienną, to wybuchającą, to znów cichą i nieledwie nieprzystępną, kuszącą, a jednak granicy nie przestępującą... Rozmyślał nad tem... Prawda, że odbiegała od wielu swych towarzyszek — kobiet, ale czy uczyniła kiedy coś rażącego? Ogień krwi się w niej odzywał i była może tylko szerszą, mniej obłudną...

Błądził. Nie wiedział, co sądzić. Gdy był z nią — nie pragnął, jak być tylko najdłużej, oddalona — rodziła w nim tysiące zgrzytów i upojen naprzemian...

Chciał potępić ją w czemkolwiek i w mgnieniu potem gardził sobą za taką myśl. Kochał ją, tak, wyznał to sobie po długiej męce, a poniżał ją i rzucał jej w myśli obelgi...

A jednak dziewczyna była czysta i niewinna—bo się o tem nieraz przekonał, bo nie miał prawa sądzić inaczej jej—lubieżnicy pysznej!

— Rozkosznica, rozkosznica, rozkosznica!... jakaś ty cudna! Jakaś ty droga, umiłowana!...

. . . . .  
Sprawa z kościołem raźnie postępowała na przód. Chwalkiewicz, który osobiście pojechał do Dębowa zapraszać Skomorowskiego do komitetu, między innymi tak mu recytował:

— Nie donosiło się o tem przed czasem, bo to, panie dobrodzieju, nie było jeszcze wiadomościem, czy władza pozwoli i wogóle, jak cała nasza sprawa pójdzie. Ale teraz to furda! Ja to wziąłem w swoje ręce! Powiadam panu dobrodziejowi, ile to człowiek się nakłóce, nim coś podobnego w ciało przyoblekać się zacznie! Że nie wspomnę o ludzkich zawiściach... ale gdzie ich niema? To nieuniknione! I żeby człowiek miał przynajmniej wyrękę! Ale gdzie tam! Ja, uczciwszy uszy, prawdziwie nie mam żadnej, żadnej, wie o tem pan dobrodziej — mówił, wpijając swe zielone oczy w Skomorowskiego;—o, bo to, co panu się zdaje, że jest wyręką, nie jest nią, nie jest!

Odsapnął, i otarłszy spocone czoło chustką, mówił jeszcze:

— Rany Pana Jezusa! żebym ja miał odpowiednich pomocników! Złote jabłko dobrobytu i moralności z Załomuńców i okolicy uczynićby można!... Ot, był Prostkowski, ale...

Machnął ręką.

— Był — dokończył, — ale dyabli go wzięli!

— No — przemówił Skomorowski, poglądając na wygę z pod oka, — przecie słyszałem, że wrócił?...

— Bogać! — odparł Chwalkiewicz — wrócił, ale nie do mnie, tylko do tego, między nami mówiąc, mazgaja Chociemskiego... W Skolomowie siedzi.

— He?...—zagadnął Skomorowski.

— W Skolomowie, jak Boga kocham!... wpa-kowali go tam... No, nie będzie mu źle!

Ale Skomorowski nie dał się z punktu przekonać. Po chwili rzekł, jakby od niechcenia:

— To ciekawy człowiek ten ksiądz Prot... Widziałem go kilka razy, był u nas... Rogata w nim dusza musi siedzieć...

Chwalkiewicz wykrzywił usta.

— Rogata?... Chyba dyabelska tylko — mruknął, a widząc zdziwione spojrzenie Skomorowskiego, dodał śpiesznie: — No, boć i dyabel

ma rogi... A temci gorzej, kiedy ukryte, temci gorzej!...

W duszy zaś pomyślał:

— Gagatek! Już i do Dębowa trafił, i może pannę rozamoruje i starego nabierać zacznie... Cóż?... Sprycik niezgorszy... Przy umiejętnej protekeyjce może pojechać... Żeby cię!

— Tedy dziwno mi, że go ksiądz proboszcz nie tentujesz—mówił, jakby nie zważając na słowa Chwalkiewicza, Skomorowski;—głowa nie od parady!

— Poznałeś się, wieprzu? — myślał w duszy proboszcz—no, no, patrzcie!...

Głośno zaś odrzekł:

— Eeee! A jednak, czy ta głowa co wskórała?... Nie wiem, ale gdyby tak mnie tam nie było, nie daj Boże dla Załomuńców!... Amen dla kościoła amen dla parafii!

Usłyszawszy to, począł pan Skomorowski szybko mrugać oczyma, z nieudanem wielkiem zdziwieniem poglądając na Chwalkiewicza, którego jakby w takim oświeceniu po raz pierwszy ujrzał... To przygwożdżone niby zdumienie chciało zda się znaleźć ujście w zdaniu, które już-już usta miały wymówić. Pan Skomorowski bowiem słyszał od Chociemskiego coś całkiem o tem wszystkim innego... Nie rzekł jednak nic

i dopiero po dłuższej chwili, patrząc na tłustego proboszcza tym samym wzrokiem, jął myśleć:

— Ano... Czelna bestya i lis... Ho, ho!... lis!

A potem, jakby chcąc się rzeczywiście przekonać, że to jest właśnie lis, a nie co innego, odstąpił od niego parę kroków, i patrząc mu w oczy, począł cicho mruczeć:

— Lis, lis, lis!...

---



### XIII.

Od jakiegoś czasu wszyscy, co żyli w Dębowie, z początku od niechęcenia, a potem coraz stalej zauważać poczęli, że panna Niuta, zawsze dziwna, niepojęta, zmienna, a nawet kapryśna i despotyczna, w ostatnich czasach stała się jeszcze zmienniejszą i despotyczniejszą, co zastanawiało nie na żarty.

Najdotkliwiej uczuwały to, rzecz prosta, *mademoiselle* i Różia pokojówka, z natury swej będące w najbliższem z jasną panną zetknięciu... *Mademoiselle* poglądała na Niutę pytająco, ramionami po cichu wzruszając, mało takie postępowanie rozumiejąc... Czasami oddawała się czarnej melancholii w swoim buduarze.

— Ta Niuta staje się wprost niemożliwą! — rzucała wtedy czterem ścianom pokoju. — Nie,

ja jej nigdy nie zrozumiem, tak jak nigdy nie zrozumiem tego kraju i tych ludzi!...

Ponurym wzrokiem wpatrywała się w błyszczącą posadzkę i z piersi jej wychodziło tylko krótkie:

— *Dieu, Dieu, Dieu!...*

Różia zaś, jako istota żywa i mniej do melancholijnych refleksyi skłonna, kiwała tylko głową i mawiała Grzeli, do którego się «miała:»

— Oj, Grzela, Grzela! Co się z naszą pannienką dzieje! Taka jakaś nijaka i złości się bez potrzeby! Powiadam ci, nie masz wyobrażenia, jakiego strachu się codzień nałykam!... Patrzy czasami, jakby nigdy przedtem nie widziała, i mówi: «Różia, czego stoisz?... Idź!» A tu akurat jeszcze nic nie porobione. Tak, tak—mówiła rumiana, pulchna i cale apetyczna Różia, szczypiąc Grzelę w policzek i zaglądając mu w ślepie,—tak, Grzela, tak!...

A gdy Grzela, widząc konfidencyę, bez wielkiego skrupułu brał Rózię pod piersi, i przyciągając ku sobie, delektował się całusami, wyciskanyimi na jej buzi, ona piszczała:

— Grzela!... puść! Ej, puść, bo będę krzyczała!... Rozumiesz?

I jeszcze bardziej twarzy mu nadstawiała.

Grzela machał reka.

— Ej, abo to nowina! Flora w stajni stoi i stoi, grzebie a grzebie, skamle a skamle... Ino patrzeć, jak się wścieknie. Nie siada «jasna» i nie jedzie... A kobyłę rychtyk aż podrywa, bo jakóż takiemu koniowi stać i świata bożego nie oglądać?... A i ja siedzę!

— Mój Grzeluniu, abo to ci źle?...—pytała.— To i częściej spojrzysz na kogoś...

— Ty ladaco! — oburzał się Grzela, skubiąc w świeże ciało Rózię — patrzcie, co jej się zachciewa!

Poczem odstępował na bok i mówił z patosem:

— Jak sypię za «jasną,» to przynajmniej wiem, za kim jadę — odpowiednim ruchem ręki ukazując, jak on to «sypic» — i na co mam patrzeć, a ty Różka?...

Rozgniewana odskakiwała od niego. Po chwili jednak wołała:

— Grzela!...

— Co?—pytał niby zimno masztalerz.

— Patrzaj!...

Nadstawiała mu rumianego, śmiejącego buziaka z daleka, pokazując palcami figę.

— Eh, ty! — wołał Grzela, sekundę walcząc z sobą. W chwilę potem głośne jednak i przeciągle mlaśnięcie zwiastowało, że i figa i wahanie skapitulowały wzajemnie—jak zwykle.

Nawet baby i dziewczuchy zauważyły rozstrój panienki.

— Moiście wy, przedtem to tak pełno dziewczki bywało, a teraz albo w pole z książką puńdzie, albo siedzi w pałacu... Tyla jej widać, co przy opłocie...

— Może jej jasny przekoruje?

— Może swatają z niemiłym chudziuchnę?— wtrącała gruba Kostka od chlewa.

— O wa!— pogardliwie wydymała wargi stara z czeladnej Nastka— wciurności z takim gadaniem!... Widziałś kawalira?...

Odgadywali trafnie, że z Niutą dzieje się coś niezwyčajnego, że w sercu jej burzy się, że w duszy coś walczy i przelamuje się, że głowę często, często rój ciężkich myśli obsiada...

A niezwykle to były myśli, jak niezwykłą przyczyna, która je rodziła... W dotychczasowym swem życiu, które płynęło dla niej spokojnie i bez wielkich wzruszeń, nie spotykała nigdy nic, coby ją podniecało głębiej, poruszyło, wstrząsnęło nią... Żywy charakter, młodzieńcza, ruchliwa natura znajdowały upust w dziecinnych lub dziewczęcych figlach, w swawoli pensyonarskiej, w oryginalności dziwactw wreszcie...

Drzemało jednak jeszcze w niej uczucie, czy też było przytłumionem, utajonem do czasu...

W rojeniach swych, jak każda dziewczica, jak każde młode stworzenie, przeczuwające coś instynktownie, oczekujące czegoś, co wstrząśnie duszą albo myślą, — wiedziała nieświadomością jasnowidzącą, że to coś przyjdzie do niej prędzej czy później, że musi, powinno przyjść i rzucić w jej głowę rozmarzoną i w serce jej rozstęsknione demona lubego i groźnego zarazem, słodkiego a pełnego zwątpień, chłonącego w siebie i obejmującego w swój żar a zdradliwego...

Już z dziecka wiedziała, że to, co gdy dojrzała dziewczicą, myśli jej poczęło się stawać coraz bliższem i natarczywszem, — świat, ludzie nazywają miłością... To słowo, tak często słyszane, od tylu lat, codziennie, co godzina, co minuta niedługo, stawało się dla niej pomalą coraz zwykleszem, coraz jałowszem i pospolitszem, aż zostało synonimem rzeczy, o której się mówi od ruchowo... Klepali o miłości wszyscy, kochali też wszyscy: starzy, młodzi, bogaci, biedni, a każdy kochał inaczej... Śpiewali o miłości w kościołach, w modlitwach, nakazywali ją w przypowieściach i katechizmach, pisali o niej, zalecając ją, niecznośni filozofowie i wyschli bogobojnicy, ekliłi o niej poeci — do przesytu, choć pensyonarki tonąć w ich natchnieniu lubiły; zwracali wreszcie nią głowy niezliczeni romanso-

pisarze, z kategorii tych ma się rozumieć, którzy przeszli cenzurę domową albo klasztorną... Już pomijając miłość do Boga i t. zw. do rodziców, krewnych, do bliźnich wreszcie, — Niuta wiedziała, że poza takimi miłościami istnieje jeszcze i ta właśnie, co ją najbardziej interesowała—miłość, opiewana w nieskończonych hymnach, sonetach i apostrofach poetów, wiejąca z każdej kartki ich książek, tchnąca z każdego wiersza ich urywków... Kochali tam fałdy sukienek, toczoność rączki, małość stopki, boskość uśmiechu, zefir oddechu, głębię spojrzenia, urok dźwięku mowy... Niuta wraz z resztą koleżanek wczytywała się w te plody, lechtana i podrażniona ciekawością dowiedzenia się, jak wygląda to, o czem myślała ze drżeniem i z obawą, czego oczekiwała, iskrą strachu przeszywana. Pragnęła wiadomości o tem, co miało jej duszę rozplomienić, myśl rozpalić, serce ogniem objąć... I biło to serce na myśl o wielkiem szczęściu i fatalności zarazem, które, odgadywała to instynktownie, przyjdą, przyjść powinny...

Czuła się młodą, przepelnioną życiem, wybujałą ogniem, który ją coraz więcej rozżarzał, dziewiczo rozkwitła...

Chwilami tęsknota szalona porywała ją za tym demonem-uczuciem, bezmiar pustki wołał o zapelnienie...

W te momenta, jakby doświadczona, wiedziała, że kłamie świat, kłamią ludzie, kłamią poeci!... I wtedy wiedziała, że z poza ich kwileń wyziera coś zupełnie innego...

Rzuciła im myślą w twarz:

— Jesteście obludnikami!

Dusza dziewicza szeptała jej:

— Nie ich, nie ich to miłość... Kochanie to ogień dziwny a niepojęty, potok burzliwy a niewstrzymany, wulkan pełen żaru, namiętny, i oddanie bezmierne...

I z uporem wracała do tej myśli, i drżała na jej wspomnienie, i płoniła się i pożądała... A czasami w jej dumie wydawało jej się poniżającym to oczekiwanie—i zagryzała wtedy wargi, tłumiąc oddech przyśpieszony, i chłodziła rozpalone czoło... Twarz stroiła w maskę lodu, na usta wyciągała grymas ironii i pogardy...

I dziecko to dojrzewające, a potem kobieta w zaraniu najcudniejszych lat, myślała, że skuteczną broń w tej wzdargzie i lekceważeniu znajdzie, że o taki pancierz dumy i mur woli rozbije się wszystko, cokolwiekby los albo świat na drodze jej życia postawił...

Aż oto życie, nie wiadomo czemu, z gorzką ironią pokazywać jej zaczęło, że marną, śmieszna i zabawną była, sądząc tak...

Nieraz, leżąc w swem łóżeczku, spowita śnieżną bielą pościeli, otulona w jedwabną haftowaną kolderkę, plakała rzewnie i zagryzała drobne usta, wtłaczając głowę w poduszki, a piersią jej targał żal...

— Czemu, czemu?...—pytała ze skargą dziecka, a łzy obficie spływały po jej policzkach. — Czemu?

Ale nikt nie odpowiadał — bo i któż miał odpowiedzieć? Czy ta dobra ale bezduszna kobieta — *mademoiselle*, mająca jej towarzyszkę zastąpić,—czy też ten zimny, suchy ojciec, z którym słowa obojętności i konwenansu zamieniała?... Zresztą płomień wstyduby ją spalił przy pierwszym otworzeniu ust... I przytem...— Śmiech spazmatyczny porывał ją, dusząc za gardło i targając piersi... Tłumiła go w poduszkach, przygniatając białe łono...

— Gdyby się dowiedział! Boże, gdyby się dowiedział!...

W myśli jej stawał, jak żywy, ten ojciec z zinnem swem, na pozór gładkiem i dobrodusznem spojrzeniem, z twarzą grzeczną, ale stanowczą pod pewnymi względami...

— Gdyby nie wypędził, to na pewno wywiózłby gdzieś na kraniec świata...—szeptała.

Do takiej miłości nie wolno się było przyznać



Więc kochała?

Czasami, gdy na myśl przychodziło jej to pytanie, twarz wykrzywiało cierpienie. Wtedy nawoływała go cicho, pół szydersko, pół uśmiechnięta, wzgardliwa i pieszczotliwa zarazem:

— Prot, Prot, Prot!... Prot, Prot!...

Zdawało się, że wzywa go z ciemności nocnych, by rzucić mu żal swój, i radość, i ból i smutek...

A on wołał na nią:

— Zalotnica!... Ciało... Zmysłowa... Lubieżnica!...

— Prot, Prot!...—mówiła doń, wyciągając ku niemu ręce i przymykając oczy, jakby nie mogąc znieść jego płonącego wzroku... Prosiła go:— Prot!...

Wtedy wzdrygał się, wyrzucając sobie podłość i okrutność swoją... Odpowiadał cicho, w echo jej bezmiernej prośby:

— Jestem z tobą!...

Zasypiała z rozkoszną o nim myślą, i serdecznością dla niego i życzliwością niewyrażoną... Czuwał nad nią—czysty, dobry, kochający,—łagodząc jej rozżalenie..

Ranek budził ją z tej wizyi.

I nie była to już dumna Skomorowska, nie była ta, która szukała zabawy, która, spotykając Prota, żądała od niego tylko hołdu... Nie była, która sądziła, że lekceważenie i wzgarda wystarczą,—ta, co w rojeniach swych żądała od kochanka błyszczenia, świetności i sławy,—nawet ta, która wzamian za gorące uczucie, gdyby było, sądziła dostatecznem dopiero w długi przeciąg czasu okrucuch uczucia rzucić...

Dumna królowa pierwsza ofiarowała miłość, pierwsza poddając się czarowi... Zaranie życia pokazało jej, że rojenia dziewczęce — wielkie w swej pysze—złudne często są...

I wtedy pytała: czemu, czemu?... ale nie było już w niej oschłości i wyniosłości, i małej, bezdusznej zarozumiałości...

Kochała.

Rozdrażnienie jej i podniecenie, choć starała się tłumić je w sobie, nie uszły uwagi ojca. Z początku wziął to za objaw jakiegoś zniechęcenia, nudy, sprzykrzenia pobytu na wsi... Począł rozmawiać z nią, ale niewiele się dowiedział, bo oczywiście dowiedzieć się było trudno. zaproponował więc przyśpieszenie wyjazdu za granicę, ze swej strony poświęcając już i żniwa,

które się zresztą kończyły, i całe gospodarstwo. Panna jednak zbladła nieznacznie i stanowczo się temu sprzeciwiła. Myśl ta napełniła ją strachem: rozłączyć się teraz z nim?... Nie, nie mogła, ani chciała... Miała go przestać widywać?... Nie, nie!

I dalej trwał ich dziwny stosunek. W Dębowie i okolicy posprzątano już z pół prawie wszystko, niedługo miała przyjść i pierwsza orka, a oni, widując się pod różnymi pozorami często, skrywając te spotkania od ludzi, nie uczynili sobie dotąd wyznania... Cierpieli oboje, ale milezeli, czując, jakim tylko może być ich wyznanie...

Rozłączeniem i tylko rozłączeniem!...

Wzdrygała się na tę myśl, a jednak szyderskie losy zimno, nieubłagane stawiały niezwykłe przeszkody... I czasami ogarniała ją nienawiść dla jego powołania, wstręt i obrzydzenie dla tej sukni, którą nosił... Zdawało jej się, że go kala ta czarna szata, że go bezceści, że go ośmiesza i plugawi, a czuła tylko jedno: że jej go wydziera! I począł się w niej rodzić bezmiar zaciekłości przeciwko światu, który jej wyrwał ukochanego, przeciw urządzeniom ludzkim, brutalnie wydzierającym człowiekowi wolność kochania i wolność szczęścia...

Poczęła ich wszystkich nienawidzić.

Więc nie pragnęła wyznania, nie żądała słowa umiłowanego, drogiego, nie chciała usłyszeć szczęścia swego, drząc za każdym razem, by on nie doszedł do tej mety, która ich powstrzymywała, a za którą była tylko ciemność i pustka...

Chwilami głużyła w sobie posepność rzeczywistości, nie chcąc nawet myśleć o następstwach, gdyby ojciec jej o tem się dowiedział—nie chciała o tem myśleć... Wtedy zapominała o wszystkim i biegła, jak zły, niedobremi myślami ożywiony i skradający się człowiek, na miejsce schadzki, by tam, zelektryzowana jego obecnością, przestać myśleć o widmie...

---

#### XIV.

Po jednym z takich spotkań, Prot, który wrócił do domu nad wieczorem, zastał na stoliku w pokoju swoim leżący list, z kopertą stemplowaną z Warszawy. Więc był od «nich.» Nie blysnęły mu jednak oczy, jak dawniej, ilekroć list ze znajomym sobie charakterem «ich» pisma zobaczył, nie ujął gorączkowo za kopertę i nie rozcinał drżącą ręką, jak przedtem. Wolno przedarł papier i z zimną twarzą czytał:

«Najdroższy mój bracie!

Tyle czasu, tyle czasu, jak list Twój już odebrałam! Nie masz pojęcia, jak bardzo smutno mi, że Ci odpowiedzieć nie mogłam! Ale teraz, gdy już niebezpieczeństwo minęło, powiem Ci, jaka była przyczyna: oto prawie na drugi dzień po wysłaniu listu przez mamę zachorowałam

i wywiązał się niespodziany, nie wiem skąd spadły na mnie tyfus... Mama chciała pisać do Ciebie, byś przyjeżdżał, gdyż ze mną było już bardzo źle, i sama myślałam, że się przejadę na tamten świat... W chwilach przytomności grozą mi przejmowała ta myśl:—myśl: co się stanie z matką i Pawelkiem?...

Nie pozwoliłam, a raczej błagałam, by Cię nie zawiadamiano. Ty, taki wrażliwy i nerwowy, przejąłbyś się i sam może zdrowiem tę wiadomość przyplacił, a zresztą obowiązki Twoje Cię pochłaniają, najdroższy...

Tak więc list, za który Ci nawiasem bardzo, bardzo serdecznie dziękuję, przeczytałam dopiero w połowie choroby, gdy już przesilenie nastąpiło; na moje błagania doktor Bojasiński pozwolił. Ileż smutku, ileż smutku wieje z tych kartek Twoich! Rozbeczałam się nad listem i mama rozgniewana odebrała mi go, ale prosiłam, by zostawiła mi pod poduszką, — tak mi dobrze z nim!...

Nie niedobrego o sobie nie pisałeś, nie niepomyślnego nawet, a jednak czuję, że Ci coś dolega... Nie miej, nie miej tajemnic, najdroższy, nie staraj się ich mieć!... Pamiętaj, że bije dla Ciebie gorące, oddane Ci serce siostrzane...

Płakałam i nad tem, że mnie kochasz... Ile radości, ile szczęścia było w tym płaczu, Bogu dobremu wiadomo... Kochasz mnie, braciszku — prawda, kochasz Jadkę swoją... każdy wiersz mi mówił o tem... Boże, Boże, jakim ja szczęśliwa!»

Na jego nieruchomej twarzy nie odbiło się nic. Oczy patrzyły sztywno w kartki papieru, czoło zmarszczył, jakby pragnął skupić myśl, ciągle odrywana, na treści odczytywanego arkusza... Poprawił umbrelkę palące się lampy i, pochylony nad listem, kończył:

« ....Ale bo może Ty nie wiesz, jak ja ciągle myślę o Tobie! I chlubię się Tobą, dumna jestem z Ciebie... Kiedyś, dawno, widziałam się wypadkiem z Różańskim, z tym, pamiętasz, kolegą Twoim z seminaryum, — wysokim, szczupłym blondynem, trochę tak pochylonym?... Przyjechał na parę dni aż z Rzymu, bo w Rzymie teraz jest... Z jakim zaciekawieniem wypytywał o Ciebie: «cóż Prot, cóż Prot?» z jakim zapalem o Tobie opowiadał!... Rosłam z dumy, słysząc te pochwały, a w myśli mówiłam sobie cicho:

— To jest mój, mój, mój Prot!»

Nerwowym ruchem poprawił raz jeszcze umbrelki, w twarzy jego odmalowało się zniecierpliwienie. Przewrócił kartkę arkusza.

« ...Pawełek już w Warszawie, ściągnęła go tu mama. A Ty?... Kiedy my się zobaczymy — najdroższy?...

Leżę jeszcze i nie wstaję, gdyż wstać mi nie wolno. Głowę mi ostrzygli,—nie chciałbyś patrzeć na mnie, tak wyglądam! Ale wstanę już, wstanę niezadługo... Dzisiaj po raz pierwszy doktor pozwolił mi nabazgrać tych słów parę, to też piszę je w łóżku, koszlavo i nierówno... Pisz, pisz i obiecaj mi, że się zobaczymy niedługo... Mój drogi!»

Rzucił list na stół. Sztywnemi oczyma rozejrzał się naokół.

— Jadka chorowała, Jadka blizką śmierci była!—wołał w duszy jego głos dawnego Prota, głos brata kochającego — Jadka blizką śmierci była!—Ale głos to był głuchy, dziwny i bezdźwięczny: nie znajdował we wnętrzu tego, do którego szedł, odzywu, nie zabrzmiał mu nutą wzruszenia bezmiernego, zgasł cichy i posepny, słabym urywając dysonansem, jak dysonansem była teraz dusza tego...

— Jadka leży niedołączna, chora jeszcze, słaba i bezradna, a matka i Pawełek są pełni łez!...

Zgrzytnęły jeszcze kilka razy te głosy—lecz nie budziły już w nim wstrząśnień... Stał niemy, blady, cierpiący, a w myśli jego wił się i barwił



obraz cudny i inny zupełnie... Zapomniany, zagłębiany, zasłuchany w jego tęczową grę, usiłował przypomnieć sobie siłą woli: Jadka chora, Jadka do ciebie pisała!... lecz nie znajdował nic innego w oddźwięk słowom tym nad jakąś ogromną, bezwładną obojętność... Czarne oczy wpił w list; litery zaczęły skakać, mienić się, fałdować, poczęły drgać i burzyć się—i wyłoniły z siebie rysy czyjeś...

Wpatrywał się w te rysy z natężeniem—nie były to rysy Jadki... Po chwili uczyniły się wyraźniejszymi.

Wziął głowę w ręce i, pelen wizyi, szepnął:  
— Niuta, Niuta najdroższa!...

## XV.

¶ Nadszedł dzień oczekiwanego odpustu.

Był środek września. Cudna jesień, po dżdżystem i pod koniec dopiero nieco przejrzyjszym lecie, roztoczyła wszystkie wdzięki swoje... Była więc świeżość i suchość, woń i aromat, i złotość a pieśczoćliwość słońca, i chłodne, rzeźkie noce, jędrne poranki, a ciepłe dni... W powietrzu rozlał się balsam: atom każdy, przepojony zapachem zoranej ziemi, dojrzałością owoców i żenieniem obfitem stert siana i kup zboża, w kopce po polach ubitych, z wiehciami na obie sterczącymi, — drgał i falował, wnikać w nozdrza z osobliwym w napraszaniu się natręctwem...

Ciepło było i ładnie. Drzewa w ogrodach, w sadach i przy ogródkach chłopskich, pełne grusz, jablek i śliw, uginały gałęzie i stękały pod

owocodajnym ciężarem... Czasami, gdy wiatr wionął silniej, trzeszczały gałęzie, jakby wyginane, i żaliły się szumem, który od nich szedł...

A najpiękniej było koło Załomuńców... Jary, dolinki, zręby, wgłębienia i czeluście—wszystko to obrosłe dojrzałą, przejrzałą nawet trawą, zielonością rozmaita—pachniało...

Pachniało i durzyło w głowie. Chojaki w zagajnikach aż tryskały aromatem żywicy, która na drzewach starszych spływała miejscami obficie... Kielichy kwiatów, otwierając się, wyłaniały z siebie mocną, przejmującą woń roślinną, a badyle i chwasty różne, barwne i ponętne na oko, jakby zazdroszcząc kwiatom, walczyły z nimi o pierwszeństwo...

A gdy wszedłeś na którą z gór pagórkowatych, pomarszczonych, z grzbietem pochyłym i jakby owalnym, przygniecionym gdzieniegdzie kupami całymi kamieni łomnych, albo zgoła zrębami poszczerbionymi, na górę hardą i strzeliłą—no, wtedy dopiero poczułeś prawdziwą jesień, tę jesień, która jest uwieńczeniem lata, a początkiem hymnu, śpiewanego przez przyrodę na cześć doszłego do zenitu rozkwitu...

Więc wdzierałeś się ścieżynką, wijącą się między chojakami, okapanymi kroplistą rosą, którą słońce wypijało... Chojaki wyciągały smu-

kłe swe wieloręczne ramiona i kłaniały się w takt wiatru... Gdzieniedzie obmotała cię pajęczyna, jeżeliś zboczył z dróżki, by się przebić przez gąszcz... Na polankach, tu i ówdzie spotykanych, malowały się kwiaty, a była ich moc... Różnobarwne: białe, żółte, różowe, niebieskie, lilijowe, granatowe, czerwone i ognisto-purpurowe... Złociły się trawy, muskając kiścieniami... Wiele, dojrzałych nad miarę, strzepywało nasienie, zapładniając niem ziemię na rok przyszły... Motyle latały... Ptaki, zrywając się gęsto, świegotwały po kryjówkach... Biła zieleń, bił aromat...

Aż oto wszedłeś na polanę, szerszą od innych i pełniejszą, zda się już u szczytu położoną... Kupy kamieni, jakby po niedawno rozsyanym piecu wapiennym pozostałe, wały się naokół... Jakieś półko widniało... Na porębie, niedawno wyciętej, leśnik zasadził warzywo. Zbliżyłeś się, aż oto niespodzianie wyszczerzył się ku tobie strach, a strach był jak żywy... Na kiju, oplecionym słomą, owiniętym i opchanym szmatami, to znów gałganami, wisiała podarta, zmięta, stara siermiega... Na łbie strach miał kapelusz, rudy jak rdza, dziurami swemi świecił i wyszczerzał je, jak nieboszczyk zęby...

Pyszny to był strach! Wróble uciekały od niego, myśląc, że on żyje, a on udawał człowieka

i śmiał się a śmiał... Słońce go prażyło — nie dbał o to, był tu panem... Głupie wróble!

A tuż za półkiem w bok rozpostarły się gestwy całe krzaków jeżynowych... Kolczate były i harde: gdyś chciał uszczknąć im owocu, wnet pokłuły cię zdradnie; nieprzystępne były i dla śmiałka wrogie. A jeżyny wabiły niebieszcą, nie, pysznym granatem swoim—i świeciły, i zwiślały pełne, dojrzałe, i kusily...

Szedłeś w gąszcz i rwałeś je... A gdy miałeś dość już i ściężyny, i chojaków, i starych jodeł a sosen, i wysokopiennych a gładkich modrzewi, tak miękkich jak jedwab w dotyku, i polany, i jeżyn i słońca, — wtedy kładłeś się pod krzakiem, czyniąc łożę z trawy i chroniąc się gałęzią chojaka od zbyt natarczywego blasku, wpatrywałeś się w jasne przezrocze niebieskie, wchłaniałeś balsam, lecący zewsząd—i rozradowany wołałeś w duszy:

— Hej! jesień, jesień, jesień!...

Taką to jesienią odbywał się w Załomuńcach odpust. Już od ranka samego, od najwcześniejszych godzin przedpołudnia, poczęły ciągnąć do Załomuńców roje... Gdzieś okiem rzucił—same chłopstwo i baby, strojni, odświętnie ubrani, wy-

szychowani i na blichtr uświechtani, okutani w co tylko kto miał najparadniejszego, najpiękniejszego i najwystawniejszego...

Więc szły baby w wysokich, sztywnych, w krygi wykręcanych butach, uczernionych szwarcem, jak smoła czarnym, spódnicami czerwonymi, niebieskimi, albo granatowymi, w pasy różne przerabianemi, zamasyście wstrząsając... Kaftany miały niebieskie: dychtowne i z «masteryi» «fest» wyszykowane... Na głowach czepce białe, krygowane, rurkowane, w oczkowane falbanki przystrojone, pod brodą ogromnemi kokardami poupinane...

Chłopi też byli zamasyści. Co starszy—każdy w sukmanie, wyszywanej nicią i sznurkami, pasem szerokim nabijanym spięty. Buty duże cholewiaste, z obcasami wysokimi, podbityni podkówkami... Na głowie czapka, albo kapelusz z pawiem piórem... Chłopaki w spencerkach, błyszczący od tłuszczu, którym włosy wysmarowali, z wąsikami w górę podkreconymi, postukując, pośpiewując i poklaskując — szli... Niektórzy z nich, postępowcy, albo ci, których stać na spencery i sukmanki nie było, ciągnęli z miejsca, niejedni dumny z cywilizowanego stroju... Ale marnie wyglądali, — dziw, jak nie pasowały do ich ogorzałych, dzielnych twarzy te ubrania

szare, mdłe i jednostajne... Niejeden z gospodarzy, tych stateczniejszych, spluwał, mówiąc przez zęby:

— Psubraty!... Jak-ci to pokraki wyglądają! Ubierze się taki syn w kapocisko, czapkę na łeb wdział i już choćby do tańca, a jakże! Eh, kapcany! Żeby ino mniej mądrowali, a stary obyczaj więcej uważali... Panu Bogu tylko na obrazę i tyło!

— Kumie, taki już teraz rozum nastal?... Wej, powiadają, co tylko durnie w sukmanach chadzają!

— A żeby ich, takich psubratów, cholera wytlukła!

A najkrańsze, najładniejsze i najwabniejsze były dziewczyny... Szły rozsypane gromadkami, to z przodu, to z tyłu, to znowu w środku zachodząc, otoczone chłopakami, śmiejące się, przekomarzające, wesole, przekorne a przylepne zarazem... Biła od nich luna: wystrojone, pełne wabiu i pokusy, chichotały i rozmawiały głośno. A każda wyszykowana była inaczej, każda mieniła się dziesiątkami różnych barw, każda błyszcziała...

Młodziutki spleły włosy w warkocze, przewijając je mnóstwem wstążek i uplatając kokardami, a wstążki te spływały aż na plecy... Gor-

sety miały przetykane i haftowane, białe koszule się z nich wychylały, odsłaniając młode, jędrne, złotawe piersi... Spódnice różnokolorowe, krótsze niżeli u bab, we włosy wpięte kwiaty, a na szyjach sznury całe pereł z jarmarku i kraśnych, rumianych koralii...

Te szły, śpiewając cienko, czasami piskliwio i śmiały się a gwarzyły!... Jeszcze się do nich parobcy bardzo nie brali... Ale za to do starszych,—no, te swywoiliły z chłopcami i dokazywały! Większa część z pośród nich miała chustki na głowach, niezupełnie jednak na czoło nasunięte, a włosy spięte... Gorsetów nie nosiły, tylko kaftany, przeważnie niebieskie, a szyję paciorkami stroiły... Tak jak i baby, buty miały długie, niektóre jednak, elegantki, szły w niskich, sznurowanych... Wiele z nich, żałując odświętnego obuwia, zdejmowało je, przewieszając ciężmy przez plecy i idąc bosy, przy Załomuńcach dopiero znowu je wdziewając...

A ile było wozów! Jechały zwyczajne drabiniaste, wasagi, a nawet migwały bryczki... Wiele było umajonych,—wszystkie pełne bab krzykliwych, chłopów-sensatów i wesołej a swawolnej młodzieży. Mijały piesznych, a co który wóz przejechał, wnet witano się zobopólnie pochwalonym i czyniono wzajemnie moc uwag o sobie.



Rojna i ożywiona była droga. Z pomniejszych, które do niej ściągały, nadchodzili coraz nowi wędrownicy, i zlewając się z idącymi, powiększali łańcuch hałaśliwy, szumiący i warczący jak rzeka...

A tumany kurzu podnosiły się co chwila, opadając wkrótce i pokrywając idących białym, drapiącym w piersiach pyłem. Nieznośny to był dodatek i przykry...

A wozy i wasągi jechały i jechały, chłopcy na nich pokrzykiwali a pokrzykiwali i pomimo kurzu, pomimo gorąca, pomimo drogi dalekiej a zmudnej, śpieszyli wszyscy — radzi, weseli, z węzłkami pod pachą, z groszakami i złotówkami, za pazuchą lub cholewą ukrytymi, pełni rozkosznych o czekających ich przyjemnościach odpustowych myśli, o ruchu, zgiełku, gwarze i wrzawie, o krzykach, targach, libacyach, rozmowach, spotkaniach, zabawie i wielu, wielu trudnych na razie nawet do wymienienia szczegółach i uciechach...

Najmniej chyba myślano tylko o głównym celu wyprawy i obchodu—o modlitwie i skupieniu ducha...

Ale bo któż idzie na odpust, żeby nie znaleźć tam zabawy?

---

W Załomuńcach wrzało jak w ulu... Już też tłok był, tłok i ścisk koło kościoła, na cmentarzu, przy ogrodzeniu i za ogrodzeniem. Wieś cała zapchana była wozami, końmi, mnóstwem ludu z okolicy i wszelaką inną różnością... Karczma, choć to było przed nabożeństwem, trzęsła się od masy całej kumotrów, kumoszek i kumoniątek nawet, co krok snuli się ludzie ciekawi, gapiący się i gwarliwi, nieśmiejący jednak jeszcze zaczynać otwartych targów...

Na probostwie też był ruch. Chwalkiewicz, w paradną, od świeżości błyszczącą sutannę ustrojony, witał miłych gości z miną uroczystą i świąteczną... Na kilka dni przed odpustem porozpisywał listy do księży w okolicy, uprzejmie zapraszając ich na obchód... Spodziewał się więc zjazdu dość licznego, kilku jednak skrewiło... Nie martwił się tem zresztą zbytnio...

Najpierwszy przybył Chociemski ze Skolomowa, dawno już z Chwalkiewiczem po owej awanturze pogodzony. Z nim przybył i Prostkowski. Ten był wesół i kontent z okazji do rozerwania «hamletowskich» myśli, jaką mu odpust nastrecał. Zdołał on już obecnego zwierzchnika swego opanować zupełnie i nieraz Chociemski, dając na coś odpowiedź, automatycznie zwracał się do Prostkowskiego z zapytaniem:

— Prostkowski, czy nie tak?...

— Tak!—uroczyście zapewniał wikary.

Prawie równocześnie z Chociemskim i Prostkowskim zjawił się i tłusty, monstrualnie tłusty proboszcz z Chęciszan, własności kwadratowych Muellerów, wraz z pomocnikiem swoim, młodzieńcem księdzem Fabiszewskim... Ksiądz Fabiszewski z długimi blond włosami, z misternie wygolonym na czaszce krążkiem, z twarzą anioła, białą, mleczną i dziewiczą, a oczyma skończonego szelmy i łotra, przedstawiał się dosyć niewyraźnie. Księżyk ten, wiecznie zaczynający każdą odpowiedź od sakramentalnych swoich: «o ile sądzić śmiem...» a zadający pytania nieinaczej, jak: «jeżeli wolno mi...»—w dwulicowej swojej twarzy starannie zda się ukrywał wszelkie ślady mogącej się tam odbić myśli... Bał się, by mu ktokolwiek płodu mózgu z oblicza nie wyczytał: nie na rękę podobno jest być otwartym!

Młodzieniaszek ten był dość lubianym, jako skromne i zgodne nad wyraz indywiduum... Zdefiniowana zaś o nim opinia brzmiała zazwyczaj tak:

— Nie utonie ten Fabek, bo będzie wisiał!

I teraz, zeskokczywszy z bryczki, podleciał ze zwykłą sobie gracyą, uśmiechnięty, do Chwał-

kiewicz i jał mu prawić dusery. Pomógł również wysiąść swemu ciężko opasłemu zwierzchnikowi i wołał:

— Odpust, odpust! No, nie będzie nigdzie prędko takiego, na jaki się ten zanosil!..

Poczem, robiąc anielską twarz, dodał:

— Kto ma takie imię, jak ksiądz Chwalkiewicz...

Złożył ręce na piersiach, oczy podniósł do nieba i pozostał w ekstazie.

Chwalkiewicz spuścił wzrok.

— To tylko się robi, co sumienie nakazuje— odparł z chwytającą za serce skromnością.

Ale gruby proboszcz z Chęciszan nie aprobował takiego powitania. Chrypliwym jak stara katarynka głosem, czerwona szyją trzęsąc, zaśmiał się:

— Che, che, che!... Żeby tak, panie tego, przetrącić... ee, coś, no, tego...

— Proboszczuniu, jeszcze msze nie odprawione! — napomknął dyskretnie przyciszonym głosem Fabiszewski.

— Aha! — mruknął zdetonowany tłusciuch.— Do dyaska, zapomniałem o tem!

Chwalkiewicz prowadził duchownych gości wprost do kościoła, gdzie zasiadali w konfesjonałach i na krzesłach, by spowiadać lud, który się tłumnie garnać począł. Prostkowski wybrał

kąt jakiś szary, i zasiadłszy tam na wyplatanem krzeselku, począł spowiadać dziewczki, chłopów odganiając do Chociemskiego i tłustego proboszcza z Chęciszan. Hoże i zdrowe Kaśki i Maryśki nie ociagały się zbytnio i wkrótce ksiądz Prostkowski był już przez różnobarwną pleć słabą obleżony.

Niebawem jednak uczynił mu konkurencyę anielski Fabiszewski, lokując się ze swem krzeselkiem naprzeciw niego. W mig i przy nim pełno już było dziewczuch—to też Prostkowski, zły, posłał mu przez wydęte wargi grymas niezadowolonia, jakby pytając go:

— Po coś tu wjechał ze swem krzeselkiem?

Tymczasem Chwalkiewicz witał nowoprzybywającego. A był to Pilczycki, ogromnej, herculesowej budowy ksiądz, administrator oddalonej cokolwiek stąd parafii Lutry Małe, eks-dragon i eks-obywatel, w ostatku duchowny, człek niezmiernie jowialny, dowcipny, rubaszny, sypiący co minuta konceptami, kawalarz, jakich mało. Do picia zaś był taki, że nikt się z nim równać nie mógł, a Kobuza, który razu jednego się założył, że go przetrzyma, w trzy kwadransy leżał już jak nieżywy pod stołem, czkając we śnie, gdy Pilczycki w najlepsze odkorkowywał nową

butelkę, zabierając się do opowiadania setnej z rzędu anegdotki.

Był przytem bardzo uczynnym i, co rzadsze, bardzo miłosiernym. Chłopi go też kochali i mawiali często:

— Nas Pilas je prędko, ale syrcie u niego dycht złote!

Ksiądz Pileczycki lubił też i Prot. To też gdy mu dano znać, że przyjechał, wyszedł go witać, dotychczas był bowiem zajęty w kościele spowiedzią. Powitali się jak dwaj sympatyzujący z sobą ludzie, a Pileczycki zaraz go wziął na stronę i zaczął fukać:

— Czy się tak godzi? czy tak można?... Kiedyż nareszcie ujrzę was u siebie, kolego? kiedy wybieriecie się do Małych Lutrów? Wstyd, wstyd tak się zadomowić!

Ksiądz Prot uściskał rękę pocziwca, ale nie odrzekł nic. Twarz jego była smutna, znękana jakoś, wychudła i poważna. Ani śladu w nim nie było z wesołości odpustowej... Pileczycki spojrział na niego uważnie. W oczach tego ekstragona, eks-obywatela i księdza-birbanta odmałowała się szczerza życzliwość i troska.

— Gryzie go coś!—pomyślał.

— Czy wam co dolega, księżę Procie?—zagadnął cicho, z delikatnością, która w nim dziwnie uderzała.—Czy wam co jest?

— Nic mi nie jest—odrzekł głucho Prot, starając się nadać swej fizyognomii weselszy wyraz,—nic mi nie jest! Bóg zapłać za życzliwość!

Piłczycki krzepko uścisnął jego dłoń.

A tymczasem przyjechał i Kobuza i zaraz z punktu zaczął wołać:

— Hej, Chwalkiewicz, kupa gości do ciebie dmie! Widziałem na drodze i burmistrza ze Skolomowa, i aptekarza, i doktora, i nawet sekretarza z kancelaryi! Jedzie też i pan Zaliwiński i pan Horodyski człapie bułankami! Ale ich wszystkich wyprzedził, bo to, wiesz, niema, jak moja kasztanka i gniady... Setne konie! Pan Horodyski wołał i zapraszał do kompanii, ale nie głupi! Wyścignąłem ich nie bez satysfakcyi, że to takie ciemięgi, i tylko się kłaniałem: moje uszanowanie! Burmistrza aż podnosiło, kiedym go wymijał... Kazał zacinać swoje, ale niewiele baba pomoże, jak chłop już nie może; to też i jego zacinać psu na budę się zdało! W dwa pacierze obłok tylko po mnie widział, che, che!...

Śmiał się i, wchodząc na plebanie, opowiadał coś jeszcze... Z Piłczyckim przywitał się, palnawszy jakiś dowcip na temat bajeczki o wyso-

konogiej czapli, z Protem, jak zwykle—oziębło. Chwalkiewicz tymczasem, kręcąc się niespokojnie i poglądając na zegarek, mruzczał:

— Już późno, a Mielewskiego jeszcze niema... Co to może być? Obiecał na pewno. Ma przecież kazanie mówić!

— Co znowu! przyjedzie!—odparł Kobuza.— No, a jak nie przyjedzie, to ty palniesz!

— Ja? — oburzył się Chwalkiewicz—ja? bez przygotowania?

— Wielkie rzeczy!—odparł Kobuza.—No, to ksiądz Pileczycki powie!

— Nie umiem tak na poczekaniu — odparł mniej niż zwykle ożywiony Pileczycki.

— To poślij w takim razie do Prostkowskiego—rzekł, zwracając się do Chwalkiewicza, Kobuza: — ten macha *ex promptu*, bez zająknienia.

Chwalkiewicz jednak czekał na Mielewskiego. Pileczycki i Kobuza udali się do kościoła i wyszli wkrótce z wotywami.

Wreszcie zaturkotało, zahuczało, zadudniało i przed plebanią zaczęły zajeżdżać bryczki jedna po drugiej. Były rozmaitego kalibru, gatunku i wielkości. Poczęły wysypywać się z nich figury długie, chude, to znów pękate i okrągłe, małe, duże, wysokie i niskie, rumiane i blade... Przyjechał burmistrz zmęczonymi i zgrzanymi



końmi: na nic nie zdał się wyścig z Kobuzą. Już na wstępie zaczął piorunować na złą drogę i fatalne gorąco. Wreszcie wytoczył się z bryczki i jęli prawić sobie z Chwalkiewiczem grzeczności. Potem wysiadł sekretarz, dalej zajechali: łysy jak kolano doktor i szepleniący aptekarz z rudą brodą, a wreszcie pan Zaliwiński i pan Horodyski, każdy najtyczanką, na jajecznicowaty kolor wymalowaną. Ksiądz Prot poglądał na nich obojętnie, sztywno się z nimi witając. Mało ich znał...

Pan Zaliwiński począł coś mówić o Dobrozackim z Klonowic, lecz Horodyski mu przerwał, zarzucając niedokładność. Zaczęli się sprzeczać i ostatecznie według «najlepszych źródeł» dowiedziano się, że Dobrozacki w kościele nie będzie, bo chory. Zjawił się wreszcie tak bardzo oczekiwany ksiądz Mielewski. Był to wysoki, chudy kapłan, niemłody już i jakby trochę zgarbiony. Włosy miał siwiejące i sztywne, nieco szczotkowate, twarz zwiędłą i plamistą, oczy wpadnięte, chłodne, ale z przejmującym w nich wyrazem. Ręce suche i kościste drgały mu, głos był urywany, przytłumiony, dość jednak wyraźny. W całej postaci przebijało jakby zmęczenie, rozdrażnienie, wielka nerwowość. Prot po raz pierwszy go widział. Przedstawiono go

Mielewskiemu, który nie cieszył się między szerszym duchowieństwem sympatją. Uważano go za dziwaka, zbyt surowego i mistyka. To ostatnie szczególnie zarzucano mu najchętniej.

Prot uściskał dłoń jego i wpatrywał się w tego człowieka, dla którego niechętnie o nim słuchy już go dobrze uprzedziły...

Przez chwilę stali tak milczący. Oczy swe, zarówno głębokie, dziwne i przejmujące, utkwili w siebie, zda się badali się... Prota wzrok był podniecony jakiś i przytem jakby niezmiernie zimny, co stanowiło uderzający kontrast,—Mielewskiego przenikliwy, ostry, pytający... Po chwili złagodniał ten wzrok: stał się mniej ostrym i przychylniejszym, szerszym...

Mielewski oddał mu uścisk i powoli go po chwili raz jeszcze.

— Rad bardzo jestem z tej znajomości — przemówił dobitnym głosem, lecz bez afektacyi

Miał przed sobą kapłana, o którym wiele słyszał potwarzy, o którym często, nie wiadomo czemu, myślał bezwiednie.

Prota to wstrząsnęło.

— Czego ci ludzie okazują mi życzliwość? co ja mam z nimi wspólnego?—myślał.

W tym głosie duszy był ból, rozdrażnienie. żal...

. . . . .

Kończyły się wotywy, wszyscy już prawie byli w kościele, niezadługo miała się zacząć suma.

Do ogrodzenia napływały coraz większe fale ludu. Rozsiadano się pod murem; kto nie mógł dotoczyć się do kościoła, chronił się pod cień lip cmentarnych; kto zaś i cienia już nie uchwycił, wystawiał głowę na słońce... Ale chłopskie czaszki twarde są i głowy do słońca nawykłe...

Malowniczymi grupami rozsiadli, to klęczący, to stojący — roje całe dziewczyn, bab i mężczyzn, przeplatane wiankami dzieci, a nawet niemowląt, modlące się na wielkich, wytłuszczonych księgach, to znów przebierające paciorki różańca, całujące mosiężne i drewniane krzyżyki, wdychające, wymawiające słowa modlitwy szybko, urywanie, to znów powoli i jękliwie, ze smutną prośbą o chleb, albo głośnym wdychaniem o zdrowie, egoistyczne w swych pożądaniach, — w fali słońca, uwypuklone jego promieniami, pełne ostrych kontrastów, płam i załamania światłocieni,—roje te świeże były, odrębne i oryginalne, charakterystyczne w swem bezwiednem upozowaniu, różnobarwne i przyciągające dla oka...

Za murem i tuż przy murze stały kramy z krzyżykami, z medalikami, paciorkami, z taniemi pobożnemi książeczkami, z różańcami,

z obrazkami świętymi, z wizerunkami Męki Pańskiej, z podobiznami Matki Boskiej, pamiątkami z różnych pielgrzymich miejsc... Dużo tego było, a wszystko obfite i różnorodne. Ludzie kupili się, przepytawali i nabywali... Wrzaskliwym głosem zapraszała baba, ufając w powagę handlarki, kupczącej poświęcanym towarem... Kobiety piskliwie i przeraźliwie dopytywały o ceny i targowały... A całe legiony żebraków, chłopów zdrowych, udających kaleków—oszustów, lub też kalekich naprawdę, pokazując swe rany, obnażając się i wystawiając kalectwo na pokaz, jeden przez drugiego na przód się wysuwając, klócąc się, bijąc o miejsce i wymyślając sobie,—zarazem płaczliwym, nosowym, a machinalnym głosem klepali Ojczyznę i Zdrowaśki, spekulując modlitwą... Nawoływali zgrzytliwą skalą dysonansów o jałmużnę, przemocą nieledwie wyprasząc grosz... Twarze ich były znędzniałe, skóra pomarszczona i obrosnięta, odsłonięte na piersiach ciało brudne i pobródzone, włosy rozwichrzone i pomierzwione, postacie całe w strzępach i łachmanach... Pełno było przy nich kul, kijów i toreb; rudymi i pomiętymi kapeluszami machali, chcąc zwrócić na siebie uwagę...

Baby - żebraczki współzawodniczyły z nimi—i gdy żebrak ubiegł którąkolwiek z nich, głośna klątwa się rozlegała... Walczono o utrzymanie

. Ulicą zaś jedną, drugą, dziesiątą i dalej ku placykowi, niby rynkowi, ciągnęły się kramy i budy jarmarczne...

Czego tam nie było!

I koraliki, i szpilki, i tasiemki, i guziki, flanele, barchany, płótna, czepece, spódnice i trzewiki, czapki, ubrania całe, baty, rzemienie, uprząż, smary, czernidło, naczynia gliniane i statki drewniane, oraz żelazne polewane, i pierniki a prażuchy, ciastka, cukierki, karmelki, makagigi — wszystko, wszystko, o czem tylko zamaryżyć i czego tylko zapragnąć może dusza gospodarska-męska, kobieca i dziecięca, — wszystko, do czego wzdychali oni wszyscy, co tylko nie postanowili kupić, na co tylko się zdecydowali...

Oskoma brała i ślina do gęby płynęła, patrząc na to; ale trzeba ją było połykać do czasu i oblizywać się, bo nie pora jeszcze była przepatrywać, oglądać, dotykać, ważyć w rękach, targować się, klócić i nareszcie kupić... Do czasu... Za niedługą godzinę, półtorej, za czas niejaki, wszystkie te wamie będą stały otworem...

I choć ślina do gęby cieknie i w wnętrznościach aż przypieka, by choć zajrzeć, choć popatrzeć i dotknąć się czegokolwiek,—poczekać wypada, poczekać należy...

Wotywy się kończą, księża już w kościele, albo w zakrystyi szykują się do wystąpienia, a i państwa już wiele. Trzeba się modlić!... A nie-  
długo pewnie już i suma się zacznie...

. . . . .  
Ksiądz Prot siedział w swym pokoju. Pod pierwszym pozorem, który mu się nadarzył, uciekł z kościoła, by się schronić tu choć na chwilę...

Był wzburzony, podniecony i rozdrażniony. Dzień ten męczył go niewymownie, przyczyniając mu cierpienia, którego i tak miał dosyć... Przytem gniewało go wszystko: wydawało mu się płaskiem, nędznem, głupiem, lichą komedią, odgrywaną gwoli rozrywce tłumów, polem popisów dla Chwałkiewiczów i jemu podobnych...

— Wstrętni, obrzydliwi!...—myślał—wszyscy, wszyscy, wszyscy!... I ja tak długo wśród nich przebywałem, tak nieskończenie długo grałem ich lichą, marną komedię...

Śmiał się w duszy, a śmiech ten, jakby z echem, spotykał się w nim samym z szyderstwem, a czasem jakby ze skargą cichą...

Mysł jego była pochłonięta. Te refleksye budziły się w nim chwilowo, by ustępować natarczywemu pytaniu:

— Czemu Niuta nie przyjeżdża?...

Tak, miała przyjechać kochana i widokiem swym zagłuszyć wrażenia, które ludzie i rzeczy w nim budziły...

Obiecała być. Obiecała na pewno.

Czemuż nie przyjeżdża?

Sięgnął pamięcią wstecz... O, jakież rozkoszne, jak cudowne dla siebie wspomnienie wy dobył!

Stojąc, oparł się o ścianę, przymrużył oczy... Pragnął, by mu żaden szczegół nie uleciał... Skupił władze mózgu, zapomniał o wszystkim, co go nurtowało, i upojony, zagłębił się w obraz...

A roztoczył się pełny, silny, żywy, jakby rzeczywistość raz jeszcze powtórzona; niebrak w nim było szczegółów najdrobniejszych, najmniejszych, najmniej nawet uchwytnych...

Kilka to dni zaledwie, jak się stało szczęście jego... Wzburzony, rozgorączkowany, nie mógł od tej chwili myśleć o czem innym, pochłaniało go to wspomnienie, we śnie i na jawie widział ten moment wciąż...

Oto był Dębów, pałac dębowski, w tym pałacu on, przybyły z wizytą, ona, jej ojciec i Francuzka. Długo rozmawiano ogólnie i bardzo banalnie. Siedział jak na mękach, podniecony, walczący z sobą, palony niepokojem...

Francuzka gdzieś się ulotniła. Skomorowski, mający dość rozmowy, począł namawiać na partycję szachów, w które grał z precyzyą. Prot jednak się nie zgadzał, tłómacząc zmęczeniem umysłowem. Wreszcie, wezwany przez lokaja, wyniósł się Skomorowski na chwilę dla załatwienia jakiejś sprawy w kancelaryi. Zostali więc sami.

Piekło go, na policzki wystąpił mu rumieniec. Pragnął skorzystać z tej chwili i uczynić koniec, a raczej nowy początek męki.

Patrzała wzajem na niego: oczy miała rozszerzone, a w nich jakby lęk, jakby oczekiwanie, jakby błysk... Przekłęta chwila!... Nie rzekł nic: słowa uwięzły mu w gardle. Zbladł, szcerwieśniał znowu i zsiniał wreszcie.

Ona, jakby czując, że coś między nimi ma zajść, coś się stać, co może jest wstrząsającym—pochylona, z oczyma w niego wlepionemi, jakby odretwiała i bez ruchu, z wargami odchyłonemi, z których zalatywał go ciepły jej, ciężki oddech, czekała... Potem drgnęła, zmieniła się na twarzy, bledniejąc również... Serce poczęło bić jej przyśpieszenie; jakby tłumiąc je, przycisnęła rękę do piersi... Jeszcze chwilę tak patrzała, potem pokrywając zmieszanie, wzięła album do ręki i poczęła na pozór przeglądać umieszczone tam



ryciny... Przez myśl przemknęło jej, że może i lepiej, iż nic między nimi nie zaszło.

Wreszcie on wyszeptał tylko te słowa:

— Za cztery dni odpust... Pani będzie na odpuszcie?

Słowa grzęzły mu w gardle i dławily go. Coś jakby mu zatykało usta, wargom swobodę poruszeń odejmując... Był pod wrażeniem listu od Jadki, a jednak tęsknił, tęsknił do anioła, którego miał przed sobą... Bładł coraz bardziej, aż wreszcie stał się jak kreda białym—zdawało się, iż chce, że pragnie coś jeszcze powiedzieć, drgając jednak usta wymówiły posłuszeństwo.

— Tak, będę — odszepnęła mu, nie wiedząc, dlaczego tak proste słowa równie dziwnie zabrzmiały...

Ale nim minął jego paroksyzm, już wrócił Skomorowski. Trzeba było udać, że się oglądało album, a rozmawia o zamieszczonych tam widokach...

Spojrzał nienawistnie na intruza: ten był wesół i uśmiechnięty, w głowie nie postalo mu najmniejsze podejrzenie...

Prot zaproponował przechadzkę po parku. Wieczór nadchodzący był śliczny i świeży, rzeźkość biła w powietrzu. Skomorowski chętnie

się zgodził towarzyszyć—i wkrótce w towarzystwie jego i odnalezionej Francuzki wyruszone.

Wprędce jednak zręcznymi manewrami przyniewolił Prot Skomorowskiego do poprzestania na towarzystwie mamzeli, z którą ten stanowił aryergardę... Po kwadransie takiej przechadzki, pod pretekstem obejrzenia jakiejś lipy, rosnącej w dalekiej dosyć bocznej alei, oddalił się Prot z panną, zostawiając Skomorowskiego z Francuzką na jednej z biało malowanych ławek głównej alei.

Stała tam naprzeciw figura Apollina Belwederskiego. Wesoly pan Skomorowski, gwoli skrócenia czasu i nienudzenia się w oczekiwaniu na oddalającą się parę, z którą nie miał ochoty zapuszczać się tak daleko po rosie dla obejrzenia marnej jakiejś lipy, jał siedzącej obok siebie, zatrzymanej dla kompanii Elizie wyszczególniać piękności obnażonego Apolla, co ona przyjmowała z nietajoną drażliwością i pruderyą...

A tymczasem Prot znikł z panną na zakręcie. Długą chwilę szli milczący, niemi, aż doszli do lipy. Cisza tam była grobowa, śmiertelna, niczem nieprzerywana—rzekłbyś nikt nigdy tu nie zachodził, nikt nigdy nie zaglądał. Ni dźwięku z pałacu nie usłyszałeś, ni odgłosu ze wsi... Cicho...

Panna stanęła, uderzona tą ciszą. Mrok zapadał, ale spływał powoli... Drzewa, co tu stały, krzaki, kłębiące się po stronach, powijając się w tę mgłę mroczną, wybijały z niej coraz niewyraźniejsze swe kontury... Wszystko powoli ogarniała szarzyzna.

Wsparła rękę na drzewie, spojrzała na niego...

Stał zmieniony, poważny.

Drżąc bezwiednie, zapytała:

— Pan chciał mi tę lipę pokazać?...

Wtedy jakby się przemógł. Podszedł błyskawicznie do niej, i porywając jej dłonie, przemówił z uniesieniem:

— Nie... Chciałem pani powiedzieć tylko, że... panią kocham bez pamięci!...

A gdy ona stała odurzona tem, co usłyszała, choć przecuciem wiedziała, co jej ma powiedzieć, bezwładnych mu nie wrywając rąk, on powtórzył przyduszenie, urywanie, namiętnie:

— Bez pamięci! Słyszysz pani... bez pamięci! bez pamięci!...

I w oczach jego zamigotał jakby bezbrzeżny ból, wyraz męki i niesłychana, niepojęta radość zarazem...

— Po co mi pan to mówi?—wyszeptala zbiełalami wargami, wyjmując łagodnie ręce swe z jego rąk—po co mi pan to mówi?...

Wtedy duszą jego wstrząsło piekło, serce objął straszny żal...

Jakto? więc mylił się, więc ludził się, źle postrzegal? Więc ona nic nie miała mu do dania nad znajomość?...

Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!

Walczył z sobą mgnienie, schował jednak ten śmiech dla siebie i zapytał zmienionym głosem:

— Czy pani nic nie ma dla mnie... innego?...

Ostatnie dźwięki zamierały mu w gardle prawie niedosłyszalnie. Patrzył, wyteżywszy na nią wzrok, cierpiąc nad miarę w tej ciężkiej chwili oczekiwania...

Ale i ona miała dosyć już męki, cierpienia, milczenia i ukrywania... Zadrżała, jak drży kwiat ze szczęścia, gdy zefir go całuje... Przez ciało jej przeleciała fala cieplej krwi, duszę objęła słodka niemoc... Jeszcze słuchała—zda się, że szeptał; ale on nie mówił już nic: stał błydy koło niej i czekał z wyteżeniem odpowiedzi... W mdłym świetle ujrzała, jak nabrzmiwa jego czoło, jak pod skórą sieć żyłek i nitek się zaczerwieniła, jak tłumiąc oddech, wpatruje się w nią, w słuch cały zamieniony, z zamierającym niepokojem oczekiwania...

Poczuła się jego, bezmiernie, nieskończenie jego, jemu tylko oddaną, całą, całą jego!...

Słodki spazm szczęścia objął ją... Dziękowała, że przeczuwane przez nią wyznanie prawdą było, że on je wymówił. Pragnęła żyć dla niego...

I już nie było w niej pychy żadnej i dumy. Została tylko Niuta Skomorowska—kobieta.

Rzuciła mu się na szyję i objęła go białemi rękoma swemi.

— Procie mój! Kocham cię, kocham, kocham!...—szeptala.

Shczęście jej życia się spełniło: należała do umiłowanego mężczyzny.

A on wtedy pochwycił ją silnie, i przytulwszy do piersi, począł szukać ustami jej twarzy— a znalazłszy zbladłe jej jagody, jął pokrywać je pocałunkami i wargami wypijać wilgoć z jej oczów... Tak pozostali chwilę, uściskiem miłosnym złączeni, sobie tylko oddani... Potem ona wyszeptala:

— Pójdź za mną i nie opuszczaj, nie porzuć, aż do śmierci...

Przycisnął ją silnie do siebie i począł znowu całować twarz jej, oczy, włosy, szyję—i wreszcie wpiwszy swe usta w jej usta, odpowiedział:

— Pójdę...

Na dźwięk tego słowa podjęła głowę swą z piersi jego, i patrząc na niego, wybuchnęła głosem płaczu i radości pełnym:

— Najdroższy mój!...

Wtedy z przytuloną do siebie kobietą, pełen mocy i postanowienia, podniecony, wzburzony, odrzekł przerywanym, drgającym głosem:

— Jestem wolny... Pójdę z tobą, aniele mój, światło moje, świecie mój!... Zrzucę nienawistne pęta... niech zetrą oleje, niech zedrą suknie księżce... i zostanę dla ciebie tylko, tylko dla ciebie!...

Ostatnie słowa wymówił z błyskiem w oczach, jakby z nienawiścią dla tego wszystkiego, co było przyczyną jego męki, co go nieprzebytym murem od kochanki dzieliło... I mówił zarazem z szalem miłości dla niej, z najśłodsza o niej myślą... Zakończył walkę z sobą, przemógł się i przełamał, przestąpił piekielny, targający trzewiami i mózgiem Rubikon...

Zdało mu się, że jest wolnym.

Na jego zgiętej i kurczącej się twarzy malowały się namiętność i wściekła walka, którą przebył... Były na niej i wzruszenia wszystkich chwil od jej poznania, i ognie, co go paliły, i bezsenne, strawione na rozmyślaniach wieczory i noce, marzenia gorączkowe i dysputy pół-dzikie z sobą, przyływ i odpływ, nie brakło ni jednej przebytej męki... Twarz była wynędzniała, jakby strawiona, pożółkła, oczy ją tylko ożywiały—i te oczy palące i płonienne świadczyły, że nie obu-

marł ten, którego własnością były, że te, na którą patrzył—kochał, kochał, kochał...

Wkrótce wrócili do oczekującej na nich pary. Trafili właśnie na koniec rozprawy o Apollinie Belwederskim, a na zapytanie:

— Cóż lipa?...

— Cudowna!—odpowiedziała Niuta.

Ocknął się z zadumy. Okiem jeszcze rozmarzonym powiódł po pokoju i wspomniiał dopiero, że nie Dębów to i nie ten wieczór pamiętny, lecz Załomuńce i dzień odpustowy... Przetarł czoło, jakby chciał resztki wspomnień spędzić...

Nagle przez okno dostrzegł, że coś się koło kościoła zaroilo i że koło tego czegoś ludzie zaczynają się kupić. Wytężył wzrok i ujrzał facton dębowski, a w nim ją i ojca jej.

Przyjechali.

Szybkim krokiem udał się do zakrystyi. Przyszedł akurat, gdy wchodziła, witana przez Chwałkiewicza i Chociemskiego.

Tłok był taki w kościele, że o przejściu wzdłuż niego między chłopstwem i mowy być nie mogło.

Szli przeto przez zakrystyę, a tuż koło ołtarza była ich ławka kolatorska.

Prot podszedł, skłoniwszy się obojgu. Potem spojrzal na nią i wzrok ich się skrzyżował. Oczy-  
ma mówiła mu: «kocham cię!» on odpowiadał  
jej wzajem to samo. Tajemna, zadzierzgnięta  
między nimi nic zdawała się spajać ich słodyczą  
uroku swego...

Wyglądała prześlicznie. Jasna różowa su-  
kienka, dziwnie wdzięcznie ją strojąc, nadawała  
jej zarazem wesoły wygląd, kapelusik na główce  
miała zgrabniutki, na nóżkach żółte, świecące bu-  
ciki, w ręce trzymała parasolkę, całą haftowaną,  
ubieraną koronkami, przepyszną... Bił od niej  
czar młodości, czar bujnej, dojrzałej i rozkosznej  
kobiecości...

Wiedziała pewnie o tem, bo szła jak królowa.  
Dopiero dojrzawszy Prota, przystanąła. Prze-  
prowadzana pożądlivym wzrokiem Chwalkiewi-  
cza, podała wikaremu rękę. Prot ujął tę drobną,  
kochaną rączkę, mgnienie trzymając w swej dło-  
ni. Poczuła, jak oddał jej uścisk silny, prze-  
ciągly... Spojrzała: był rozradowany i jakby  
uszcześliwiony. Uśmiechnęła się słodko...

A Skomorowski powitał Prota, jak wita się  
dobrego znajomego. W głowie szlacheicowi nie  
postało najmniejsze podejrzenie, bo i podejrzy-



wać było trudno: toż nie darmo Prot miał opinię sztywnego i poważnego nad miarę!

Wnet udali się do kościoła. Przy wejściu ich szmer przeszedł i głowy pochyliły się machinalnie, jakby «jasnemu» hold oddając... Oni tymczasem zasiedli w swej ławce...

Na chórze uszykowali się już śpiewacy miejscowi, nieuczni, prostacy, więcej krzyżący, niż śpiewający, a organista szykował się do akompaniamentu... Świece u ołtarza głównego pozapalane już były wszystkie: jarzyły się, i żółtym światłem oświetlając wszystko, rzucały wydłużone błyski naokół. Przy ich świetle widać było braki i stan podrujnowany kościoła, choć Chwalkiewicz, jak umiał, pozatykał to i owo i zamaskował niejedno...

W kościele panowało skupienie. Chłopskie twarze czerwone, ogorzale, spocone, jak las makówek jedna koło drugiej sterczące, to znów się kołyszące, nadawały całości charakterystyczny wygląd... Na wszystkich obliczach malowało się oczekiwanie, w powietrzu unosiły się duszność i opar z niezliczonych oddechów.

Było uroczyście.

Wreszcie wyszła suma. Dzwonek, targnięty trzykrotnie przez sługę kościelnego, jęknął

donośnie. Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę.

Po chwili ukazał się ksiądz Chociemski w otoczeniu. Przystąpił do ołtarza. Z chóru rozległ się śpiew i muzyka. Nabożeństwo się rozpoczęło.

Ksiądz Chociemski intonował początek, odmawiając *Introit*.

Niuta nie mogła się modlić. Głowę jej obsiadło całe mrowie myśli. Z pod rzęs poglądała na Prota, który był niedaleko ołtarza.

Czuła chwilami ukradkowe jego spojrzenie i wtedy twarz jej oblewał lekki szkarłat, oczy zaś przysyłaniała rzęsami, jakby ją raził blask, od ołtarza idący, a w rozłożonej przed sobą książce modlitewnej znajdowała wszystko—prócz modlitwy.

Lecz zbliżała się chwila kazania. Chłopi, pragnący być jak najbliżej kazającego «dobrodzieja,» już zawczasu cisnąć się i pchać poczęli... Gorąco było okrutne. Piskliwe wiejskie organy wyciągały fletami *unisono*, małe fleciki im wtórowały, a jakby dla równowagi zagrzemiał od czasu do czasu grubszy dźwięk. Chór, obleżony przez znajomków, których organista za łaskawą protekcją popuszczał, uginał się pod ciężarem ludzkim, trzeszcząc i jęcząc wyschłymi deskami,

a śpiewacy na nim wyciągali co sił starczyło wrzaskliwe «*Kyrie.*» W całym kościele szumiały, odbijając się o ściany, i mieszały z sobą, falując, westchnienia, szepty, nosowe manrotanie i trwożliwe słowa modlitwy.

A *Gloria in excelsis* już przeszło, przeszła i *Collecta*, przeszła i *Epistola*...

Naraz zakotłowało się i las głów się pochylał. W zduszonych szeregach poczęto cisnąć się jeszcze bardziej. Tłumy, za drzwiami i pod murem stojące, nie mogąc docisnąć się do wnętrza, pchały się uporczywie na przód, by być choć bliżej kościoła... W kościele stało się cicho.

Na drewnianej dębowej ambonie, rzeźbionej w niewyszukane aniołki i figurki świętych, z baldachimem u góry rozpostartym, pod którym pozłacany gołąbek roztaczał promienie światła, ukazał się ksiądz Mielewski.

Stał chwilę, jakby czekając, by się zupełnie uciszono. Potem przeżegnał się głośno, co lud za nim powtórzył, i wyjąwszy książkę niedużą, zmęczonym, cichym, jakby przyduszonym głosem czytać zaczął:

«... I począł zasię Jezus uczyć przy morzu. Zebrała się do Niego rzesza wielka, tak, iż wszedłszy do łodzi, siedział na morzu, a wszystka rzesza była przy morzu na ziemi. I nauczał ich

wiele w przypowieściach i mówił im w nauce swojej:

Słuchajcie, oto siejący wyszedł siał... A gdy siał, jedno padło podle drogi, a ptacy niebiescy przyszli i pojedli je; a drugie padło na opoczyste, gdzie nie miało wiele ziemi, i natychmiast wzeszło, iż nie miało głębokiej ziemi, a gdy słońce wzeszło—wygorzało, a przeto, iż nie miało korzenia, uschło.

A drugie padło w ciernie, i urosło ciernie, i zadusiło je, i nie dało owocu.

A drugie upadło na ziemię dobrą i dało owoc bujny i rosnaący: a jedno przyniosło trzydzieści, jedno sześćdziesiąt, jedno sto.

I mówił im: kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

A gdy sam tylko był, pytali Go ci, co przy Nim byli dwanaście (apostolowie), o przypowieści. I mówił im: wam dano jest poznać tajemnicę Królestwa Bożego, ale tym, którzy na stronie są, wszystko bywa w przypowieściach, aby patrząc patrzali, a nie widzieli, a słysząc słyszeli, a nie rozumieli, by się kiedy nie nawrócili, a były im odpuszczone grzechy...

I rzekł im: nie rozumiecie tej przypowieści, a jakoż zrozumiecie wszystkie przypowieści?

Który sieje — słowo sieje, a ci są, którzy podług drogi, gdzie się rozsiewa słowo, a gdy usłyszą—natychmiast przychodzi szatan i bierze słowo, które jest wsiane w serca ich. Także i ci są, co na opoczystych są posiani, którzy gdy usłyszą słowo, natychmiast je z radością przyjmują, a nie mają korzenia w sobie, ale są doczesnymi; potem, gdy przyjdzie uciśnienie i prześladowanie dla słowa, natychmiast się gorszą. A drudzy są, którzy między ciernie są posiani: ci są, którzy słowa słuchają, a pieczołowania świata, i omamienie bogactw, i chciwości innych rzeczy wszedłszy zaduszają słowo i stawa się bez pożytku... A ci są, którzy na dobrą ziemię są posiani, którzy słuchają słowa i przyjmują, i przynoszą owoc — jedno trzydzieści, jedno sześćdziesiąt i jedno sto.

I mówił im: izali świecę wnoszą, aby ją stawiano pod korcem, abo pod łóżem? Aza nie aby była na świeczniku postawiona? Albowiem nic nie jest tajemnego, coby się objawić nie miało, ani stało się skrytem, ale iżby na jaśnią wyszło...

Jeśli kto uszy ma ku słuchaniu, niech słucha. I mówił im:

Obaczcież, czego słuchacie? Jaką miarą mierzycie, będzie wam odmierzone i będzie

wam przydano. Albowiem kto ma, będzie mu dano, a kto nie ma, i to, co ma, odejmą od niego. I mówił:

Tak jest Królestwo Boże, jako gdyby człowiek wrzucił nasienie w ziemię, a spałby i wstał w nocy i we dnie, a nasienieby wschodziło i rosło, gdy on nie wie, bo ziemia sama z siebie owoc rodzi: naprzód trawę, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie... A gdy się dostoi zboże, wnet zapuści sierp, bo żniwo przyszło. I mówił: komuż podobnem uczynimy Królestwo Boże, albo któremu podobieństwu przyrównamy je? Jako ziarno gorczyczne, które gdy wsieją w ziemię, mniejsze jest ze wszystkiego nasienia, które jest na ziemi, a gdy będzie wsiane, wzrasta i bywa większe nad wszystkie jarzyny i czyni gałęzie wielkie, tak, iż pod cieniem jego mogą mieszkać ptacy niebiescy.

I wielą takowych przypowieści mówił do nich słowo, jako mogli słuchać, a oprócz przypowieści nie mówił im, a uczniom swoim osobno wszystko wykładał. I mówił im w on dzień, gdy już był wieczór: przeprawmy się na drugą stronę. A opuściwszy rzeszę, wzięli Go tak jako był w łodzi, a inne łodzie były z Nim. I stała się nawałność wielka wiatru i wały lały w łódkę tak, iż

się łódź napełniała... A On był na zadzie łodzi, śpiąc na wezglówku, i obudzili Go i mówili Mu:

— Nauczycielu, nie dolega Cię, iż giniemy?

A ocuciwszy się, zagroził wiatrowi i rzekł morzu:

— Milcz, zamilknij!

I przestał wiatr i stała się cisza wielka. I rzekł im:

— Czemuście bojaźliwi? jeszczeż nie macie wiary?

I przełękli się bojaźnią wielką i mówili jeden ku drugiemu:

— Któż wżdy Ten jest, że i wiatr i morze są Mu posłuszne?»—

Ksiądz Mielewski przestał czytać. Ucałował książkę, potem zamknął ją i odłożył na bok. Ci, co byli wstali, słuchając Ewangelii, usiedli. Czekano na kazanie.

A kaznodzieja stał chwilę, jakby szukając słów do zaczęcia nauki. Na jego zwiędłej, pomarszczonej twarzy malowało się jakby odrętwienie, jakby jakieś cierpienie, jakby umęczenie... Suche ręce oparł na krawędzi ambony i zaczął:

«Bracia!

Otom służebnik Pański, abym opowiadał słowo Jego.

Módlmy się...»—

To wyrzekłszy, ukląkł i począł się modlić. Zdziwiony trochę lud poszedł za jego przykładem, i pokłękawszy również, pacierze szeptać począł... Nawet panna Niuta, która myślą dotychczas była gdzieindziej, na dźwięk słów tych drgnęła i machinalnie słowa modlitwy odmawiać zaczęła...

Kobuza trącił siedzącego obok siebie Chwałkiewicza.

— Coś mu wątku nie starcza!

— Aha, niby!—odparł nieszczerze Chwałkiewicz, niespokojny jednak, by Mielewski się czasem na odpuszcie w jego kościele nie «zblamował.»

Fabiszewski uśmiechnął się zjadliwie. W oczach jego, utkwionych w Mielewskiego, było ukryte: bogdajbyś się zasypał!

Prostkowski, spowiadający Maryśki, przestał myśleć na chwilę o ich grzechach, i poglądając z pod oka na mówcę, myślał: — no, a co dalej?

Prot patrzył sztywno.

Tymczasem powstał Mielewski z klęczek, a za nim chlopi. Począł mówić. Głos jego cichy, przyduszony, zdawał się wychodzić mu gdzieś głęboko z piersi, jakby z trudem... Twarz, w miarę jak mówił, nabierała ceglastych rumieńców...

Szły więc słowa jego i padały na obecnych:



«...Chrystus, Pan wasz, uczył rzesze nad morzem, jako niedoskonali, jak mali, wielcy zaś w pysze i błędach swych ludzie są, i przyrównywał ich do nasion, które hojny siewca na roli rozsiewa...

Zaiste, wielka jest między nami owych nasion rozmaitość i wielka w roli różnica... Wejrzyjcie w siebie: azali nie jesteście, jak owe nasiona, które siewca ewangeliczny siał, a dusze wasze czy nie podobne do gruntu, na którym te nasiona przyjąć się mają?...

Tak. Bo i któż jesteś ty, któryś padł koło drogi, a ptacy niebiescy przyszli i pożarli cię, nim wzejść zdołałeś?... Czy nie ten, o którym Jezus mówi, że szatan zabiera mu to, co danem było? Przecz nie odpychasz tego szatana - obojętności, mały duchem a płytki rozumem swoim?... Dlaczego nie walczysz z nim i poddajesz mu się bez szmeru?...

Także i ty, któremu słowo Boże padło w duszę jałową, zimną, zastygłą, udajesz, żeś wziął je i przyjął skwapliwie, a gdy ci ono miłość, wytrwałość i dobroć zaleca—uginasz się i łamiesz, bo cię nie stać na ten ciężar, bo nie możesz go unieść, bo ci dolega... Śpieszyłeś, rad, że cię zabawi nowością, że cię olśni i że ci słodycz da... A ciężar ten, słowo Boże, daje ci spokój, powa-

gę obowiązku, wiarę, wytrwanie i bodziec do znojnego dźwigania tylko... Odpychasz je, bo cię oszukało... Myślałeś, idąc z niem, że ono to sprawi usuwanie z drogi przeszkód wszelkich, z pod nóg wszystkie kamienie wyżenie—a ono cię przygniata... I pytasz się zdumiony: azali się nie mamie, azali to on jest, ten ciężar, który cudownie lekkim być powinien, a jeżeli już ciężkim, to tak ciężkim, jako bywa wór złota błyszczącego, świecącego, rozkosz obiecującego?

Śmiejesz się, tak, śmiejesz się wzgardliwie i odtrącasz go, ten ciężar... Dziwisz się, żeś go dźwigał—ciężar prawdy, sumienia i obowiązku!

Nie chcesz przeciwności, a Jezus, Zbawiciel nasz, je tylko w życiu ci ukazał i walkę szlachetną z niemi, lecz ty nie chcesz, człowieku, bo dusza twoja nieszczerza, a serce wyschłe. Niema w tobie miejsca dla poświęcenia, niema dla zaparcia się. Pierwszy wieher cię złamie, a ty ugniesz się przed nim bez żalu...

Bogactw pragniesz, szczęścia osobistego, dostatku, a ofiarować nie możesz nic... Słodka nauka Zbawiciela nie przemawia do ciebie, boś ty zamarł dla niej... Jeżeliś pan bogaty a wspaniały—chcesz być większym; jeżeli średnim jesteś — pożądasz jeszcze więcej; jeżeli biednym—błuźniesz i przeklinasz dolę swoją... W wędrówce swej do-

czesnej nie pragniesz niczego więcej ponad to, co mienisz szczęściem swem, a dusza i serce zostają zimne i wystygłe.

Biada, biada wam wszystkim, którzy jesteście jako te nasiona bezpłodne, o których Chrystus wspomina...

Biada wam!»—

W kościele było cicho. Stali z pochylonemi głowami, pokorni, zda się skruszeni... Pod sklepienie leciały westchnienia lub jęki prostackie... Kobiety, jako zwykle, ocierały oczy chustami lub kułakiem...

Chociemski, w fotelu wielkim rozparty, w ornat przetykany ubrany, kiwał żałośliwie głową. Kobuza wydał wargi i oczy przymrużył, Chwałkiewicz poglądał po twarzach obecnych i obliczał efekt. Prot, głowę pochyliwszy, patrzył w ziemię...

A ksiądz Mielewski ciągnął jakimś tęsknym, dziwnym, do duszy jakby zgrzytem wnikającym głosem, a twarz pomarszczyła mu się:

«Ty, Jezu Panie, dałeś nam Zakon swój, byśmy go sprawowali i spełniali, lecz my słabi jesteśmy... O, zaprawdę, sił nam, mocy nie staje, byśmy mieli iść w ślad Twój... Przecz to nam kazalesz, Panie?»—

W głosie jego dźwięczało rozdrażnienie.

«Mistyk» wzlatał pod niebiosa—jak właśnie pomyślał w tej chwili anielski Fabiszewski.

Oczy Mielewskiego utkwione były w jarzące się świece. Zdawał się nie widzieć tych, co go słuchali. Mówił:

«Bo jakoż nam być nasionami owocodajnymi, doskonałymi, skoro ułomnymi jesteśmy, skoro co dzień i co godzina tysiące nieprzyjaciół i zasadzek na nas czyha, gdy w walce z nimi i sił już nie staje, gdy walka wreszcie nieznośną się czyni? Azaliż możemy walczyć?

I czy wielkimi grzesznikami jesteśmy? Mordercami, podpalaczami, zbójcami? Czy nie dość hamujemy się i przeciwko upodobaniom naszym, przeciw instyngtom naszym dla Ciebie właśnie, Panie, postępujemy? Czy możesz wymagać od nas czegoś więcej?...

Nie, Ty widzisz, że i tak dobrymi jesteśmy, że nie przenosimy egoizmu, zaślepienia, pychy ponad słowa Twoje, że się zwalczamy, że czynimy ofiarę ciągle...

A jakoż możesz wymagać czegoś ponad siły?

Ty dobrym jesteś, Panie, łaskawym... O, za prawdę, czyż żądasz jeszcze czego więcej?...»---

Ksiądz Mielewski unilkł na chwilę. Potem ciągnął:

«Nie winuj nas przeto i nie sądź, byśmy Ci chcieli liczmanami, miast monetą, wyplacać... My umiemy być dobrymi, potrafimy być szlachetnymi, nieobcem nam jest poświęcenie... Wierzymy w naszą stałość, wytrwałość i dobrej sprawy oddanie... Jesteśmy czyści.»—

Ksiądz Mielewski wznosił ręce. Potem opuścił je i wymówił:

«Bo nie napróżno rzekłeś:

«Izali świecę wnoszą, aby ją stawiano pod korcem, albo pod łóżem, aza nie, aby była na świeczniku postawiona?»»

My jesteśmy światłością, a światłość się sądu nie boi!»—

To rzekł i urwał, a w głosie dźwięczała mu ironia. Posepnie patrzył na zgromadzonych, jakby każdego z nich stawiał pod pręgierz słów swoich.

W tłumie poczęto się żegnać i bić w piersi. Niejedna kuma trącała drugą, i ocierając gęsty pot z brunatnego czoła, szeptała:

— Sprawiedliwie mówi...

Prot siedział nieruchomy, bladą twarz zwróciwszy ku każącemu, rozgorzale oczy w niego wlepiwszy. Na skroniach sieć żyłek zarysowywać się poczęła.

Nie patrzył na Skomorowską.

Lecz nagle zmieniła się twarz księdzu Mielewskiemu. Żółte policzki napłynęły krwią, w oczach zamigotał ogień, wargi poczęły drgać... Po chwili wybuchnął:

«Ale dość już tego, dość tej obludy, dość fałszu! Zaprawdę, wy, synowie światłości i dobroci, azaliście się już tego blasku i tego dobra nie przelękli, coście go naokoło siebie roztoczyli? Blask aż oczy razi—jakiż jasny! W nim światłał tysiące w jeden obszar się zlewają, a wśród tych światłał błyski i ognie, ognie dumy, pychy, sobkostwa, egoizmu i fałszu...

Oto widzę możnego, którego duma pożera, a przy nim dorobkowiec zbogacony, pyszałek... Ci, prócz ziemskich zaszczytów lub bogactw ziemskich, nic już dojrzeć nie mogą...

Tam człowiek z charakterem węża, niski, płaski, samolubny, gotów życie całe udawać i pozorami świat omamiać, by miał tylko to, czego pożąda.

Ówdzie ci, co za światłość się podają, pełni egoizmu i obludy—ciemnością tylko są...

O, zaprawdę, dokądże jeszcze zdzierać mam z was zasłonę i ukazywać nagość a sprośność waszą? Tak to chlubicie się wy, którzy się za najlepszych podajecie, wy wszyscy, którzy dla sie-

bie pobłażliwi — bliźniego zawsze w niesławie utopić radzibyście?

I dopóki dże trwać będzie ta obłuda, to kłamstwo, ta nikczemność? Azali nie strach wam sumienia waszego i duszy? Czy tak już wytarte czoła macie?»—

Ksiądz Mielewski mówił, a głos jego już nie był cichy i słaby, lecz silny i donośny. W jego oczach, ciskających ogień, była moc, a w spojrzeniu, które rzucił zgromadzonym, potęga. Poczęto patrzeć na niego, ócz nie odrywając, podziwiając płomień, którym rozgorzał... On zaś mówił wzruszony, rozdrażniony, do zniecierpliwienia już doprowadzony nieprawościami, które co dzień, co godzina postrzegał wszędzie, wszędzie:

«Zamilknijcie przeto wy, którzy tak obrzydliwi jesteście, i nie wołajcie ciągle wielkim głosem: my jesteśmy, którzyśmy prawie bez zmayı! Zaprawdę, przebierze się i miara cierpliwości, której ogrom jest niezgłębiony, i ręka sprawiedliwości dosięgnąć was może... Głos sumienia waszego azali nic wam już nie mówi?

Bo boleć trzeba, boleć bardzo, gdy się widzi, że łatwo i bez wzruszeń umiecie go przytłumiać! Czy walczyacie, czyż zmagacie się z grzechem wszelkimi siłami swojemi, całą duszą swoją, ca-

łem jestestwem, czy też tylko próbujecie walczyć, by sobie braku walki nie zarzucić, a potem mówicie: «niech się tak stanie, jako się stać miało; nie zmożę ja tego szamotania!» i poddajecie się, poddajecie, obludnicy, z rozkoszą ukrytą?

I czyż tak już ślepi i ciemni jesteście, że nie przypuszczacie, iż przed Nauczycielem haniebna pozorna wasza walka ukryć się nie może, że On widzi i zdradę waszą i oczy bazyliuszka, któremi oszukiwać Go się staracie?

I przeto mówicie: «nie winuj, Panie, bo oto siła większa ode mnie przyszła i złamała mnie i wzięła w swą moc.»

O, ciemni, ślepi, głusi! I długoż tak nędznie oszukiwać Go będziecie, długo obludnemi usty kalać Imię Jego? Azali nie sądzicie, że miara nieprawości waszych przeszła już miarę cierpliwości Jego i że godzina sądu może być niedaleką—bo który z was wie, komu pierwiej sązone, który pierwszy stanie przed Obliczem? I jeżeli już niema w was tyle dobroci, tyle godności, uczucia, serdeczności i nieskalaności, byście byli czyści, to wspomnijcie choć na przykład Jego, który był czysty jako łąza i niepokalany, i wzniosły, i tak ofiarny, tak bezmiernie ofiarny! Czyliż myślicie, że On nie dlatego pozwolił się umęczyć i ukrzyżować, by dać nam przykład, jako



my umęczać się powinniśmy? I choć niejedno będzie ciężkiem, znojnem, przygniatającem, choćby nawet strasznem i okropnem, wspomnijcie, bracia, na cudny przykład Jego i powiedzcie: niech się tak stanie, jak mi sumienie nakazuje, obowiązek, miłość, cześć. Dźwigajcie brzemię prawdy wiary i powinności!

Bo czyż sądzisz ty, który nigdy o tem nie pomyślałeś, że Chrystusowi lekko było umierać, że te męki i pohańbienie przysły mu tak łatwo, jako tobie zasiąść do wieczerzy?... Wszakżć wołał: «Ojcie, jeżeli można, odwróć ten kielich ode mnie!» a jednak zniósł los swój okropny i ofiarował się...

Takżć i ty, któryś jest ułomny i nieszczerzy, ugnij się pod brzemieniem obowiązku, prawdy i sumienia, i bądź czystym, pozostań wiernym temu wszystkiemu, czemuś powinien, poświęć się, zrób ofiarę, jeżeli nawet tego potrzeba, dla miłości Odkupiciela twego, dla przykładu innym, dla ich nauki, dla wpływu na nich, dla ich ucłowieczenia i dla swego sumienia...»—

Starzec na ambonie umilkł na chwilę, jakby go za wychudłe piersi zmęczenie szarpało... Ręka powiódł pę czole, potem opuścił ją na poręcz kazalnicy i stał chwilę nieruchomy.

W kościele biło gorąco. Para z oddechów ludzkich rozchodziła się naokół i osiadała na ścianach wilgocią. Świece jarzyły się. W nierównem ich oświetleniu widniały figury księży, a pośród nich jedna, zgięta, pochylona, jakby ciężarem przygnieciona—Prota.

Siedział nieruchomy, zda się zasluchany w płynące ku niemu słowa kaznodziei, jakby zamary i zastygły... Z głowy jego uleciały wszystkie czarodziejskie wspomnienia, i marzenia chwil cudnych, i obrazy przyszłości zagadkowej, rozkosznej jednak i niewypowiedzianie słodkiej, bo tam, jak klejnot bez ceny, miał świecić skarb jego jedyny, Niuta,—i dumania o szczęściu, które miał osiągnąć, i wszystko, wszystko, co go przez dni ostatnie rozplómiętało, zachwycęło, unosiło, porywało i w otchłań radości bezbrzeżnej pogrążyło...

Natomiast zdalo mu się, że gdzieś z głębi duszy jego, jakby z pod pokładów dawno już omszałych pleśnią, powstaje demon jakiś złowrogi, demon zamarłego w nim głosu sumienia, i jakby echo czegoś, co on zda się pogrzebał już na zawsze, ogarnia całe jestestwo jego, olbrzymieje, wyciąga ku niemu ramiona, i w uścisk konwulsyjny go chwytając, spływa do serca i do mózgu niemy, strasznym wyrzutem...

Twarz jego stała się papierowo błądą, a oczy rozszerzyły się, jakby w przestrachu... Ręce wątle się zacisnęły i machinalnie chciały chwycić za skronie...

Oooo! cierpienie jakieś nim targało, a on nie mógł go odepchnąć i odrzucić precz od siebie!

I zdało mu się, że już nic nie słyszy, że ten głos, co szedł tam z wysoka, z ambony, umilkł. Ale nie, gdyż oto znowu wzbił się, lecz drżał jakby wzruszeniem i prośbą:

«O, synu ludzki, któryś jest i synem Odkupiciela, wspomnij na Ojca twego w Niebiesiach i uczyn drogę twoją prostą... Skłoń uszy twe ku słodkiej nauce Jego i silny wielką walką, stoczoną w imię dobra i obowiązku, idź śladem Jego czysty, szlachetny, ofiarny...

A jeżeli ciężko ci będzie, pomyśl, że i Jemu było ciężko; jeżeli ugniesz się, wspomnij, że i On upadał pod krzyżem; a jeżeli zapłaczesz, jeżeli żal tobą zatarga, jeżeli serce krajać ci się będzie, nie zapomnij, że i On cierniową koronę nosił, że i Jemu gwoździami ciało do pała przybijano, że i On cierpiał, pokrwawiony okropnie...»—

Tu przestał na chwilę ksiądz Mielewski, potem dodał cichym, drżącym głosem:

«A jeżeli kochasz Go i miłujesz, i obiecujesz Mu siebie, to się ofiarujesz...»—

Sztywnym wzrokiem spojrzął Prot przed siebie... W twarzy jego był niewyrażony ból... Cierpiał, cierpiał wprost fizycznie. Potem mętne jego spojrzenie padło na Chrystusa, rozpiętego nad ołtarzem, i tak już zostało zastygłe.

A ksiądz Mielewski kończył:

«I wtedy będziesz jak owo nasienie gorczyczne, o którym Jezus wspomina: wydasz owoc błogosławiony, będziesz źródłem krynicznym...

I odleci od ciebie wątpliwość, porzuci cię brak wiary, zniknie egoizm, samolubstwo, fałsz... W sercu zadrga ci złota iskra ofiary i tak pójdziesz na bój... Staniesz czysty, poważny, poświęceniem odrodzony i nie będziesz się wahał w sercu swoim. Wtedy odpadnie od ciebie szatan złego, szatan wszystkiego, co ci nie pozwalało poświęcić się dla Dobra i Prawdy, i nie ulęknieś się, jak owi dwanaście, fal i bałwanów morskich, bo będzie z tobą wiara i ofiara... I wtedy Jezus słodki nie rzeknie ci:

— Czemużeś bojaźliwy? jeszczeż nie masz wiary?»—

Zdawało się już wszystkim, że ksiądz Mielewski skończył. Tak sądził i Prot, którego martwy wzrok tkwił w krucyfiksie... Lecz nagle z ciszy wynurzył się raz jeszcze głos kaznodziei, donośny i pełen mocy:

«I pamiętaj na to, co mówi Pismo Święte w księdze *Ecclesiasticus*:

«I aby nie odkrył Bóg tajemnic twoich, a nie zrzucił cię z pośród zgromadzenia.

«Żeś obłudnie przystąpił do Pana, a serce twe jest pełne zdrady i fałszu...

«Synu, przystępując do służby Bożej, stój w sprawiedliwości i w bojaźni, a przygotuj duszę swą na pokusę...

«Poniż serce twe, a cierp...

«Wszystko, co na cię przyjdzie, przyjmuj, a w boleści twojej, w uniżeniu twojem miej cierpliwość...

«Bo złoto i srebro ogniem bywa próbowane...

«Wierz Bogu, a On cię wywyżgnie, i prostuj drogę twoją, a miej nadzieję w Nim...

«Bo wedle wielkości Jego, tak i miłosierdzie Jego jest z Nim.»

Amen!»—

Nic więcej już nie usłyszał Prot. Tylko szumne a przygłuszone: «Panie Boże zapłać!» rozlało się szeroko po kościele.

Wkrótce zagrzmiał chór, organy zagrały. Chociemski wstał wolno z fotela i przystąpił do ołtarza.

Po Ofiarowaniu wzbily się w górę kadzidla. Wonne dymy zawisły pod sklepieniem, rozta-

czając odurzający zapach... Lud modlił się gorliwie.

Wreszcie przyszło Podniesienie. Padnięto na kolana. Z piersi poczęły wychodzić jęki i westchnienia. Czoła dotykały prochu ziemi, ręce czyniły znak krzyża... Kruszono się. Msza nie trwała już długo. Po Komunii i końcowych modlitwach księży wynieśli się do zakrystyi, a chłopstwo poczęło tłoczyć się ku wyjściu.

Na cmentarzyku koło kościoła, a i poza murem i het po wsi zresztą całej rozlało się wkrótce mrowie. Gwar wzrastał z każdą chwilą. Poczęto oblegać kramy, niektórzy szukali gospody, wszędy ciśniono się i kupiono. Rzeka ludu była ożywieniem i barwnością...

Szły rozmowy:

— Piknie mówił!

— Śluzy mi z gał wycisnął... Prawdziwy ksiądz!

— W sercu mnie strzykało... Wej, jak ślicnie godol! Pójdziecie, kumie, na piwo do Abramka?

— Póńdę. Ino tam ten morowiec Walenty, wicie, wróg mój, siedzi, widziałem... Bogdajby go cholera! Nabiję ja mu kiedy boków, nabiję!

«Kumowi,» co słuchał, oczy strzeliły zaciętością ponurą. Pobladł.

— Oj, moiściewy!—rzekł — hycel to! Mnie on, taki syn, po sądach takóž wleka, žem mu to, peda, tę morgę gruntu, wiecie, co zaraz za stawem, kole łąki Grześniaków, powinien! A ja na to mam pisanie od wójta!

Jakaś kobieta przechodząca nadstawiła uszów. Po chwili rzekła:

— Wele prawdy, Macieju, to wy jego -siorotę, skrzywdzili... Grunt jego jeszcze po rodzicu, a wam do niego nijakiego prawa.

Chłop odwrócił się szybko, uderzony tą niespodzianą napaścią. Po chwili wybuchnął:

— A stulisz ty pysk, psia paro? Do ciebie mówię? Taka to i ty jemu sobacza siostra, jeśli tak breszysz!

Ujął pod rękę «kuma» i poszli do Abramka na piwo.

Tak to oni wypełniali niedawno usłyszane «pikne» słowa Mielewskiego i stosowali się do nauk, przez niego udzielonych.

A u drzwi zakrystyi tymczasem działa się rzecz dziwna. Niuta, która już była wyszła z kościoła i przez zakrystyę z ojcem przechodziła, widząc, iż ten zatrzymał się, by zamienić słów parę z Chwalkiewiczem, stanęła, rozglądając się, oczyma szukając Prota. Pragnęła, musiała go widzieć, chciała usłyszeć ciche powtórzenie słów

miłości, wiecznie cudownych... Pragnęła spojrzeć w oczy jego...

Wreszcie dostrzegła go gdzieś w kącie. Poczęła więc zbliżać się w jego stronę, czyniąc to jednak tak, by nie zwracać zbyt na siebie uwagi. Prot jednak, spostrzegłszy ruch jej, pobladł, i nim miała czas cokolwiek pomyśleć, nagłym ruchem przedarł się przez stojących koło Chwalkiewicza księży i znikł za drzwiami.

Na twarzy Niuty odbiło się zdumienie. Potem stała chwilę jeszcze jak wryta, aż wreszcie opamiętała się, i zbliżywszy się szybko ku ojcu, zmienionym głosem wyrzekła:

— Chodźmy stąd, papo... Głowa mnie boli...

A gdy uprzejmy Chwalkiewicz począł bić pokłony i prosić a błagać, by szanowna pani i pan dziadzie dobrodziej raczyli zaszczycić jego niskie progi swą obecnością, a jeżeli już nie chcą zostać na obiedzie, to niech przynajmniej zgodzą się przekąsić choć cokolwiek i uszczęśliwić jego biednego,—Skomorowski, nie chcąc tej grzeczności Chwalkiewiczowi odmawiać, zwrócił się do córki ze spojrzeniem pytającym.

Lecz Niuta miała twarz tak prawdziwie cierpiącą i tak stanowczo, niezłomnie odpowiedziała: «nie, głowa mnie boli ogromnie!» — że pan Skomorowski nie nalegał, i grzecznie odmówi-



wszy skonfudowanemu Chwalkiewiczowi, pośpieszył jak najprędzej usadowić córkę w powozie.

Chwalkiewicz zaś, jeszcze odprowadzając ich do faetonu, nie przestawał żałować «wielkiego szczęścia» i «rzadkiego honoru,» które go tak nielitościwie omijały, i z attencją poprawiając coś koło fartucha, z ręką na piersiach położoną, pełnym uszanowania ruchem żegnający cennych gości, mówił:

— Z gorąca nieznośnego i duszności ten ból głowy pewnie?

Po chwili ruszyli i tylko obłok kurzu, ciężko z zapchanej wozami drogi się podnoszącego, po nich pozostał.

Tak skończył się dla Niuty Skomorowskiej ten odpust załomuniecki.

Z zapchanych zaś wrót zakrystyi poczęła wysypywać się «intelligencya» skolomowska, oraz duchowieństwo i obywatelstwo okoliczne, łaskawie na odpust przybyłe.

Więc szedł Prostkowski, mający już dosyć spowiedzi z Kaškami i Maryškami, a obok niego Kobuza, promieniejący jak zorza. Za nimi kroczył tłusty proboszcz z Chęciszan z panem burmistrzem skolomowskim, dalej pan Zaliwiński i pan Horodyski, rudy aptekarz, głośno na in-

tencję nie wiadomo czego wzdychający, potem łysy jak kolano doktor, anielski Fabiszewski, mrużący oczy jakby z nadmiaru światła, które się po ziemi rozlało, i wreszcie reszta: ogromny Pilezycki, rozprawiający o czymś z Mielewskim, dość ponurym i jakby rozdrażnionym, wreszcie piegowaty sekretarz, Chociemski i Chwalkiewicz.

Ten ostatni prowadził gości na plebanię na obiadek odpustowy.

Szli tak obok siebie utrudzeni, żądni spoczynku i nakarmienia grzesznego ciała...

A Kobuza mówił do Prostkowskiego:

— Mielewski rozgorzał dzisiaj... Ciął prosto z mostu!

— Aha!—bąknął Prostkowski.

— Gadał niezgorzej — ciągnął Kobuza, — ale chłopstwo mało z tego rozumiało.

Prostkowski zaś wykrzywił swą cyniczną twarz, a potem zaśmiał się bezczelnie:

— O to chyba tylko chodzi! Czem więcej pleść i mistyczniej, tem więcej baranieją!

Nagle urwał, i trąciwszy w bok Kobuzę, ukazał mu coś przy płocie. Doszli już bowiem do ogrodu plebańskiego, a że z zakrystyi można było na plebanię iść wprost bez obchodzenia drogą, więc o ogrodzenie musieli się prawie jakby otrzeć...

Przy płocie, z za którego, jak okiem sięgnął, widać było, gdyby na dłoni, szeroka, wijącą się zygzakiem drogę, którą odjechali Skomorowscy—stał ksiądz Prot.

Stał i zdawał się nie widzieć nic, nie słyszeć nic... Podparł się na wystającym kole płotu, i błędne oczy utkwivszy jak lunatyk w kłęb kurzu, który został po szczelnych już w oddali powozie, patrzył..

W obliczu jego nie było nic—było martwe. Rzekłbyś, posąg jaki nieruchomy.

Naraz drgnął.

Za sobą, tuż za plecami swemi, usłyszał hałas i gwar. Przez chwilę sądził, że to jeszcze te głosy, które rozhukane w duszy mu wyły i zgrzytały,—lecz wkrótce odwrócił się.

Prostkowski śmiał się złośliwie, nie przestając trącać Kobuzy. Ten kiwał głową, jakby z podziwem. Reszta stała, patrząc.

Wreszcie wysunął się Pileczycki, i zbliżywszy się do Prota, spytał:

— Cóż to kolega nie z nami?

Prot nie odrzekł nic. Patrzył na pytającego, jakby go nie rozumiał.

Po chwili Pileczycki ponowił zapytanie:

— Dlaczego nie z nami? Proszę, chodźcie!

I chciał go ująć pod rękę, co ujrawszy burmistrz, poskoczył także, wołając:

— Furda, mociumdzieju, panie, tego... Idźmy się żywić!

Lecz Prot odsunął go lekko. Potem obrócił się ku Pilezyckiemu.

— Przepraszam...— wyrzekł.— Nie mogę, jestem niezdrów... Powietrza potrzebuje...

Pilezycki, który już brał go pod ramię, cofnął rękę.

— Szkoda!—mruknął.

— Ale, panie, mociumdzieju, tego... ksiądz wikary przyjdzie później?—zawołał burmistrz.

Nie usłyszał odpowiedzi. Sekretarz i ryż aptekarz poczęli wołać: «przyjdzie, przyjdzie, przyjdzie!»—ale tymczasem kawalkada ruszyła dalej, bo gruby proboszcz z Chęciszan począł stękać, że mu w brzuchu kruczy straszliwie...

Po chwili znikali we drzwiach plebanii, a Kobuza szeptał do Prostkowskiego:

— Chory biedaczek na... ascetykę!

Obaj zaśmiali się głośno.

## XVI.

§ Szerokiem korytem rozlała się wesołość u Chwałkiewicza w jadalnym pokoju. Zaraz z miejsca kropnięto wódki gatunku wszelakiego: były siwuchy, żytniówki, żubrówki, przepalanki, alembikówki i różne inne. Roznosił je gościnnie gospodarz, i Falencka i wreszcie Józiek, który, na lokajczuka przedzierzgnięty, kręcił się jak w ukropie, raz po raz coś potracając. Stół, zastawiony w podkowę i nakryty śnieżnej białości obrusem, połyskiwał talerzami, szklankami, butelkami i wszelakiem innem naczyniem...

Rozsadowiono się. Falencka dyrygowała wszystkim. Przyodziana w odświętną tyftykową suknię, gruba pomimo gorsetu, który zwykle w uroczyste okazy nakładała, cała świecąca od potu, obficie rozlewającego się po pulchnej jej twarzy, latająca, skacząca, jednym słowem pyszna,

dyrygowała Józkiem, następując mu na pięty i dając ukryte w bok kulaki, gdy nikt nie patrzył. Józiek stękał, chwytając się za torturowane miejsce, to jednak przezacną Faleńsię jeszcze bardziej pobudzało.

Wniesiono dymiącą wazę, a po skonsumowaniu zupy wjechały na półmiskach mięsiwa. A było ich wiele, bo Chwalkiewicz suto występował.

Piwo stało obficie w butelkach. Pito też porządnie. Potem szła nie wiadomo która już z rzędu kolejka wódki, aż wreszcie odkorkowano wino—i wtedy dopiero zaczęła się pijatyka prawdziwa.

A pito bez skrępulów. To też twarze stawały się powoli coraz czerwieńszemi, z oczów poczęła strzelać fantazyja, z ust sypały się dowcipy... Opowiadano sobie anegdotki i żarty. Pilczycki, trochę podcięty, zaczął już swoje «kawały.»

Towarzystwo, po wniesieniu czarnej kawy i likierów, wciąż obficie popijając wino, zaczęło się rozsypywać i grupować po kątach... Zewsząd odzywały się wesołe śmiechy, w powietrzu unosił się obfity dym z palonych cygar i papierosów, i tchnienia licznych gorących oddechów...

Wreszcie rozczulenie doszło do kulminacyjnego punktu. Ktoś krzyknął: «zdrowie gospodarza!» i poczęto zrywać się, trącać pełnymi kieliszkami i wrzeszczeć głośno, aż ściany drżały: «niech żyje!»

Raz wraz podchodził ktoś do Chwalkiewicza i ściszał go, w ramiona biorąc i całując zaślinionymi ustami, zapewniał o swej niezmiennej do grobu życzliwości... Gwar stawał się nie do opisanania.

Falencka, dumna z przyjęcia, które zgotowała (czy kto śmiałyby zaprzeczyć jej tej zasługi?), spoczywała koło rozpartego Kobuzy, słodko małdrzykując rękoma. Niedaleko siedział dziwnie nie w humorze, prawie posepny i bynajmniej nie «urżnięty» Mielewski, jakby dziwiąc się tej wesomości, którą tutaj postrzegał, — ale nie patrzono na niego, bo on był zawsze taki.

W pokoju poczęło się stawać coraz duszniej. Otworzono okna, nie wiele to jednak pomagało. Obłok dymu się powiększał i zalegał u góry, jakby olbrzymi rozpostarty całun...

A wino wciąż lało się a lało... Chwalkiewicz postanowił wyprawić odpust pamiętny, więc już nie żałował tych strug, co płynęły... Na wszystkich prawie twarzach było rozpromienienie, w oczach skry i ognie pełne wesomości.

— *Vivat* Chwalkiewicz, ojciec i odnowiciel kościoła załomunieckiego! — zagrział nagle ochryply, pół-pijany głos Prostkowskiego, który trzymając w ręce kieliszek, wodził mętłem spojrzeniem naokół i uśmiechał się rozkosznie, a drugą ujmując sutanny, przestawiał niepewne nogi, jakby do prysiadów...

— W przyszłości! — dorzucił ktoś, ale tak lekko, leciutko, że go nikt nie dosłyszał.

— *Bravissimo, bravooooo!* — zaryczał Kobuza, w którego oczach majaczyły jakieś słodkości, przesyłane w stronę siedzącej Falcęsi... — *Bravooo, Chwalkiewicz!*

— He? co mówicie? — ozwał się gdzieś z kąta Chociemski. — Jak Bożę kocham, te... tego... Chwalkiewicz, no, to Chwalkiewicz, a Prot, no, to Prot!

Wzrok jego był mocno niewyraźny, na twarzy rozlana jakaś dobroduszość dziecięcia, a cała postać bardzo niepewna... Nie wiadomo, czy miał zamiar kichnąć, czy też nie, bo zaczął jakby w paroksyzmie przedwstępnym drgać, lechtany przez powstające prądy...

— Cooo? — wykrzyknął Kobuza, dosłyszawszy, że Chociemski mamrocze coś o Procie, ośmielony przytem jego tu nieobecnością — to znowu po staremu heca z Protem? To Prot do góry,



a Chwalkiewicz *pereat*? Chwalkiewicz za nogi i łbem o ziemię?... To nie Chwalkiewicz *bravoooo*?

Chociemski, który już był «strąbiony,» a może tylko mocno «nadtrąbiony» (Biedaczek! Po paru kieliszkach! — jak myślał patrzący na niego Prostkowski), nie zważał na tę gadaninę i marmotał dalej, jak maniak:

— Chwalkiewicz jest Chwalkiewicz, a Prot jest Prot...

Zaczął bębnić palcami po stole i powtarzał:

— Chwalkiewicz jest Chwalkiewicz... Prot jest Prot...

— To kokos!—mruknął ktoś z boku.

Nagle na środek pokoju wyskoczył czerwony jak rak, z zarumienionym niby dziewczęca zorza nosem burmistrz, i trzymając w ręce kieliszek, napełniony «boskim,» gardłowym głosem, przytupując sobie do taktu nogą i machając drugą ręką, jak kapelmistrz prowadzący orkiestrę, zaczął wśród ogólnego gwaru:

— Panowie! Panowie!! Panowie, do stu tysięcy fur kartaczów beczek!!!

Na takie wołanie, na które i nieboszczyk w grobieby się przewrócił, wszyscy zwrócili mimowoli oczy na rumianego burmistrza skołomowskiego, cofając się od Chociemskiego, przy którym się już kupić zaczęli...

— Każda oracya jest głupstwem, a każde głupstwo marnością—zaczął sentymentalnie z pod okna Prostkowski, który przewidywał mówkę.

Burmistrz spojrział groźnie na przerywającego i wykrzyknął:

— Proszę nie przeszkadzać!

Był kompletnie pijany. Wreszcie zaczął znowu:

— Panowie! Że ksiądz Chwalkiewicz jest Chwalkiewiczem; to jest jasne jak słońce, które teraz świeci, i o to nie warto się sprzeczać...

— Schowało się za chmurę!—odezwał się znowu Prostkowski.

Nowe groźne spojrzenie było mu na to odpowiedzią. Burmistrz ciągnął:

— Słońce świeci, kula ziemską się kolo niego obraca, a wraz z nią wszystko, co człowiek dobrego na niej uczyni...

— Kanalia!—zaczęli mruczeć jedni.

— Niech go też wszyscy dyabli z taką oracyą i logiką!—wołali inni.

— Dosyć, dosyć!—poczęto krzyżeć.

— Niech mówi!—żądali najwięcej pijani.

— Tak—mówił z przekonaniem, niewzruszony tem wszystkim burmistrz, — nieśmiertelny Kopernik dowiódł tego, że ziemia się kolo słońca obraca...

— Wraz z wszystkimi uczynkami ludzkimi— wtracił niepoprawny Prostkowski.

— Proszę nie przeszkadzać! Tak, z uczynkami. Te wzniosłe uczynki, wypływające z dobroci wrodzonej serca i humanitarności zasad, z srogięgo przejęcia się swymi obowiązkami, niby pełne aureoli gwiazdy, pływają po firmamencie...

— Twojej bydlęcości i głupoty! — dorzucił, ale już ciszej, Prostkowski.

— ...Firmamencie cnoty! Takie uczynki i nasz czcigodny i przeznaczony gospodarz, szanowny proboszcz Chwalkiewicz (Chwalkiewicz, nalewający akurat komuś wina, przez wrodzoną sobie oszczędność dolewając je do cudzego, niezupełnie jeszcze wypróżnionego kieliszka, zrobił przyjemną minę) ma do zapisania w niewidzialnej, ale zaszczytnej liście poświęcenia...

Przerwał na chwilę oracyę i spojrzawszy mętnym wzrokiem na zgromadzenie. Ryż aptekarz spluwał gdzieś w kąt z obrzydzeniem, i zagryzając piernikiem, zdawał się z wyteżoną uwagą słuchać bredzeń mówcy. Gruby proboszcz z Chęciszan, któremu tak niedawno kruczało w brzuchu straszliwie, sapał, świszczal i stękał żałośnie, trzymając się za tę przeładowaną ponoć niebacznie sympatyczną część ciała, a wzrokiem śledził pożądliwie odkorkowującą nową bu-

telkę wina Faleńsie... Pilezycki «rznął» panu Horodyskiemu jakąś «byczą» anegdotkę, a anielski Fabiszewski, który właśnie nie dosłyszał jej początku, podleciał zaraz do niego i z uporem pijanego głośno domagał się zaczęcia *ab ovo*. Podszedł też do nich wesóły pan Zaliwiński, i cmokając swemi ogromnemi czerwonymi ustami, jał pokazywać z upodobaniem na tęgą dziewczkę kuchenną, która, nie mając nic lepszego do roboty, przyszła z Bartkiem podpatrywać przez okno i szczyrzyła w uśmiechu białe, równe zęby...

— Wy wiecie—ciągnął burmistrz,—kto jest i czem był Chwalkiewicz... Imiona Aleksandrów Macedońskich, Hannibalów, Cezarów, Leonidasów, imiona Sokratesów, Likurgów, Arystotelesów, Tacytów i Horacych bledną i gasną przy tem imieniu...

— Nie zawracaj pan! — krzyknął ktoś z boku.—Po co się to chwalić, że jeszcze nie wszystko z tego, co nauczyciel w szkole do głowy lopatą wkładał, z pamięci wywietrzało?

Burmistrz się rozczył:

— Jak Boga kocham, nie chwale się! Jestem arcy-bydłę, jeżeli się chwale... Ale wy wiecie... Chwalkiewicz, jak kolos rodyjski, jak pira-

mida egipska, wyrasta ponad wszystko i wszystkich...

— Gdy dobrego węgrzyna stawia! — zaśmiał się hałaśliwie Kobuza.

—...Gdy dobrego węgrzyna stawia... tfy! chciałem rzec: gdy jaśniej takie cnotami obywatelskimi, poza którymi lepszych już nie znaleźć... Chwalkiewicz! Gdzież miłsze i godniejsze nazwisko na świecie?...

— Bydlę! — pomyślał doktor, poruszywszy wąsami jak chrabąszcz.—Toż on zupełnie zdaje się o mnie zapominać... Poczekaj, porachuję ja ci rubelka drożej za to przy wizycie!

— I patrzcie—ciągnął łzawym swym głosem burmistrz, — takiego oto Chwalkiewicza niebo nam zesłało... (Czy nie niebo? Ośmiel-no się który zaprzeczyć!) Co tylko w Załomuńcach i w okolicy dobrego ujrzycie, on to wszystko uczynił! Wiekopomne są też jego zasługi, jak wiekopomną będzie pamięć o nim. Pomniki mu stawiać będą... co mówię! pomniki?... panteony całe, wspomnienie czcić... He, co?... nie?

Spojrzał po obecnych, mierząc ich groźnem spojrzeniem, czekając protestu. Nie znalazł się jednak taki śmiałek; na wszystkich twarzach malowała się obojętność, albo zakłopotanie. Mielewski tylko wydał wargi i kiwał głową, jakby

litując się nad bezdenną głupotą pijanego improvizatora.

— Więc nie sądzicie—zawołał ośmielony tem milczeniem burmistrz,—bym zełgał tu choć słowo... Oto widzicie tego człowieka, osądźcie go też sami... Chwalkiewicz, jak duch dobry, roztoczył skrzydła swej wzniosłej opieki i dlatego kościół, jego odnowienie, przebudowa, eee...

Tu poplątał się język mowcy i biedny burmistrz zająknął się na chwilę, jakby szukając wyrazu. Wyciągnął uroczyście wskazujący palec prawej ręki, i bijąc nim w powietrzu, powtarzał:

— Właśnie, właśnie, właśnie...

— Chciałem skończyć!—podpowiedział Prostkowski.

Burmistrz posłał mu wzgardliwe wejrzenie.

— Właśnie kościół, eee... tego z kościołem, eee... — ciągnął biedny patryarcha skolomowski.

Lecz zacinając się i chwilowo pozbawioną natchnienia oracyę przerwał mu Chociemski, który patrząc na mowcę, po kilku mocniejszych a łachotliwszych ehe, ehe, ehe! kichnął tak głośno i przeraźliwie, że przestraszony niespodziewaną tą salwą burmistrz drgnął mimowoli i trzymane w ręce wino rozlał sobie na tużurek. To go tak rozzłościło i zdetonowało zarazem, że

z początku spojrział wściekle na Chociemskiego, a potem usiadł i począł obcierać mocno poplamiony surdut.

Prostkowski zaś, któremu się już ze łba kurzyło, porwał za fujarkę Chwalkiewicza, i gwizdnawszy przeraźliwie, zbliżył się do burmistrza i tu przed nim niepewnym ruchem bujający się, z przypodniesioną nieco sutanną, lekko do przysiadów przytupujący, począł mu śpiewać:

— Kaśka za piec,  
Maciek za nią --  
Przewrócili  
Ocet z banią...  
Hu, ha!

A potem podwyższając głos i naśladowując pisk dziewczuchy, ciągnął:

— Maciuś, Maciuś!  
Dość tej psoty!  
Ino nabieram  
Do cię ochoty...  
Hu, ha!

Kobuza zaśmiał się szeroko i przytupnął w takt nogą. Jeden z księży się uśmiechnął, mlaskając językiem, sekretarz z kancelaryi i aptekarz utkwili niewyraźne oczy w Prostkowskiego i przyspiewywali: «hu, ha!» Falencka zgorszona

udawała, że chce usunąć się z tak bezwzględne-  
go dla uczciwych kobiecych uszów towarzystwa,  
ale Kobuza, blisko ku niej przysunięty, wyści-  
skiwał ją za ręce i zaklinał, by go nie opuszcza-  
ła... Chwalkiewicz śmiał się i rozlewał wino  
w niedopite kieliszki, a Prostkowski śpiewał  
dalej:

— Kaśka, Kaśka!  
Bez tej psoty!  
Nic nie wartaś  
Dla ochoty...  
Hu, ha!

Głośny ogólny śmiech był mu na to odpowie-  
dzią. Aptekarzowi trzęsła się ryża broda, piegow-  
temu sekretarzowi piegi poczerwieniały jeszcze  
bardziej, anielski Fabiszewski wyszczerzył zęby  
i klepał po udzie tłustego swego proboszcza,  
bardzo zadowolonego i z Kaśki i z Maćka... Fa-  
lencka jęknęła, i robiąc dramatyczny ruch, peł-  
nem swem ciałem -runęła na nadstawione za-  
wczasu ręce Kobuzy. Ujął ją czule, i sentyment-  
alnie przyciskając do łona, robił jedną ze swych  
najprzyjemniejszych min... Doktor siedział pod  
ścianą, a z okrągłej jego łysiny kapał obficie pot.  
Myślał o niedawno wysłanym na tamten świat  
pacyencie i zarazem o tem, że taka Kaśka na  
przykład to wcale dobra i potrzebna rzecz!...



Chociemski, jeszcze raz poddawszy się lehcącemu che, che!... parsknął znowu jak koń i utonął z głową w fotelu, na głośne ogólne: «na zdrowie!» odpowiadając sennem już:

— Co Prot, to Prot... Co Prot, to Prot!

Nawet burmistrz udobruchał się, przebaczywszy, zda się, Prostkowskiemu i Chociemskiemu ich intermezza niefortunne... Siedział naprzeciw podrygującego Prostkowskiego, i bębniąc palcami po okrągłym brzuchu, mruzczał z zadowoleniem:

Nic nie wartaś  
Dla ochoty—  
Bez tej psoty,  
Bez tej psoty!

Jeden tylko Mielewski siedział i niepodchmielony i niewesoły, jednym słowem dziwny,—ale na tego nikt nie zwracał uwagi.

\* \* \*

W pokoiku, gdzie wisiał rozpięty ogromny Chrystus hebanowy, klęczał ksiądz Prot.

Głowa jego była pochylona, oczy podsiniące i zapadłe, ręce skurczone. Skóra na skroniach przeświecała, a czoło było blade. W twarzy rozlany był jeden tylko wyraz bezmiernego, bezbrzeżnego bólu i cierpienia... Zdawał się modlić.

Wreszcie z piersi jego wyszedł głuchy jęk:

— Za co mi kalać, Chryste, uczucie, które mi dała? Za co deptać kochanie najdroższe? za co poniewierać duszę jej i serce jej? za co zło-rzeczyć jej, że gołębicą białą?... Za co, Chryste?

Patrzył na Niego, jakby z martwych Jego ust chciał Mu wydrzeć odpowiedź. Ale Chrystus milczał, skrwawioną głowę jakby niżej z bólu na pobródzone piersi schylając...

— Chryste, za co mi szczęścia nie wolno? za co ja jej się mam wyrzec?—skarżył Mu się i pytał Go, i błagał o odpowiedź... ale On nie odpowiadał...

— Chryste! tylko ona światło moje, tylko ona raj mój, tylko ona życie moje... Ja nie mam innego szczęścia! Pozwól mi jej, a sławić Cię będę!...

Lecz nagle w podsiniątych jego oczach odnawiał się przestach, jakby w rysach Jezusa dojrzał coś strasznego. Chwilę patrzył na rozpiętego Chrystusa, jakby Go poprzednio nie był widział, i wpiwszy ręce w swe kręcze włosy, zawołał:

-- Chryste, Chryste, ja Tobie w służbę Bożą się oddałem!

Poczem runął na stojące opodal krzesło, i położywszy głowę na sztywnej jego krawędzi, za-

łkał... Łkanie jego poczęło przechodzić w spazm, aż wybuchnęło płaczem głośnym.

Płakał. Znikła jego niewinność dziecka, czystość młodzieńca, przejęcie powołania, godność kapłana... Porwał, zniszczył to wszystko!

Podniósł głowę.

Odrętwiały, szklistemi i pół-błędniemi oczyma spojrział na Zbawiciela, który bolesny i poważny wisiał poraniony na krzyżu... Chrystus był pohąbiony, i zbezczeszczony, i oplwany, i odbieżony od najwierniejszych i wyklęty... Czysty był jednak i nieskalany.

Upadł z jękiem na kolana i obejmując konwulsyjnie Jego nogi, mówił:

— Ja Tobie, Chryste mój, przysięgałem i obiecałem Ci, że Cię nie opuszczę aż do śmierci i że Ci służyć będę... Ja o Tobie myślałem od dziecka, i umiłowalem Cię nadewszystko i przyrzekłem Ci kapłaństwo moje, a Tyś mnie błogosławił na tę drogę...

— Chryste, nie zapomnij o tem!

---

Z mieszkania Chwalkiewicza dochodził ciągle gwar nieustanny—to szumny jak rzeka, to nagle wybuchający, jak strzelista pod niebo rakietka... Poczęła się odzywać coraz częściej fujarka, a gło-

sy ochryple wtórowały jej skocznymi tonami... Kiedy niekiedy ozwało się *solo* same, i zaciągając przeraźliwie, nikło w salwie śmiechu.

Ul wrzał.

Po chwili wyszli na ganek taczający się Prostkowski i podtrzymujący go Chwalkiewicz. Młody wikary skolomowski mrucał coś niezrozumiale, uśmiechając się naiwnie i dziecinnie, raz wraz pośpiewując pod nosem.

Chwalkiewicz ujął go pod rękę i niepewnym krokiem udali się obaj dla «przewietrzenia» do ogródka.

Na ganek poczęli wysypywać się goście, których tu świeżość powietrza zwabiała. Zresztą była im potrzebna, bo ze wszystkich głów się kurzyło, a na nogach ustać mógł nie każdy.

Wesołość rozlewała się szeroko.

— Patrzcie, Chwaluńsiu! — mruknął Prostkowski, zataczając się nieco i drewnianym wzrokiem poglądając na szyby pokoju Prota, koło mieszkania którego akurat przechodzili — toż to mieszkanie tego waszego...

Chwalkiewicz spojrział we wskazanym kierunku i mruknął:

— Uhu!

— Lubiczek wasz, kochaniek wasz!... — zaśmiał się hałaśliwie Prostkowski, spływając mdlejącym ciężarem swoim na proboszcza.

— Osiel, błazen, dureń, nie lubiczek! — zakrzeczał Chwalkiewicz. — Dureń on! — powtórzył.

A Prot jęczał, nie widząc nic, nie słysząc nic, co się koło niego w tym domu dzieje:

— Chryste, jestem z Tobą!

Potem zaczął żebrać:

— Chryste, Chryste mój, ratuj! Chryste, Chryste, zmiłuj się! Chryste, Chryste, przebacz!

Poczem wargami jął dotykać krzyża i wodził niemi po drzewcu, bo nie miał już siły całować... W gardle zaczęło go dusić i cisnąć. Schylił się wreszcie ku ziemi samej. Głowa opadła mu na piersi, ręce zwisły wzdłuż kolan...

Pozostał nieruchomy.

A z pobliza, jak echo, przyszło raz jeszcze od oddalającego się z Prostkowskim Chwalkiewicza:

— Durrrrrreń!

K O N I E C .

Monachium - Warszawa.

INSTYTUT  
BADAŃ I  
KONSERWACJI  
KULTURY  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ  
PAN

<http://rcin.org.pl>

01-380 Warszawa  
Tel. 22-98 66, 26-52-31 w. 42













[Redacted text block]

F  
55

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY